

---

IRINA NIKULINA

## **POLSKA DIASPORA NA AŁTAJU (LATA 60. XIX WIEKU)**

Historia poszczególnych diaspor, w tym diaspor polskiej, w wielonarodowej Rosji jest bez wątpienia tematem ciekawym i zasługującym na dokładne zbadanie. W dużym stopniu przyczyniło się do tego nawiązanie kontaktów między rosyjskimi i polskimi historykami w ramach współpracy kulturalnej między Rosją a Polską. Warto zauważyć, że polską diasporę na Syberii w XIX wieku wyróżniała znaczna liczba zesłańców, którzy wywarli pozytywny wpływ na prawie wszystkie dziedziny syberyjskiego życia. Polską diasporę na Ałtaju<sup>1</sup> w latach 60. XIX wieku stanowili przede wszystkim polscy zesłańcy – uczestnicy powstania 1863-1864 roku w Królestwie Polskim. O nich właśnie będzie mowa w niniejszym artykule. Jak wiadomo po stłumieniu powstania car zatwierdził zasady wywózki, wysiedlania i oddawania pod nadzór policji jego uczestników. Wśród miast Zachodniej Syberii, wyznaczonych do zamieszkania w nich osób zesłanych z powodów politycznych, były również miasta Ałtajskiego Okręgu Górskiego, oficjalnie zamkniętego dla zesłańców jako własność rządowa, Bijsk, Kuznieck i Ust`-Kamienogorsk.<sup>2</sup>

Odnaleziony w zasobach Archiwum Państwowego Federacji Rosyjskiej (skrót rosyjski GARF) wykaz polskich przestępców politycznych osiedlonych w Barnaulu, zawierający 54 nazwiska, świadczy o tym, że również Barnaul był miejscem pobytu polskich zesłańców.<sup>3</sup> Część zesłańców została przydzielona w stopniu szeregowego do 10. liniowego batalionu syberyjskiego w Barnaulu, „część przeniesiona do batalionów liniowych nr 12 i 14 w Ust`-Kamienogorsku i nr 7 w Semipałatyńsku”.<sup>4</sup>

---

<sup>1</sup> Pod nazwą Ałtaj rozumiemy Ałtajski Okręg Górski, obejmujący terytorium współczesnego Kraju Ałtajskiego, Republiki Ałtaj, części obwodów nowosybirskiego, kiemierowskiego, omskiego i tomskiego oraz wschodnią część Kazachstanu.

<sup>2</sup> G.S. Šapargalijew, W.A. Dżakow, *Obszczestwiennno-politiceskaja diejatelnost` ssylnych polakow w doriewolucionnom Kazachstanie*, Alma-Ata 1971, s. 16.

<sup>3</sup> Archiwum Państwowe Federacji Rosyjskiej (*Gosudarstwiennyj archiw Rossijskoj Fiedieracii* – GARF), f. 109, eksp. 1864, d. 171, l. 80-82.

<sup>4</sup> Ibidem.

Niestety nie ma szczegółowych informacji o życiu tych ludzi na Ałtaju. Z pewnością stawali przed problemem adaptacji do nowych warunków życia, do odmiennego środowiska socjokulturowego, co jest procesem dość skomplikowanym i długotrwałym. Wiadomo, że wszyscy byli objęci nadzorem policji. Jednak w raporcie naczelnika Ałtajskich Zakładów Górniczych z 21 września 1864 roku jest mowa o trudnościach w zorganizowaniu nadzoru i o tym, że „ludzi takiej kategorii do bieżącego roku nigdy do Barnaule nie przysyłano i chociaż znajdują się pod nadzorem policji, to liczba policjantów w Barnaule jest tak mała, że nie ma żadnej możliwości dokładnego śledzenia sposobu życia tych ludzi”.<sup>5</sup> Pewną informację o Polakach zesłanych na Ałtaj daje krótki szkic historyczny B. Gierasimowa. Na przykład wywodzący się ze szlachty Mikołaj Ignatiewicz Borowski za aktywny udział w oddziale powstańców został oddany pod sąd wojskowy, decyzją dowódcy wojsk okręgu wileńskiego pozbawiony wszystkich praw i przywilejów i zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej. Początkowo przebywał w Barnaule, potem przeniesiono go do Ust`-Kamienogorska pod ścisły nadzór policyjny. Na zesłaniu Borowski otrzymywał zasiłek ze skarbu państwa: czasem wypłacano mu „diety” w wysokości 6 kopiejek, a czasem – 15 kopiejek. Na mocy manifestu z 16 kwietnia 1866 roku otrzymał prawo wyjazdu do europejskiej części Rosji i za zgodą generał-gubernatora Zachodniej Syberii wyjechał w 1866 roku do guberni kostromskiej.<sup>6</sup>

W artykule B. Gierasimowa są także informacje o innych osobach figurujących w spisie polskich zesłańców politycznych: Klemensie Winczu, Józefie Lenartowiczu, Szymonie Nowickim, Stanisławie Pietkiewicz, Zygmuncie Pelisskim, Antonim Sokołowskim, Aleksandrze Sławińskim, Sulejmanie Smolskim, Józefie Turkowskim, Franciszku Ejbachu i innych.<sup>7</sup> W słowniku biograficznym jest wzmianka o Wilhelmie Sokulskim, podająca, że urodził się w 1823 roku w guberni mińskiej w rodzinie szlacheckiej. Był emerytowanym rotmistrzem sztabowym wołyńskiego pułku ułanów. W czasie powstania 1863-1864 roku mieszkał w guberni witebskiej, nakłaniał chłopów do wstępowania w szeregi powstańców, za co został oddany pod sąd wojskowy i zesłany na Syberię.<sup>8</sup> Przebywał w Barnaule, następnie w Ust`-Kamienogorsku pod ścisłym nadzorem policji. Otrzymywał od skarbu państwa zasiłek pieniężny w wysokości 6 lub 15 kopiejek dziennie. Później powrócił do kraju.<sup>9</sup>

<sup>5</sup> Rosyjskie Państwowe Archiwum Historyczne (Rossijskij gosudarstwiennyj istoriczeskij archiw – dalej RGIA), f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 13.

<sup>6</sup> B. Gierasimow, *Sslynnye polaki w Siemipalatinskoj oblasti (Kratkij istoriczeskij oczerk)* [w:] *Zapiski Siemipalatinskogo podotdiela Zapadno-Sibirskogo otdiela Russkogo Gieograficzeskogo obszestwa*, zeszyt 12, Siemipalatinsk 1918, s. 50.

<sup>7</sup> Ibidem, s. 51, 52, 74, 77, 79, 81, 84-86, 91, 95, 99 i in.

<sup>8</sup> W.A. Dżakow, *Diejatieli russkogo i polskogo oswoboditielnogo dwiżenija w carskoj armii 1856-1865 godow*, Moskwa 1967, s. 167.

<sup>9</sup> B. Gierasimow, *Sslynnye polaki...*, s. 85.

Wzmianki o zesłanych Polakach w Kuzniecku pojawiają się również we wspomnieniach znanego działacza ruchu rewolucyjnego, ekonomisty, socjologa, publicysty i pisarza W.W. Berwi-Florowskiego i jego żony. Berwi pisał o zbliżeniu z polskimi zesłańcami. Zaznaczał we swoich wspomnieniach, że „w czasie pobytu w Kuzniecku i w ogóle na Syberii (w 1866 roku) wysyłano tam wielu Polaków, mających związek z powstaniem”.<sup>10</sup> We wspomnieniach jego żony są wzmianki o następujących zesłanych Polakach: braciach Landsbergach, Koniuszewskim, Kucharskim, Kowalskim, którzy kontaktowali się z Berwim, często się spotykali i dyskutowali.<sup>11</sup> Opisując polskich zesłańców w Kuzniecku pani Berwi zauważała, że „większość z nich to szlachta z podstawowym wykształceniem. Niektórzy znali się na rzemiośle i ci dość dobrze się urządzali. Przedstawiciele szlachty otrzymywali po 6 rubli miesięcznie, ale większość musiała wykazać się prawdziwym artyzmem, aby przeżyć z tych pieniędzy”.<sup>12</sup> Wielu zesłańców zajmowało się rzemiosłem. Na przykład Feliks Albertowicz Kowalski uczył się szewstwa, a młodszy z braci Landsberg – kowalstwa. Domanowski piekł smaczny pszenny chleb, wyrabiał kielbasy i parówki.<sup>13</sup> Z pewnością zajmowanie się rzemiosłem miało wpływ na życie i byt miejscowej ludności. W związku z tym W. Berwi zauważał, że:

zesłańcy polityczni z Polski [...] przynieśli nieznanne dotąd w tej głuszy rzemiosła. Wszyscy zaczęli zamawiać sobie uprząże, meble, powozy, a nawet obrazy i przedmioty artystyczne. Zaczęli urządzać uroczystości z niespotykanym dotąd rozmachem, zamawiali muzykę. Pojawił się teatr domowy, urządzono coś w rodzaju klubu lub hotelu.<sup>14</sup>

W swoich wspomnieniach pani Berwi podkreśla przyjaźń z zesłanymi Polakami.

Na Wielkanoc mąż rozesał do Polaków niemal cały nasz zapas wizytówek. Kiedy wszyscy się zebrali, to zrobiło się tak ciasno, że z trudem można się było przecisnąć w tłumie. Śpiewano (...) i jakież to były piękne pieśni.<sup>15</sup>

Sam Berwi podkreślał, że Polacy „nie czuli nienawiści do Rosjan i doskonale zżywali się z narodem rosyjskim”.<sup>16</sup> Jego zdaniem nie był to przypadek, gdyż „na Syberii Polacy wszędzie zyskali sobie sympatię narodu rosyjskiego”, chociaż „urzędnicy [...] chcąc zadowolić rząd podsycaли wśród ludności wrogość do Polaków”.<sup>17</sup> Jednak większa część rosyjskiej ludności dobrze odnosiła się do Polaków. Warto podkreślić zainte-

<sup>10</sup> W.W. Berwi, *Wspominania*, „Głos minuwszego”, Moskwa 1915, nr 6-8, s. 113.

<sup>11</sup> E.I. Berwi, *Iz wspomnianij*, „Głos minuwszego”, Moskwa 1915, nr 7-8, s. 129-134.

<sup>12</sup> *Ibidem*, s. 130.

<sup>13</sup> *Ibidem*, s. 130-133.

<sup>14</sup> W.W. Berwi, *Izbrannyje ekonomiceskije proizwiedienija*, t. 1, Moskwa 1958, s. 128.

<sup>15</sup> E.I. Berwi, *Iz wspomnianij...*, s. 134.

<sup>16</sup> W.W. Berwi, *Wspominania...*, s. 121.

<sup>17</sup> *Ibidem*, s. 113

resowanie Polaków wszystkim, co rosyjskie. To właśnie było powodem, dla którego Berwi miał w Kuzniecku wykłady dla Polaków na temat rosyjskich idei społecznych, w których krytykował porządek społeczno-polityczny w Rosji i obszarnictwo. O wrażeniach, jakie wywierały te wykłady na słuchaczach, pisał: „Zapalczywi Polacy szybko podchwytywali te idee”.<sup>18</sup>

Z pobytem polskich zesłańców na Ałtaju związana jest fala pożarów, jakie miały miejsce w Barnaulu w okresie od 19 do 27 sierpnia 1864 roku. Przyczyny pożarów usiłowano dopatrywać się w umyślnych podpaleniach dokonywanych przez polskich zesłańców. W raporcie naczelnika Ałtajskich Zakładów Górniczych z 21 września 1864 roku czytamy, że:

pożary z 19 sierpnia zniszczyły najlepszą część Barnaulu i kilka budynków w innych częściach”. 19 sierpnia spłonęło 9 domów należących do różnych osób, 23 sierpnia – 40 domów wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Pożary wybuchały jeszcze pięciokrotnie. 28 sierpnia 1864 roku do urzędu tomskiego sztaboficera żandarmerii wpłynęło doniesienie, że „mieszkańcy Barnaulu, rozdrażnieni skutkami oczywistych podpałek, podejrzewają, że ich sprawcami są przebywający na tym terenie przestępcy polityczni, niezadowoleni z poczynań rządu [...]”.

U jednego z zesłańców politycznych, Aleksandra Mokronickiego,

zauważono szczególne starania o spotkanie z towarzyszami służącymi w 10. batalionie [...]. Mokronicki i Wojnikanis są oskarżani o umyślne podpalenia, o organizowanie tego przestępstwa i zachęcanie do niego. Oskarżenia te opierają się na prowadzonych przez nich tajnych rozmowach za pośrednictwem przekazywanych sobie wzajemnie notatek, a także słów dotyczących podpałek, przekazywanych za pośrednictwem szeregowego Bystranowskiego, wywodzącego się z przestępców politycznych. W czasie przeszukania u Mokronickiego znaleziono wiersze o buntowniczych treściach.<sup>19</sup>

Naczelnik Ałtajskich Zakładów Górniczych informował rząd, że:

ogół mieszkańców podejrzewa o to Polaków. Przestraszeni ludzie, żyjąc w strachu i niepokoju, są do tego stopnia źli na Polaków, że zamierzają rozerwać pierwszego napotkanego Polaka lub wrzucić go w ogień pierwszego pożaru, jaki wybuchnie.

W celu zapewnienia ochrony zesłańcom i uspokojenia mieszkańców Polakom rozkazano pozostawać w mieszkaniach, a „Mokronickiemu i innym Polakom zakazano wychodzenia wieczorem z domów”<sup>20</sup> i objęto ich ścisłym nadzorem. Znamienne jest, że mimo starań władz o podkreślanie nienawiści tutejszych mieszkańców do Polaków, w czasie dochodzenia w sprawie pożarów nie było przypadków donoszenia przez miejscową ludność na zesłańców. Niewątpliwie świadczy to o dobrym stosunku do Polaków.

<sup>18</sup> Ibidem, s. 121.

<sup>19</sup> GARF, f. 109, 4 eksp. 1864 r., d. 171, l. 4, 4v, 11, 12, 32v, 33; RGIA, f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 11.

<sup>20</sup> Ibidem, l. 79; RGIA, f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 12.

Zesłańcy przydzieleni w stopniu szeregowych do 10. batalionu zostali osadzeni w areszcie w oddzielnych koszarach. Do Barnaułu przyjechał gubernator tomski Lerche, który stanął na czele specjalnej komisji śledczej powołanej w celu wyjaśnienia przyczyn pożarów. Komisja ta próbowała zwalić całą winę na zesłańców i oskarżyła czterech zesłanych Polaków i barnaulskich mieszczan.

Winy Polaków w końcu nie dowiedziono i śledztwo trzeba było zamknąć z braku dowodów. Wymownie świadczy o tym dokument odnaleziony przez autorów w Archiwum Państwowym Federacji Rosyjskiej.<sup>21</sup> Najwyraźniej przyczyny pożarów należy szukać nie w poczynaniach polskich zesłańców, lecz w nowej fali walki klasowej, spowodowanej grabieżczym charakterem reformy 1861 roku. A.P. Borodawkin zauważał w związku z tym, że:

najcięższe były warunki uwłaszczenia rzemieślników z okręgu barnaulskiego, którzy nie otrzymali nawet najmniejszego przydziału ziemi i stali się wolni, ale pozbawieni środków do życia. Dlatego szczególnie silne było wśród nich niezadowolone z reformy i nienawiść do kierownictwa zakładów górniczych.<sup>22</sup>

Niewątpliwie doprowadziło to do nasilenia się sprzeciwu ze strony rzemieślników, co przejawiało się we wzniesieniu pożarów jako formie protestu wobec reformy 1861 roku i wobec urzędników górniczych wprowadzających ją w życie. Poza tym podobne pożary wybuchały również w Pawłowsku i Suzunie, gdzie Polaków w ogóle nie było.

Warto zauważyć, że w licznych podaniach naczelnika Altajskich Zakładów Górniczych do rządu zawarta była prośba o natychmiastowe wysiedlenie wszystkich zesłanych Polaków z Altajskiego Okręgu Górniczego i rozmieszczenie ich w innych częściach guberni tomskiej i w innych guberniach „dla zapewnienia spokoju mieszkańców kraju, jak i w ogóle w celu ochrony interesów gabinetu Jego Wysokości”. Właśnie po pożarach 1864 roku Polacy zostali usunięci z Barnaułu. Generał-gubernator Zachodniej Syberii donosił 28 września 1864 roku ministrowi spraw wewnętrznych o wydanym przez siebie rozporządzeniu

o rozmieszczeniu w innych batalionach niższych stopniem osób polskiego pochodzenia, które były w 10. batalionie rozlokowanym w Barnaule i o decyzji zobowiązującej naczelnika guberni tomskiej do natychmiastowego przeniesienia do innych miast wszystkich mieszkających w Barnaule Polaków, zesłanych na Syberię za udział w ostatnim powstaniu.<sup>23</sup>

Niewątpliwie zgodnie z tym rozporządzeniem większość polskich zesłańców została przeniesiona z Barnaułu do batalionów liniowych nr 12 i 14 w Ust'-Kamienogorsku i nr 7 w Semipałatyńsku, ponieważ w tych miastach

<sup>21</sup> GARF, f. 109, 4 eksp. 1864 r., d. 171, l. 84.

<sup>22</sup> A.P. Borodawkin, *Rieforma 1861 g. na Altaje*, Tomsk 1972, s. 247.

<sup>23</sup> RGIA, f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 10, 10v, 13, 15, 16.

nie ma fabryk należących do skarbu państwa, których bezpieczeństwu mogłoby zagrażać zamieszkiwanie [...] przestępców politycznych polskiego pochodzenia.<sup>24</sup>

Informacja o polskich zesłańcach, przeniesionych z Barnału do Ust'-Kamienogorska i Semipałatyńska jest również we wspomnianej już teście w GARF.<sup>25</sup> Znajduje się tam również prośba do ministra spraw wewnętrznych z 19 marca 1868 roku o zgodę na przeniesienie

przestępców politycznych z miast Bijsk, Kuznieck i Koływań do Ust'-Kamienogorska i Semipałatyńska, podobna to prośby o przesiedlenie z Barnału. Konieczność taką motywowano tym, że we wspomnianych miastach liczba zesłańców z powodów politycznych stanie się nieznaczna i dlatego – przy dobrym funkcjonowaniu tamtejszej policji – uda się zapewnić ścisły nadzór nad nimi.<sup>26</sup>

Spośród Polaków przebywających na Ałtaju należy szczególnie wspomnieć o lekarzu Cezarym Terajewiczu (1833–1901). Jego działalność medyczna była przejawem aktywności na zesłaniu. W latach 1858–1863 Terajewicz studiował na Uniwersytecie Moskiewskim na wydziale medycznym i ukończył go otrzymując tytuł lekarza. Za udział w powstaniu 1863 roku został zesłany do miasta Tara w Zachodniej Syberii, gdzie pracował jako lekarz. W 1883 roku otrzymał on prawo swobodnego przemieszczania się i wstąpienia na służbę państwową. Wybrał Ust'-Kamienogorsk, w którym pozostał do końca życia. Pracował tu na zmianę jako lekarz miejski i powiatowy, w 1900 roku zajmował stanowisko lekarza pierwszego odcinka powiatu ust'-kamienogorskiego. Kiedy w 1892 roku w Ust'-Kamienogorsku „wybuchła” epidemia cholery i zapanował głód, Terajewicz włączył się do walki z epidemią. Robił wszystko, aby ludność otrzymała pomoc medyczną. Zaraził się wtedy tyfusem brzuszny, po którym nastąpiły poważne komplikacje, na skutek których zmarł 5 maja 1901 roku.<sup>27</sup> Według słów B. Gierasimowa

był to bardzo wykształcony człowiek i jednocześnie wspaniały lekarz, nie pozostający w tyle na naukę [...]. Był to wyjątkowo inteligentny człowiek [...]. Przedstawiciele rosyjskich zesłańców politycznych, znani w Ust'-Kamienogorsku działacze kulturalni – J.P. Michaelis, A.N. Fiodorow i inni – a także miejscowa inteligencja odnosili się do Terajewicza z wielkim szacunkiem.<sup>28</sup>

Mówiąc o Terajewiczu polski badacz Artur Kijas zauważał również, że był to „dobry, troskliwy i bezinteresowny lekarz.”<sup>29</sup> W sumie na podstawie zbadanych i usystematyzowanych materiałów archiwalnych z Archiwum Państwowego Federacji Rosyjskiej, Rosyjskiego Państwowego Archiwum Historycznego (RGIA), Archiwum Państwowego Obwodu

<sup>24</sup> Ibidem, l 89.

<sup>25</sup> GARF, f. 109, 4 eksp. 1864 r., d. 171, l. 80-82v.

<sup>26</sup> RGIA, f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 89.

<sup>27</sup> W.Z. Galijew, *Miediki-riewolucjonieri w Kazachstanie*, „Sowietskoje zdrowo-ochranienije”, Moskwa 1972, nr 3, s. 70-71.

<sup>28</sup> B. Gierasimow, *Sslynyje Polaki...*, s. 93.

<sup>29</sup> A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku*, Warszawa–Poznań 2000, s. 358.

Omskiego (GAOO), Centrum Przechowywania Zbiorów Archiwalnych Kraju Altajskiego (CChAFAK) i wspomnień E. Berwi udało się ustalić 342 polskich zesłańców, którzy w tym okresie przebywali na Altaju. Spośród nich 148 osób mieszkało w Bijsku, 61 w Kuzniecku, 54 – w Koływanii, 25 – w Ust`-Kamienogorsku, 54 – w Barnaule (mimo że w późniejszym okresie polscy zesłańcy z syberyjskiego batalionu liniowego nr 10 w Barnaule zostali przeniesieni do batalionów liniowych nr 12 i 14 w Ust`-Kamienogorsku i nr 7 w Semipałatyńsku).<sup>30</sup> Należy podkreślić, że z powodu częstego przenoszenia zesłańców z jednego miejsca osiedlenia w inne, dokładne obliczenia są dość trudne. Niewielka liczebność polskich zesłańców na Altaju – w stosunku do ogólnej liczby Polaków zesłanych na Syberię w latach 60. XIX wieku<sup>31</sup> – jest naszym zdaniem spowodowana tym, że przez długi czas Altajski Okręg Górniczy był zamknięty dla zesłań, ponieważ stanowił własność cara. Administracja rządowa starała się wszelkimi sposobami nie dopuścić do osiedlania tu zesłańców, „w obawie przed szkodliwym wpływem tych ludzi na miejscowych mieszkańców i w celu zachowania spokoju na tych terenach”, o czym świadczą wiele dokumentów.<sup>32</sup> Po pożarach w 1864 roku w Barnaule szefowie rządu starali się o przeniesienie

przestępców politycznych z Bijska, Kuzniecka, Koływanii do Ust`-Kamienogorska i Semipałatyńska, podobnie jak przesiedlono ich z Barnaule. Jest taka pilna konieczność, ponieważ w miastach tych liczba ludzi zesłanych z powodów politycznych stanie się niewielka i dlatego, przy dobrej organizacji tamtejszej policji możliwy będzie ścisły nadzór nad nimi.<sup>33</sup>

Tak więc administracja korzystając z nadarzającej się okazji dążyła do uwolnienia się od obecności zesłańców politycznych w okręgu.

Naczelnik Altajskich Zakładów Górniczych informował jednak generał-gubernatora Zachodniej Syberii 17 listopada 1867 roku, że:

mimo zakazu Jego Wysokości dotyczącego przestępców politycznych do chwili obecnej są oni osiedlani w miastach położonych na terenie Altajskiego Okręgu Górniczego, z wyjątkiem Barnaule. Według stanu z 21 marca 1865 roku przestępców politycznych wywodzących się z Polaków w Bijsku osiedlonych jest 54, w Kuzniecku – 19 i w Koływanii – 14, obecnie znów osiedlono w Bijsku 94 osoby, w Kuzniecku – 40 i w Koływanii 38. Tak więc w ostatnim okresie osiedlono o wiele więcej osób niż za pierwszym razem.<sup>34</sup>

<sup>30</sup> GARF, f. 109, 4 eksp. 1864 r., d. 171, l. 80-82 i in.

<sup>31</sup> Ogólna liczba Polaków zesłanych na Syberię jest różnie szacowana. Np. S.F. Kowal podawał 22 tysiące, L. Zasztowt – 38 tysięcy (S. F. Kowal, *Za prawdę i wolę*, Irkutsk 1966; L. Zasztowt, *Dieportacii i pieriesielenija polskogo nasielenija iz zapadnych gubernij wglub` Rossijskoj impierii posle Janwarskogo wosstanija 1863-1864 gg.* [w:] *Polskaja ssylka w Rossii XIX-XX vv.: regionalnyje centry*, Kazań 1998, s. 166).

<sup>32</sup> RGIA, f. 1286, op. 25, d. 1391, l. 9-10 i in.

<sup>33</sup> Ibidem, l. 89.

<sup>34</sup> Archiwum Państwowe Obwodu Omskiego (Gosudarstwiennyj archiw Omskoj obłasti – dalej GAOO), f. 3, op. 6, d. 7784, l. 12-12v.

Na zesłaniu na Syberii znalazły się różne warstwy społeczeństwa polskiego, w tym również przedstawiciele Kościoła katolickiego, co niewątpliwie potwierdza słowa A. Kappelera o represjach po 1863 roku „wobec duchowieństwa katolickiego, które było drugą po szlachcie siłą napędową narodowego ruchu oporu oraz jego oparciem”.<sup>35</sup> W tym okresie na Ałtaju przebywało 20 księży, zesłanych na osiedlenie pod nadzorem policji do Bijska (6 osób), Kuzniecka (9 osób) i Koływania (5 osób). Niewątpliwie nie są to dane ostateczne, możliwe jest dotarcie do nowych nazwisk. Warto podkreślić, że religia odegrała szczególną rolę w historii polskiej diaspory. Przecież wierność katolicyzmowi uważana była za cechę polskiego charakteru.

Ciekawe wzmianki o zesłanych księżach zawarte są we wspomnieniach W.W. Berwigo, który przebywał w Kuzniecku w latach 60. XIX wieku. Zauważał on, że księża

odznaczeni się zdolnością do takiego rodzaju poświęcenia, które zaszczipiane jest klerowi katolickiemu jego ascetycznym wychowaniem [...]. Pomagało im to znosić ich los z wytrwałością i wielką godnością [...]. Od żadnego z nich nie usłyszałem małoduszego stwierdzenia, że on był przeciwny powstaniu [...].<sup>36</sup>

Warto więcej powiedzieć o postaci księdza Mikołaja Swolkiena. Mikołaj Swolkien (a według niektórych dokumentów Swolkin), ksiądz z zakonu bernardynów i kościoła augustowskiego za nielojalność polityczną i udział w demonstracjach politycznych na mocy decyzji gubernatora wojewódzkiego w Kownie w 1864 roku został zesłany bez pozbawienia praw

jako osoba szkodliwa na stałe zamieszkanie w guberni tomskiej pod ścisłym nadzorem policji. Jako miejsce przeznaczenia wyznaczono mu Koływań.<sup>37</sup>

Wiadomo, że w czerwcu 1865 roku Swolkien

dopiero w 1867 roku pełniący funkcję gubernatora zwrócił się z prośbą o zezwolenie na odprawianie nabożeństw dla przebywających w Koływanii katolików, nie mających możliwości uczestniczenia w obrzędach religijnych”, jednak oficjalnie nie otrzymał zgody od generał-gubernatora Zachodniej Syberii.<sup>38</sup>

Michaił Kurbanowski wydał decyzję, mówiącą, że „księżom zesłanym na Syberię na podstawie decyzji rządowych zakazuje się odprawiania nabożeństw aż do wydania odrębnych dyspozycji”.<sup>39</sup> Należy podkreślić, że w doniesieniach do Głównego Zarządu Zachodniej Syberii za 1867 rok wielokrotnie jest mowa o tym, że Swolkien w czasie pobytu w Koływanii „zachowywał się dobrze i nie został przyłapany na niczym podejrzanym”.<sup>40</sup>

<sup>35</sup> A. Kappeler, *Rossija – mnogonacjonalnaja impierija*, Moskwa 2000, s. 188.

<sup>36</sup> W.W. Berwi, *Wospominanija...*, s. 118.

<sup>37</sup> GAOO, f. 3, op. 5, d. 7682, l. 4-5; RGIA, f. 821, op. 3, d. 177, l. 1.

<sup>38</sup> GAOO, f. 3, op. 4, d. 6318, l. 1-1v.

<sup>39</sup> Ibidem, l. 35.

<sup>40</sup> GAOO, f. 3, op. 5, d. 7682, l. 3,6.



W latach 70. XIX wieku sytuacja polskich zesłańców nieco się zmieniła. Na podstawie decyzji Jego Cesarskiej Mości z 23/17 maja 1871 roku zesłańcom politycznym przywrócono dawniejsze prawa i zwolniono ich spod nadzoru policji. Poza tym „na podstawie decyzji Jego Cesarskiej Mości z 8 października 1872 roku” zwolnieni spod nadzoru policji duchowni rzymskokatoliccy mogli być mianowani na stanowiska wikariuszy w parafiach guberni „wielkorosyjskich” i podlegali nadzorowi proboszcza, który był za nich odpowiedzialny oraz byli potajemnie obserwowani przez policję.<sup>41</sup> W związku z tym w sierpniu 1873 roku Mikołajowi Swolkienowi pozwolono zamieszkać pod nadzorem policji w guberni kostromskiej, skąd w 1874 roku przeniósł się do Kurlandii, a w sierpniu 1884 roku „pozwolono mu powrócić do Kraju Północno-Zachodniego”.<sup>42</sup>

Wśród polskich zesłańców przebywających w tym okresie na Altaju trzeba wyróżnić kobiety. Sam fakt ich pobytu tutaj jest dość ciekawy i w sposób istotny uzupełnia ogólny obraz zesłań politycznych. Na podstawie przechowywanych w GAOO spisów przestępców politycznych zesłanych do Bijska, Kuzniecka i Koływania, udało się ustalić, że 13 polskich zesłańców, uczestników powstania 1863 roku w Królestwie Polskim, przybyło na Altaj wraz z żonami i dziećmi. Spośród nich do Bijska przyjechali: Franciszek Juchniewicz z żoną Zofią i synem Stanisławem; Kazimierz Osipowicz z żoną Marcjaną, synem Jordanem i córką Ireną; Michał Jerynowicz z żoną Katarzyną i dziećmi Konstantym, Amalią, Julią i matką żony Anną Dąbrowską itd.<sup>43</sup>

W spisie przestępców politycznych znajdujących się pod nadzorem policji i otrzymujących zasiłki z Bijskiego Okręgowego Urzędu Skarbowego w 1867 roku jest informacja, że Leopold Kozłowski również odbywał karę z żoną Angeliną, synami Wiktorem i Kazimierzem; Ignacy Romanowski – z żoną Angeliną, synami Kazimierzem i Antonim; Franciszek Kozłowski – z żoną Pauliną, której zresztą wypłacano 75 kopiejek zasiłku na opłacenie mieszkania!<sup>44</sup> Warto zauważyć, że zesłany ksiądz Albert Grygalunowicz, przebywający w Kuzniecku od 16 sierpnia 1865 roku przybył na miejsce przeznaczenia z siostrą Katarzyną.<sup>45</sup> Kobiety dzieliły więc ze swoimi bliskimi wygnańcze życie na Syberii. Miało to duże znaczenie dla kształtowania się polskiej diaspory, ponieważ jak wiadomo rodzina jest jednym z gwarantów zachowania kultury narodowej. Umocnienie się na zesłaniu tradycyjnej polskiej rodziny osłabiała asymilację Polaków. Warto zauważyć, że wśród polskich zesłańców osiedlonych pod nadzorem policji w Kuzniecku była Julia Stefanowiczowa z dziećmi Anastazją, Albiną i Karoliną. Julia Stefanowiczowa brała

<sup>41</sup> RGIA, f. 821, op. 3, d. 427, l. 27-28.

<sup>42</sup> Ibidem, d. 77, l. 4-10.

<sup>43</sup> GAOO, f. 3, op. 6, d. 7784, l. 29.

<sup>44</sup> Centrum Przechowywania Zbiorów Archiwalnych Kraju Altajskiego (Centrum Chronienia archiwnego fondu Altajskiego kraja – dalej CchAFAK), f. 170, op. 1, d. 730A, l. 2, 2v.

<sup>45</sup> GAOO, f. 3, op. 6, d. 7784, l. 21.

udział w powstaniu 1863 roku w Królestwie Polskim.<sup>46</sup> Niestety nie są znane dokładniejsze fakty.

Niektórzy zesłańcy żenili się z miejscowymi kobietami. Na przykład w Ust'-Kamienogorsku z Aleksandrą Konstantinową Muczkiną, wdową po żołnierzu, ożenił się Wincenty Arciszewski, zesłany na Syberię „za udział w szajce buntowników” na polecenie dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego z 24 września 1863 roku i „przydzielony do służby wojskowej z pozbawieniem tytułu szlacheckiego”. Ignacy Buraczewski, zesłany za udział w powstaniu decyzją dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego na osiedlenie do guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów, w 1869 roku „wstąpił w związek małżeński z panną wyznania prawosławnego, córką podoficera Pelagią Aleksiejewną Fiodorową”; Piotr Stankiewicz, zesłany decyzją sądu wojskowego do guberni tomskiej za udział w buncie, ożenił się w Ust'-Kamienogorsku z chłopką Jefrosinią Mawtiejewą itd.<sup>47</sup>

Ogólnie rzecz biorąc sytuacja materialna zesłańców była ciężka. Za zgodą szefa korpusu żandarmów zesłańcy polityczni przebywający na Zachodniej Syberii i nie mający własnych środków zapewniających byt otrzymywali zasiłek państwowy w wysokości 57 rubli i 4 i ¼ kopiejki lub 114 rubli i 28 i ½ kopiejki srebrem rocznie. Zasiłek ten wypłacano z dołu za każdy rok w lutym lub marcu następnego roku.<sup>48</sup> Zesłańcom pochodzącym ze szlachty zesłanym bez pozbawienia lub bez ograniczenia praw i nie mającym własnych środków do życia zezwalano na wypłacanie 15 kopiejek na dobę.<sup>49</sup> Warto zauważyć, że polscy zesłańcy przez długi czas nie otrzymywali zasiłków ze skarbu państwa, później wypłacano je w częściach i zesłańcy długo nie mogli urządzić swoich gospodarstw. Zasiłek państwowy był wypłacany okresowo i od niego bezpośrednio zależała sytuacja materialna zesłańców. Jeśli zesłańcy mieli zajęcie, które zapewniało im normalne życie lub otrzymywali pomoc finansową od krewnych, to nie wypłacano im zasiłku państwowego. Jednocześnie zasiłki były bardzo małe i zesłańcy musieli pracować, aby zapewnić sobie środki do życia. Władze lokalne nie stawiały przeszkód Polakom, którzy zajmowali się rolnictwem, rzemiosłem lub handlem.

Wielu zesłańców zajmowało się rzemiosłem. W Ust'-Kamienogorsku jako kowal pracował Adolf Gebert, zesłany na osiedlenie w guberni tomskiej za udział w powstaniu na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego i pozbawiony wszystkich praw i przywilejów. Krawiectwem zajmował się Benedykt Stankus skierowany do służby wojskowej bez pozbawienia praw „za udział w buncie” na podstawie decyzji dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego.<sup>50</sup>

<sup>46</sup> Ibidem.

<sup>47</sup> B. Gierasimow, *Ssylnyje polaki...*, s. 47, 49, 86 i in.

<sup>48</sup> Ibidem, s. 12.

<sup>49</sup> N.P. Mitina, *Wo głubinie sibirskich rud*, Moskwa 1966, s. 15.

<sup>50</sup> B. Gierasimow, *Ssylnyje polaki...*, s. 56, 84 i in.

Wiadomo, że pszczelarstwem zajmowali się Wincenty Arciszewski i Mikołaj Piotrowski skierowany „za udział w buncie” do służby wojskowej z pozbawieniem szlachectwa do 4. zachodniosyberyjskiego batalionu na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego, a Adolf Ziemlewski zesłany za udział w buncie na osiedlenie na Syberię zajmował się uprawą roli.<sup>51</sup>

Należy podkreślić, że takie czynniki jak niewielka liczba miejscowej inteligencji, brak wykształconych ludzi, dość wysoki poziom wykształcenia polskich zesłańców powodowały, że często zatrudniano ich jako pedagogów czy pisarzy. Jako przykład może służyć pobyt w Ust`-Kamienogorsku Wincentego Arciszewskiego, który często pełnił funkcję pisarza, od 1870 roku pracował jako pisarz po upływie okresu nadzoru policyjnego, a od 1875 roku był księgowym w urzędzie miejskim. Inne przykłady to Leon Berberiusz skierowany „za udział w buncie” bez pozbawienia praw na służbę wojskową na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego i pracujący jako pisarz przy policji miejskiej w Ust`-Kamienogorsku oraz Ignacy Buraczewski, który został zesłany za udział w powstaniu na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów na osiedlenie w guberni tomskiej i zarabiał na życie pracą biurową. Podobne zajęcia wykonywali Mikołaj Tykocki, zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów oraz Michał Przygocki zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej „za udział w rozruchach politycznych w Kraju Zachodnim” z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów. Mikołaj Piotrowski zajmował stanowisko kancelisty u sędziego pokoju w Ust`-Kamienogorsku, od 1875 do 1895 roku był sekretarzem dumy miejskiej.<sup>52</sup> Stanisław Pietkiewicz zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej „za zamiar przyłączenia się do szajki buntowników” z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego pracował jako sekretarz u osób prywatnych, później był zarządcą w składzie win; Szymon Nowicki zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej za udział w powstaniu z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów na podstawie wyroku naczelnika wojskowego w Telszy w guberni kowieńskiej pracował jako robotnik w składzie win. W handlu winem pracowali Rafał Putwiński, zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej „za kontakty z buntownikami i zaopatrywanie ich w żywność” z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów oraz Sulejman Smolski skazany na osiedlenie w guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów „za rozpowszechnianie szkodliwych dla rządu pogłosek, które mogły źle wpłynąć na klasę ludzi niewykształconych i skłaniać ich do wspierania buntu” na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego. Prywatną działalnością zajmował się Józef Szkul-

<sup>51</sup> Ibidem, s. 47, 61, 82 i in.

<sup>52</sup> Ibidem, s. 47-49, 80-82, 94.

tecki zesłany na osiedlenie do guberni tomskiej „za udział w buncie” z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów na podstawie wyroku dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego i przeniesiony w późniejszym okresie do Semipałatyńska i Ust`-Kamienogorska. Stanisław Jaworowski pracował w handlu.<sup>53</sup>

Mimo dążenia rządu do izolowania zesłańców politycznych od miejscowej ludności, wyrażającego się we wprowadzaniu zakazów i ograniczeń, wielu zesłańców pełniło funkcje nauczycieli, przyczyniając się w ten sposób do poszerzania światopoglądu i podwyższania poziomu kultury miejscowej ludności. Niektórzy z zesłańców udzielali prywatnych lekcji w Ust`-Kamienogorsku. Można wśród nich wymienić Leona Berberiusza, Mikołaja Borowskiego, Bronisława Bieckiego, zesłanego na osiedlenie do guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów „za przyjęcie u siebie buntowników i dostarczenie im żywności” decyzją dowódcy wojsk Wileńskiego Okręgu Wojskowego, Wiktora Żylińskiego pracującego w domu u pułkownika Katina, kupca Zadorowa, Bolesława Łapińskiego wysłanego na osiedlenie do guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów za udział w powstaniu, Józefa Lenartowicza, Aleksandra Sławińskiego, Antoniego Sokołowskiego zesłanego na osiedlenie do guberni tomskiej z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów za udział w powstaniu.<sup>54</sup>

Szczególnie warto wspomnieć o Sulejmanie Smolskim, który bez jakichkolwiek zezwoleń otworzył w swoim mieszkaniu szkołę, w której uczyło się około 30 chłopców i dwie dziewczynki. W szkole sam uczył czytania, pisania, czterech zasad arytmetyki i religii. Za nauczanie pobierana była opłata w wysokości od 50 kopiejek do 1 rubla miesięcznie od osoby. Szkoła istniała przez 5 lat.<sup>55</sup> Tak więc polscy zesłańcy przyczyniali się do krzewienia oświaty wśród miejscowych prostych ludzi.

Późniejszą sytuację polskich zesłańców na Syberii normował szereg manifestów. Warto wymienić manifesty Jego Cesarskiej Mości z 18 października 1866 roku i z 25 maja 1868 roku. Zgodnie z nimi polscy zesłańcy

zyskali prawo przemieszczania się z miejsc osiedlenia i zamieszkiwania pod nadzorem policji w europejskiej części Rosji lub otrzymywali prawo przyłączenia się na Syberii do społeczności wiejskich lub miejskich.<sup>56</sup>

Na podstawie rozkazu Jego Cesarskiej Mości z 13 maja 1871 roku zesłańcom przywrócono „dawniejsze prawa majątkowe”, zwolniono spod nadzoru policji i „zezwołono na zamieszkanie w dowolnym miejscu, z wyjątkiem stolic i guberni stołecznych, zaś w przypadku osób urodzonych w Królestwie Polskim i guberniach zachodnich – z wyjątkiem tych guberni”. Natomiast osobom

<sup>53</sup> Ibidem, s. 77, 79, 83, 91, 97, 101.

<sup>54</sup> Ibidem, s. 48, 50, 53, 60, 68, 74, 84, 86.

<sup>55</sup> Ibidem, s. 92.

<sup>56</sup> *Połnoje sobranije zakonow Rossijskoj impierii II*, t. 46, oddz. 1, nr 49597, s. 564.

zesłanym na Syberię w trybie administracyjnym i tym, którzy na podstawie obowiązującego prawa otrzymali zgodę na czasowe przebywanie w europejskiej części Rosji, przyznano prawo powrotu do ich dawniejszych środowisk, jeśli takowe zechcą ich przyjąć.<sup>57</sup>

Korzystając z tych ułatwień niektórzy zesłańcy opuścili Altaj. Byli to: Jan Wojtkiewicz, który wyjechał do guberni mińskiej; Mikołaj Borowski, Józef Lenartowicz, Stanisław Tomaszewicz, którzy wyjechali do guberni kostromskiej; Klemens Wincz i Wiktor Żyliński, którzy wyjechali do guberni wiackiej; Bronisław Wiecki i Bolesław Łapiński – do guberni kazańskiej; Adolf Gebert i Wilhelm Sokulski – wyjechali do kraju, a Rafał Putwiński – do Rygi.<sup>58</sup>

Należy zauważyć, że zesłańcy, którzy z braku pieniędzy lub z innych powodów nie skorzystali z prawa przeniesienia się do europejskiej części Rosji, mogli czynić starania o zastosowanie wobec nich przepisów dekretu Jego Cesarskiej Mości z 13 maja 1871 roku. Poza tym na podstawie dekretu Jego Cesarskiej Mości z 9 stycznia 1874 roku „zwolnionym spod nadzoru policji przyznano prawo wstąpienia na służbę państwową w miejscowościach, w których mogą swobodnie zamieszkiwać”.<sup>59</sup> Z tej zgody skorzystali ci z zesłanych Polaków, którzy pozostali na stałe w miejscach swojego pobytu.

Wśród tych, którzy pozostali na Syberii, można wymienić Wincen-tego Arciszewskiego (zmarł 17 października 1905 roku w Ust`-Kamienogorsku), Leona Berberiusza (zmarł w Ust`-Kamienogorsku), Ignacego Buraczewskiego (zmarł w Pawłodarze), Juliusza Żelazowskiego (zmarł w Barnaule), Adolfa Ziemińskiego (zmarł w Ust`-Kamienogorsku), Szymona Nowickiego (zmarł w Ust`-Kamienogorsku), Stanisława Pietkiewicza (zmarł 14 sierpnia 1899 roku w Semipałatyńsku), Michała Przygockiego, Mikołaja Piotrowskiego (zmarł w 1898 roku w Ust`-Kamienogorsku), Benedykta Stankusa, Antoniego Sokołowskiego (zmarł w Ust`-Kamienogorsku), Aleksandra Sławińskiego, Piotra Stankiewicza, Sulejmana Smolskiego, Mikołaja Tykockiego, Józefa Szkuldeckiego i Stanisława Jaworowskiego.<sup>60</sup> Przypomnijmy, że ostateczna amnestia dla znacznej części zesłańców została ogłoszona manifestem z 15 maja 1883 roku.<sup>61</sup>

Niewątpliwie problem adaptacji odgrywał ważną rolę w życiu polskich zesłańców. Proces asymilowania się Polaków miał charakter skomplikowany i długotrwały, wiele zależało od warunków życia, cech danego człowieka, zdolności do aklimatyzacji i nawiązania kontaktów z miejscową ludnością. Rezultatem tego była różnorodna działalność Polaków na wygnaniu, wypracowanie w codziennej praktyce określonych norm zachowania wobec mieszkańców Syberii i dostosowanie się do nowych warunków.

<sup>57</sup> Ibidem.

<sup>58</sup> B. Gierasimow, *Ssylnyje polaki...*, s. 50-53, 56, 60, 69, 74, 83, 94 i in.

<sup>59</sup> *Polnoje sobranije zakonow Rossijskoj impierii II*, t. 49, oddz. 1, nr 53017, s. 43.

<sup>60</sup> B. Gierasimow, *Ssylnyje polaki...*, s. 47-49, 61, 77, 80-82, 84-86, 95, 97.

<sup>61</sup> *Polnoje sobranije zakonow Rossijskoj impierii III*, t. 3, nr 1583, s. 234.

ków życia. Zesłańcy byli zmuszeni wykonywać różne zajęcia, przez co w znacznym stopniu przyczynili się do rozwoju gospodarczego regionu. Dla polskich zesłań lat 60. XIX wieku charakterystyczny jest wysoki poziom kultury i wykształcenia, a B. Gierasimow zauważał, że:

zesłani Polacy byli nosicielami kultury. Wśród nich było wiele wykształconych osób. Miejscowa inteligencja odnosiła się do nich z szacunkiem.<sup>62</sup>

Jak pisze we wspomnieniach działacz ruchu rewolucyjnego z lat 60. XIX wieku Ł. Pantielejew, polscy zesłańcy „w ogromnej większości byli osobami o wysokiej kulturze”<sup>63</sup>. Znaczenie polskich zesłańców W. Berwi-Florowski określał jednym zdaniem: „nieśli ze sobą cywilizację”.<sup>64</sup> Ze strony miejscowej ludności zesłańcy polscy cieszyli się szacunkiem i byli dobrze traktowani, o czym niewątpliwie świadczy wspomniany już wcześniej brak donosów na nich w czasie śledztwa w sprawie przyczyn pożarów. Niektórzy z zesłańców (np. Cezary Terajewicz) udzielali mieszkańcom pomocy medycznej.

Ponadto znaczny wpływ na życie regionu wywarła działalność pedagogiczna zesłańców, zajmowanie się przez nich rzemiosłem, handlem, pszczelarstwem itp. Warto wspomnieć o odczytach Wasilija Berwi-Florowskiego w Kuzniecku na temat rosyjskich idei społecznych. Sprzyjały one zbliżeniu i krzewieniu postępowych poglądów. Prawdopodobnie zła znajomość języka rosyjskiego wśród Polaków (bariera językowa) w jakimś stopniu zawężyła możliwość kontaktowania się z miejscową ludnością, ich adaptację w społeczeństwie syberyjskim utrudniało odmienne środowisko socjokulturowe.

Na podstawie rozpatrzonych materiałów można wyciągnąć wniosek, że pobyt polskich zesłańców w latach 60. XIX wieku na Ałtaju jest elementem historii kształtowania się polskiej diaspory na Syberii. Polacy, którzy mieszkali w tamtym okresie na Ałtaju umieli znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie syberyjskim. Zauważmy, że potomkowie Polaków na Ałtaju nie zapomnieli o swoich korzeniach. Tworzą własne stowarzyszenia i ośrodki kulturalne. Przykładem tego może być działalność stowarzyszenia polskiego w Barnaule (przewodniczącym jest W. S. Aniśkiewicz), którego celem jest wzajemne wzbogacanie kultur obu słowiańskich narodów – polskiego i rosyjskiego. Polskiemu stowarzyszeniu aktywnej pomocy udziela regionalny Ośrodek Współpracy Międzynarodowej Wyższych Uczelni Zachodniej Syberii, założony przy Ałtajskim Uniwersytecie Państwowym im. I. I. Połzunowa (jego dyrektorem jest N. M. Nikonow).

*Tłumaczyła Ewa Rybarska*

<sup>62</sup> B. Gierasimow, *Sslynnye polaki...*, s. 19.

<sup>63</sup> Ł.F. Pantielejew, *Wospominanija*, Leningrad 1958, s. 561.

<sup>64</sup> W.W. Berwi, *Wospominanija...*, s. 113.



---

**JERZY SUPADY**

**STOSUNEK OBYWATELI POLSKICH  
DO OKUPANTÓW SOWIECKICH  
NA KRESACH WSCHODNICH  
II RZECZYPOSPOLITEJ W LATACH 1939-1941**

Problematyka stosunku obywateli polskich do okupantów sowieckich na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej zagarniętych przez ZSRR w 1939 r. znalazła odbicie przede wszystkim w źródłach wspomnieniowych. Doczekała się również licznych opracowań, m.in. w akademickich ośrodkach Białegostoku, Lublina, Łodzi, Warszawy, i Wrocławia.

W artykule tym chciałbym zwrócić uwagę na motywy oraz ewolucję odczuć i zachowań wobec rosyjskich najeźdźców określonych grup ludności, zróżnicowanych pod względem narodowościowym, konfesyjnym i społecznym. Diametralna przemiana stosunku do Sowietów ogółu ludności Kresów Wschodnich dokonała się po zakończeniu pierwszego, dość łagodnego okresu okupacji, wraz z nasileniem się aresztowań i represji w okresie późniejszym.

Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski 17 września 1939 r. stanowiło zaskoczenie dla kresowych władz administracyjnych i wojskowych. Istniały nawet fałszywe domniemania, że Związek Radziecki przychodzi walczącej z Niemcami Polsce z militarną pomocą. Poza tym błędy w polityce kresowej rządów Sanacji, głównie na południowo-wschodnich rubieżach państwa sprawiły, że ludność białoruska i ukraińska przy nadarzającej się okazji dała upust swojej niechęci i nienawiści do Polski i Polaków. Jak informują świadkowie ówczesnych wydarzeń

[...] sowiecka propaganda była niemal zbędna i niepotrzebna po to, aby nakłonić mieszkańców zajmowanych obszarów do brutalnych porachunków między sobą.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali. Polska a Rosja 1939-42.* Wybór i opracowanie J. T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s. 17; K. Jasiewicz, *Zagłada polskich kresów. Ziemiaństwo polskie na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką*, Warszawa 1998, s. 71.



Oddziały Armii Czerwonej w osadach, miasteczkach i miastach kresowej Polski spotykały się raczej z dobrym, a niekiedy nawet serdecznym przyjęciem ze strony pewnych warstw tamtejszej ludności. Bardzo często żołnierzy sowieckich podejmowano chlebem i solą, obdarowywano kwiatami lub budowano na ich powitanie udekorowane zielenią bramy triumfalne. W stosunku do ludności cywilnej, za wyjątkiem jednostek odgrywających znaczącą rolę w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym lub wojskowym, żołnierze rosyjscy zachowywali się na ogół poprawnie (taki mieli rozkaz), a swym wyglądem i sposobem bycia budzili raczej uczucie politowania, lekceważenia i pogardy. Ksiądz Albin Janocha, który we wrześniu 1939 r. przebywał w Olesku, tymi słowami opisał wkroczenie Sowietów do miasta:

Żołnierze w szarych, wystrzępionych, pomiętych płaszczach, przepasani parciowymi pasami, karabiny długie z zatkniętymi bagnietami również na parciowych pasach... Nawet oddzielne słowa rosyjskie, które zdołałem od nich usłyszeć wydawały mi się jakieś grube, brzydkie.<sup>2</sup>

W podobnym duchu wypowiadali się inni autorzy wspomnień. Np. przykład Tadeusz Kochanowicz w swoich wspomnieniach z zesłania napisał odnośnie uczuć, nurtujących wtedy Polaków i Ukraińców:

Wojska sowieckie (Polacy – J.S.) traktowali pogardliwie, podkreślali zaniedbany wygląd oficerów i to, że żołnierze nosili karabiny nie na skórzanych, lecz parcianych pasach. Nie chcieli dostrzec przewagi armii sowieckiej nad Polską w dziedzinie uzbrojenia technicznego. Odmienne nastroje panowały wśród Ukraińców... Nie byli wprawdzie zachwyceni, ale uważali, że mimo wszystko sytuacja się poprawiła.<sup>3</sup>

Zachowane relacje świadków tamtych dni przechowywane w Instytucie Hoovera (USA), doskonale obrazują stan ducha obywateli polskich różnych narodowości. Dwunastoletni wówczas Stanisław R. z powiatu wołkowyskiego ujął to lapidarnie w trzech zdaniach:

Przybycie Rosjan do Polskiej ziemi było smutne i wesołe. Dla niektórych Żydów, Ukraińców i Białorusinów było wesoło. A Polakom smutno i ciężko.<sup>4</sup>

Białorusini i Ukraińcy odczuwali nierzadko potrzebę rewanżu za szykany polskiej administracji państwowej, realizującej przed wojną politykę przymusowej asymilacji owych mniejszości narodowych. Ponadto Ukraińcy boleśnie przeżyli polską pomoc wojskową udzieloną Węgrom przy aneksji Rusi Zakarpackiej, gdzie krwawo rozprawiono się z utworzonym tam ukraińskim rządem.

W początkowym okresie okupacji sowieckiej Polacy prowadzili ożywioną działalność konspiracyjną, która miała wieloraki charakter. Na niektórych terenach uaktywnił się opór zbrojny. Lekceważenie przeciw-

<sup>2</sup> A. Janocha, *Pod opieką Matki Bożej*, Wrocław 1993, s. 15.

<sup>3</sup> T. Kochanowicz, *W Komi i gdzie indziej. Wspomnienia z pobytu w ZSRR (1939-1942)*, Warszawa 1989, s. 9.

<sup>4</sup> *W czterdziestym nas Matko...*, s. 89.

nika prowadziło do zaniedbywania elementarnych zasad ostrożności. Na przykład we Lwowie krążył na ten temat następujący dowcip:

Pewien mężczyzna przychodzi do nieznanego sobie mieszkania i pyta o znajomego. W odpowiedzi słyszy: Nie może pan z nim teraz rozmawiać, bo właśnie odbywa się u nas konspiracyjne zebranie.<sup>5</sup>

Z okupacji sowieckiej radzi byli obywatele polscy o przekonaniach komunistycznych. Większość z nich rekrutowała się z biedoty oraz polskich, żydowskich, białoruskich i ukraińskich elementów lumpenproletariackich i przestępczych. Ludzie ci podjęli natychmiastową współpracę z Sowietami, wchodząc w skład tworzonych przez Rosjan tzw. komitetów tymczasowych oraz oddziałów milicji, z której pomocy korzystano przy utrwalaniu nowych, bolszewickich porządków, a szczególnie przy denuncjacji i aresztowaniu tzw. „wrogich elementów”. Szczególnie widoczna współpraca z okupantami sowieckimi dotyczyła Żydów. W archiwum Yad Yashem zachowały się liczne dokumenty potwierdzające ten fenomen, który m.in. można wytłumaczyć nędzą i wielodzietnością większości środowisk żydowskich. Do Rosjan bowiem garnęła się głównie żydowska młodzież. Oddają głos żydowskim świadkom ówczesnych wydarzeń:

Żydzi z radością witali wojska radzieckie, młodzież spędzała wieczory i dnie wśród żołnierzy, natomiast w Grodnie: Gdy Bolszewicy wkroczyli na tereny polskie odnieśli się oni z dużą nieufnością do ludności polskiej, zaś z pełnym zaufaniem do Żydów... wszelkie urzędy obsadzili przeważnie Żydami i im też powierzyli kierownicze funkcje.

We Lwowie, jak relacjonował inny żydowski świadek wydarzeń:

[...] muszę zaznaczyć, że Żydzi zajęli od pierwszej chwili większość stanowisk w urzędach sowieckich.<sup>6</sup>

W tym czasie komunistyczni aktywiści żydowscy drwili z Polaków mówiąc m.in.: „Chcieliście Polski bez Żydów, macie Żydów bez Polski”. Motywem takiego postępowania była nie tylko silna wiara w przyniesiony na bagnietach „ustrój sprawiedliwości społecznej”, ale przede wszystkim mentalność żyjącej od wieków w Europie Środkowo-Wschodniej, lecz wyalienowanej ze społeczeństwa obywatelskiego diaspory wyznania mojżeszowego, która nie identyfikowała się ani z interesami, ani z kulturą, ani z religią narodów sprawujących władzę państwową na tych terenach. Nie mając własnego państwa i nie asymilując się w obcym środowisku, tamtejsi Żydzi każdą władzę uważali za obcą, z którą należało ułożyć jaką taką współpracę. Zatem to, co dla Polaków oznaczało akt zdrady, dla Żydów nie zasługiwało na pejoratywną ocenę. Poza tym dyskryminację mniejszości żydowskiej w Polsce przedwojennej wyznawcy religii mojżeszowej odczuwali bardzo boleśnie. Toteż – jak po wkrocze-

<sup>5</sup> T. Kochanowicz, op. cit., s. 9; J. Węgierski, *Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941*, Warszawa 1991, s. 65.

<sup>6</sup> *W czterdziestym nas Matko...*, s. 29.

niu Rosjan napisała nie darząca bynajmniej bolszewików sympatią Żydówka z Gródka Jagiellońskiego –

[...] nie było prześladowań rasowych lub narodowościowych i Żyd po raz pierwszy nie był obywatelem drugiej klasy.<sup>7</sup>

Entuzjastyczne powitanie i sympatie do Armii Czerwonej manifestowane przez znaczną część Żydów na polskich Kresach Wschodnich kryją w sobie swoisty paradoks, kiedy się zważy fakt, że okupanci rosyjscy rychło zniszczyli instytucje gmin żydowskich oraz olbrzymi na tym terenie dorobek kulturalny Żydów, a ich społeczność – podobnie jak pozostałe rzesze ludności – traktowali w oparciu o kryteria klasowe. Tak więc w początkowym okresie okupacji, w subiektywnym odczuciu, swoisty egalitaryzm w odnoszeniu się przez nową władzę do wszystkich grup ludności był dla Żydów probierzem pozytywnej oceny sytuacji, w której się znaleźli. Ta polityka okupanta sowieckiego stanowiła psychologiczną pułapkę, będąc odwróceniem klasycznego wzoru dyskryminacji spychającej Żydów w obręb getta, umożliwiającej lub utrudniającej im jakikolwiek awans społeczny. W planach Rosjan Żydzi mogli stać się równoprawnymi obywatelami sowieckimi, równocześnie wyrzekając się swojej odrębności kulturowej. Inaczej mówiąc:

W klasycznym modelu dyskryminacji nie dopuszczano do faktycznego uobywatelnienia Żydów, w modelu sowieckim pozbawiano Żydów ich żydowstwa.<sup>8</sup>

Ale powróćmy do ocen uczuć i myśli nurtujących zamieszkujących lub przebywających w tym czasie na Kresach Polaków. Większość z nich odnosiła się do okupantów sowieckich z ogromną pogardą i niechęcią, a nawet lekceważeniem, tym bardziej że drastycznie pogorszyły się warunki życia, zaczęło brakować podstawowych produktów spożywczych, odzieży i opału, a przed sklepami ustawiały się ogromne kolejki. Już w początkowym okresie okupacji, kiedy w sposób nakazowy wartość rubla zrównano z polskim złotym, rozpoczęło się szaleńcze wykupywanie towarów przez Rosjan. W swojej znakomitej pracy pt. *Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie w latach 1939-1941*, Wojciech Śleszyński zacytował relacje świadków tamtych dni, mówiące o dziwacznych upodobaniach sowieckiej klienteli polskich sklepów.

„Żołnierze czerwonej armii wykupywali wszystko, co się dało, nawet lep na muchy, mimo, że much nie było” – zanotowano w jednym z tajnych raportów o okupacji Białostocczyzny.<sup>9</sup>

Klemens Rudnicki, który znalazł się w tym czasie we Lwowie, zaszokowany był odmiennym, „azjatyckim” wyglądem miasta, bowiem na jego ulicach i placach zaczął dominować smutek, brud, zgielek i natrętne rekwizyty propagandy sowieckiej: ogromne transparenty z oszukańczymi

<sup>7</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>8</sup> Ibidem, s. 31.

<sup>9</sup> W. Śleszyński, *Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie w latach 1939-1941*, Białystok 2001, s. 300.

hasłami oraz portrety i gipsowe pomniki tzw. „wodzów rewolucji”. Na lwowskim Pasażu Mikolasza zaobserwował ożywiony handel uliczny.

„Sowieci kupują wszystko, od damskiej bielizny i innych części garderoby, aż po łyżki, widelce czy latarki elektryczne. Największym popytem cieszą się zegarki...” – napisał po latach we wspomnieniach zatytułowanych *Na polskim szlaku*.<sup>10</sup>

Podobne wrażenia wyniósł z Baranowicz młodociany wówczas Mieczysław Kumorek. Zanotował je na stronach swoich więziennie-lagrowych wspomnień:

Po niespełna godzinie znaleźliśmy się w mieście, w którym nie byłem od czasu wkroczenia wojsk radzieckich. Byłem zdumiony zmianą, jaka w nim zaszła w tak krótkim czasie... Odniosłem wrażenie jakbym trafił do obcego miasta.<sup>11</sup>

Senator Konstanty Rdułtowski, który we wrześniu 1939 r. po ucieczce z majątku Czernichów Górny znalazł się wraz z rodziną w Baranowiczach, napisał, iż

Bolszewicy wykupywali wszystko, podziwiając bogatą Polskę. Ich kobiety nosiły nocne koszule jak najpiękniejsze suknie, a widziałem i takiego, że zjadał smacznie pastę do zębów.<sup>12</sup>

Stanisław Chmielewski w *Zapiskach niebohaterskich przeżyć* wspominał o propagandowej dekoracji opanowanego przez Sowieców Białegostoku:

[...] w samym mieście pojawiły się setki plakatów, haseł, portretów, które potem prześladowały nas podczas całego pobytu w Rosji.<sup>13</sup>

Jeszcze grodzieńskie ewokacje Grażyny Lipińskiej:

Przed sklepami ciągną się długie kolejki. Ludność w przecieczu idącego niedostatku kupuje wszystko, co tylko jest w sklepach... Stoją w kolejkach grodnianie, stoją chłopcy z bliższych i dalszych wsi, i stoją masy krasnoarmiejców i innych obywateli sowieckich tłumnie na to żniwo nadjeżdżających ze wschodu.<sup>14</sup>

Ubóstwo, bałagan, brud, stosunkowo mała agresywność i pozorna niezaradność okupanta sowieckiego zaskoczyła ludność cywilną, która wyobrażała sobie bolszewików jako żądnych mordów i grabieży Azjatów. Słusznie zauważył Klemens Rudnicki, iż

Mało kto domyślał się w tym wszystkim strasznego systemu, który powoli i skutecznie zmieni życie w koszmar.<sup>15</sup>

Ewolucja radykalnej zmiany oceny najeźdźców nastąpiła pod wpływem nasilających się aktów przemocy, grabieży, zastraszania, przymusu,

<sup>10</sup> K. Rudnicki, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1990, s. 69.

<sup>11</sup> M. Kumorek, *Z kresów do peczorskich lagrów*, Warszawa 1990, s. 10.

<sup>12</sup> K. Rdułtowski, *Notatki z wygnania*. Warszawa-Wrocław 1996, s. 15.

<sup>13</sup> S. Chmielewski, *Zapiski niebohaterskich przeżyć*, Wrocław 2002, s. 15; W. Sasaki, *Przez wiele mostów*, Warszawa 1992, s. 50-51.

<sup>14</sup> G. Lipińska, *Jeśli zapomnę o nich...*, Paryż 1988, s. 34.

<sup>15</sup> K. Rudnicki, op. cit., s. 70.

szykan, rewizji i innych zorganizowanych represji, rychłych aresztowań i wywózek tysięcy ludzi w głąb Rosji. Dość powszechne lekceważenie zostało wyparte przez uczucie strachu i nienawiści, stając się udziałem wszystkich grup narodowościowych i wyznaniowych. Tak więc również dla tzw. mniejszości narodowych, które stanowiły gros obywateli polskich zamieszkujących tereny zajęte w 1939 r. przez Armię Czerwoną, radość z powodu zakończenia polskiej dominacji, towarzysząca pierwszym tygodniom okupacji sowieckiej, zastąpiło porażające doświadczenie straszliwych, zagrażających istnieniu przeżyć pod rządami rosyjskich komunistów. Tę ewolucję uczuć żywionych do najeźdźców ze wschodu najtrafniej wyraził Mendel Sruł z Łucka:

Ja za takie oswobodzenie im dziękuję i proszę ich żeby to był ostatni raz.<sup>16</sup>

Rządy sowieckie przejawiały się w grabieżach, represjach i wszechobecnym bałaganie. Do ZSRR wywożono wyposażenie fabryk, biur, muzeów, rezydencji ziemiańskich i domów mieszkańców miast. Na wsiach dokonywano bezprawnych kradzieży i konfiskat. Pojedynczy żołnierze Armii Czerwonej szli za przykładem władz, dokonując grabieży na własną rękę. Okupant stosował metody gwałtu i bezprawia, przede wszystkim wobec przedstawicieli polskiej administracji państwowej, ziemian, policji, oficerów wojska polskiego oraz innych służb mundurowych (leśników, strażaków). Wszystkie nacje zamieszkujące Kresy Wschodnie gorszyły się postawą Sowietów wobec religii. Również ponadludzki kult Stalina spotykał się wśród Polaków z żywą niechęcią.<sup>17</sup> Najbardziej znienawidzoną i budzącą groźbę instytucją sowiecką stał się NKWD. On kierował represjami, wywózkami w głąb Rosji setek tysięcy obywateli polskich.<sup>18</sup> „Wielki strach”, jak określił atmosferę panującą wówczas we Lwowie Julian Strykowski, dla wielu mieszkańców Kresów stał się przyczyną hańby. Aleksander Wat w rozmowie z Czesławem Miłoszem wspominał tamten okres okupacji sowieckiej:

We Lwowie rośnie panika, coraz więcej ludzi jest zaaresztowanych... Mówię, że to był najobrzydliwszy okres mojego życia, te kilka tygodni Lwowa... drżałem po prostu i udawałem, że owszem, że przekonałem się znowu do komunizmu.<sup>19</sup>

Wat i inni polscy twórcy literatury podjęli wówczas kolaborację z okupantem na gruncie tzw. „kultury sowieckiej”. Pragnę dodać, że właśnie wtedy budzące złe skojarzenia słowo „sowiecka” zastąpiono określeniem „radziecka”, co stanowiło celową manipulację nomenklaturową ze strony Rosjan i jako chwast posiany na rozkaz okupanta pleni się po dziś dzień w języku polskim.<sup>20</sup>

<sup>16</sup> *W czterdziestym nas Matko...*, s. 33.

<sup>17</sup> W. Śleszyński, op. cit., s. 302.

<sup>18</sup> A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1997, s. 265.

<sup>19</sup> A. Wat, *Mój wiek*, Warszawa 1990, t. 1, s. 265.

Ten służalczy i pełen zdrady stosunek ludzi pióra do najeźdźcy sowieckiego niechaj zostanie zilustrowany fragmentem wiersza Leona Pasternaka:

Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty  
rok lochów bereskich, ludu krwawa kaźń  
– nie ma kresu pogardy, nie ma końca klątw tych,  
które by na rok ten nie powinny spaść.

[...]

A jednak podejmij kalendarz zdeptany,  
część kart jego będziesz kiedyś słauił w pieśniach,  
gdy padła granica, pękły więzień bramy,  
w ten dzień wyzwolenia: siedemnasty września.<sup>21</sup>

Podsumowując niniejszy wywód trzeba powiedzieć, iż stosunek do najeźdźców i okupantów sowieckich na polskich Kresach Wschodnich w latach 1939-1941 był bardzo zróżnicowany. Obywatele II Rzeczypospolitej, którzy byli Polakami, nie licząc pewnych grup kolaborantów, oceniali Rosjan zdecydowanie negatywnie, żywiąc do nich początkowo uczucie lekceważenia i pogardy, a później także lęku i nienawiści. Inne nacje kresowe: Ukraińcy, Białorusini, Żydzi w większości z zadowoleniem, a nawet z entuzjazmem przyjmowali wkraczających do Polski Sowieców, udzielając im pomocy w utrwaleniu nowych porządków, głównie kosztem mienia i życia Polaków. Z upływem czasu, kiedy okupant sowiecki zaostrzył represje, które bez wyjątku dotknęły wszystkie grupy narodowościowe, bowiem tzw. kryterium klasowe stosowano w sposób egalitarny, również ludność ukraińska, białoruska i żydowska, stanowiąca większość mieszkańców tamtych ziem, zaczęła traktować Sowieców z dużą podejrzliwością, lękiem, niechęcią, a nawet nienawiścią.

<sup>20</sup> B. Urbankowski, *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, Warszawa 1998, t. 1, s. 172-173.

<sup>21</sup> Ibidem, s. 30 (L. Pasternak, *Wiersz nowoczesny*).



**GRZEGORZ KOWALSKI**

## **WARUNKI ŻYCIA CODZIENNEGO NA ZESŁANIU**

### **1. Uwagi wstępne**

Los człowieka na zesłaniu zależał, w znacznej mierze, od jego sił witalnych i woli przetrwania oraz jego kondycji psychicznej, a także wiary, które były jednak ściśle zależne od możliwości przetrwania. Owe możliwości dawały przede wszystkim, mocno ze sobą powiązane, wręcz współzależne w warunkach zesłania, wyżywienie i praca. Następными, niezbędnymi warunkami umożliwiającymi przeżycie były, równie ważne, ubranie i mieszkanie. Z materialnymi aspektami życia codziennego w posiołkach, łagrach, przy katorżniczej pracy, zesłańcy toczyli codzienną walkę o życie. Znaczna ich liczba walkę tę przegrała. Ci, którym dane było przetrwać, w spisanych wspomnieniach dali świadectwo nie ludzkich cierpień, które im i ich rodzinom zgotował radziecki okupant.

We wspomnieniach zesłańców jawi się pewien wspólny rys, by nie rzec schemat, losów zesłańczych. Wszyscy oni, bez względu na datę i region wywiezienia, opisują podobne koleje swego losu. Czy to Syberia, z jej bezkresną tajgą, czy suche stopy Kazachstanu, pewne cechy zesłania powielają się w spisanych relacjach. Począwszy od dnia raptownego „przebudzenia”, kilkutygodniowy transport koleją o „chlebie i wodzie” – choć niejednokrotnie i tego brakowało – w głąb Związku Radzieckiego, przez trwającą dalszych kilka dni, bądź tygodni, podróż saniami lub wozami ku miejscom przeznaczenia, aż do osiedlenia w owych posiołkach, kołchozach i sowchozach. Już na miejscu, czy to w posiołku, czy w kołchozie, czekał ich podobny, wspólny los: poniżenie, chłód lub spiekota, katorżnicza praca, głód, choroby, wycieńczenie i w wielu przypadkach śmierć.

Zaznaczyć tutaj trzeba, że mimo zakazu, ze strony NKWD, kontaktów bezpośrednich ludności tubylczej z zesłańcami i jej wcześniejszej niechęci do zesłańców spowodowanej propagandą aparatu władzy, po skonfrontowaniu twarzą w twarz, ludność ta bardzo często widząc w zesłańcach ludzi podobnych sobie, udzielała pomocy w niedoli zesłania wiedząc czym ona jest, gdyż sami wcześniej jej doświadczyli. Rzeczeni „krwiopijcy”, „wyzyskiwacze klasy pracującej”, owe „Polskie Pany”, okazywali się często ludźmi podobnymi im, skromnymi, wystraszonymi tym co zastali i niepewnością swego losu; tym bardziej, że pośród nich przeważały kobiety, dzieci i starcy; mężczyźni w sile wieku było mało,



gdyż większość była wcześniej zmobilizowana do Polskiej Armii i brała udział w wojnie.

## 2. Wyżywienie

Od pierwszych chwil zesłania, już w drodze na zsyłkę, tj. od momentu wejścia na pokład wagonu kolejowego, dla Polaków wywożonych w głąb Związku Radzieckiego, żywność stanowiła bardzo ważny czynnik umożliwiający dotarcie do przymusowego celu „podróży”. W miejscach docelowych zesłania, w których panowały skrajnie trudne warunki bytowe spowodowane, między innymi, niespotykanymi w Polsce mrozami, bądź bardzo dużymi upałami, wyżywienie stało się najistotniejszym elementem czyniącym przetrwanie możliwym. Wyruszywszy w ową podróż w nieznane, zesłańcy zaczęli cierpieć niedostatek wszystkiego; począwszy od warunków sanitarnych, ciepła, aż po głód. Niewielu dano czas i możliwość zabrania ze sobą wystarczającej ilości żywności, ubrań i sprzętów niezbędnych do życia na Syberii, czy w Kazachstanie.

Choć sporadycznie zdarzały się sytuacje, w których obchodzono się bardziej po ludzku z przyszłymi zesłańcami, umożliwiając im zabranie ze sobą wystarczającej ilości pożywienia i ubrań, jak miało to miejsce w przypadku niektórych z zesłanych rodzin – pewnej rodzinie przykładowo, dano na tyle czasu, by mogła zaopatrzyć się na drogę w dwa worki mąki, worek ziemniaków i jarzyn,<sup>1</sup> innej pozwolono nawet zabrać ze sobą w drogę tuszę świeżo ubitego cielaka i wieprzową słoninę<sup>2</sup> – to jednak na porządku dziennym było bezwzględne i okrutne obchodzenie się z deportowanymi, jak to wyglądało u jednej z wielu wywiezionych polskich rodzin, na której dopuszczono się nawet pobicia i kradzieży, co lepszych rzeczy, nie dając czasu na zabranie nawet jedzenia.<sup>3</sup>

W trakcie podróży koleją trwającej kilka tygodni, w zatłoczonych bydłowych wagonach zaryglowanych od zewnątrz na czas drogi, by uniemożliwić ucieczkę, karmiono deportowanych raz dziennie lub raz na kilka dni, dając czarny chleb i tzw. „kipiatok”,<sup>4</sup> czyli wrzątek, i to tylko w przypadku wywózki na Syberię oraz doprawdy sporadycznie, jeden gorący posiłek w postaci kaszy z jakimś mięsnym sosem.<sup>5</sup>

Na samym początku podróży, mimo niewystarczającego i bardzo rzadkiego dostarczania żywności przez obsługę eszelonów, zesłańcy nie odczuwali przejmującego głodu, gdyż każdy z deportowanych doświadczając tego samego losu dzielił się tym, co miał do jedzenia zabranym jeszcze z ojczyzny, z pozostałymi uczestnikami niedoli. Głód narastał jed-

<sup>1</sup> T. Tokarz, *Skrzywdzona przez los*, Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (dalej: AN PTL), sygn. 103/s, s. 2.

<sup>2</sup> A. Zybajło-Masternak, *Moje spotkania z władzą radziecką podczas I i II WŚ*, AN PTL, sygn. 21/s, s. 9.

<sup>3</sup> J. Maliszewska, *Moje wspomnienia z Syberii*, AN PTL, sygn. 111/s, s. 2.

<sup>4</sup> T. Sitarek, *Wspomnienie z Syberii*, AN PTL, sygn. 17/s, s. 5.

<sup>5</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 3.

nak z każdym kolejnym dniem. Podróż trwała często wiele tygodni w koszmarnych warunkach sanitarnych. Oba te czynniki przyczyniały się do śmierci najsłabszych jeszcze w trakcie jazdy ku docelowym posesiom.

W trakcie dalszej drogi do miejsc przesiedlenia, zesłańcy odbywali podróż w ogromnych mrozach, w przypadku zsyłki na Syberię lub w straszliwej spiekocie, w przypadku, gdy miejscem docelowym był Kazachstan i okoliczne regiony. Warunki owej podróży zależne były również od pory roku, w której wywózka miała miejsce – zima, wiosna, czy początek lata. Podczas jazdy na Syberię tułaczka odbywała się saniami, a w kierunku Kazachstanu wieziono zesłańców wozami konnymi, furmankami. Część deportowanych, przeważnie tych zesłanych do Kazachstanu, była przewożona ciężarówkami, przez co na miejsca zesłania docierała szybciej.

Droga zajmowała kolejne długie tygodnie zanim zesłańcy dotarli do przeznaczonych im miejsc zesłania. Owa gehenna odbywała się zarówno dniem, jak i nocą, o głodzie i chłdzie. Dzieci i słabsi fizycznie marli w tej wędrówce. W drodze zatrzymywano się przeważnie w celu nakarmienia koni, natomiast ludzie w tym czasie, mogli jedynie „rozprostować kości”, gdyż postój nie trwał wystarczająco długo. Sporadycznie zatrzymywano się jednak, by i ludziom dać odpocząć. Rozmieszczano ich wtedy u poszczególnych kolchoźników i miejscowej ludności, którzy niejednokrotnie byli przesiedleńcami po wewnętrznych zawieruchach politycznych Rosji. Stąd brało się ich rozumienie losu polskich zesłańców. Współczucie i serdeczność, którymi często obdarzali polskich wygnañców polegały, między innymi na dzieleniu się tym, co mogli sami zaofiarować, czyli ciepłym jedzeniem i noclegiem. Był to poczęstunek, w drodze do posesioma przeznaczenia, przez równie biednych mieszkańców wioski. Często wiali czym mogli, przykładowo: „ziemniakami w mundurkach, czajem z samowaru”,<sup>6</sup> czy choćby tylko przegotowaną wodą<sup>7</sup> dla rozgrzania wycieńczonego organizmu.

Tym, co dotarli do wyznaczonych im miejsc zesłania przyszłość jawiła się w najczarniejszych barwach, a jak czas pokazał, przewidywania ich sprawdziły się po stokroć z bardzo nielicznymi wyjątkami. Ci, co nie zdołali dostosować się do warunków panujących w rejonach deportacji, których zdrowie i kondycja fizyczna załamały się, zmarli, pozostawiając na tych ziemiach kolejny tragiczny ślad wygnañczego losu narodu polskiego. Po przybyciu na miejsce przymusowego osiedlenia, zesłańcy zostali rozlokowani w posesiomach, kolchozach i sowchozach. Wyżywienie ich leżało w gestii władz poszczególnych osiedli. Reglamentacja produktów żywnościowych zależała ściśle od wykonywanej pracy, bardzo często pozostawiając wiele do życzenia. Już od momentu przybycia na miejsce za-

<sup>6</sup> M. Kuczyński, *Moja wojenna tułaczka*, AN PTL, sygn. 110/s, s. 11.

<sup>7</sup> A. Borkowska, *Wspomnienia z pobytu na Syberii i w Kazachstanie*, AN PTL, sygn. 107/s, s. 2.

znaczono, że na jedzenie zesłańcy muszą zapracować, darmo tylko „kipiatok”.<sup>8</sup> Nic nie będzie im dane za darmo, a „kto nie pracuje ten nie je”.

Podstawowym produktem spożywczym na zesłaniu był chleb, na który trzeba było zapracować i który z reguły był produktem deficytowym. Mimo zapewnionych przydziałów<sup>9</sup> nigdy nie było pewności, że wystarczy go dla wszystkich stojących w kolejce.<sup>10</sup> Zarabianiem na chleb zajmowali się dorośli, choć nadmienić tu trzeba, iż zaliczano do nich również dzieci, które skończyły czternasty rok życia.<sup>11</sup> Chleb sprzedawano w miejscowych sklepikach, tzw. „łarkach”, na kartki.<sup>12</sup> Przeważnie stanie w kolejkach po chleb należało do obowiązków dzieci.<sup>13</sup> Rodzice zmuszeni byli obarczyć dzieci tym obowiązkiem, gdyż oni w czasie, gdy był on „rozdzielany”, pracowali w lasach, bądź w polu, oddalonych o wiele kilometrów od posiołków i kołchozów. Szczególnie w przypadku pobytu na Syberii, w ciągu syberyjskiej zimy panującej przez większość miesięcy w roku, nie było to zadanie łatwe dla dziecka, gdyż wiązało się z wczesnym wstawaniem, już o godzinie szóstej rano i wystawianiem pod sklepikiem na mrozie w nędznym ubraniu, często bez zimowego obuwia, czasem z nogami owiniętymi tylko szmatami. W Kazachstanie natomiast doskwierał upał w lecie, a zimą zamiecie śnieżne powodowane przez wiatr, tzw. „buran”. Również niejednokrotnie, gdy nie dowieziono wystarczającej ilości chleba, dochodziło do walki o każdy jego kawałek.

Przydział chleba w poszczególnych regionach różnił się i był zależny, zarówno od władz osiedli specjalnych, którą reprezentował komendant obozu, jak i od zatrudnienia oraz wypracowanych norm. Zawsze jednak racje chleba były skromne i w nie wystarczającej ilości przy tak katorżniczej pracy. Niejednokrotnie nie wystarczało pieniędzy zesłańcom na chleb, gdyż nie wyrabiano wyśrubowanych norm pracy, co było spowodowane złym stanem ich zdrowia.<sup>14</sup>

Tak np. normy przydziału chleba opisuje jeden z deportowanych do pracy w tajdze, osiedlony w posiołku Suchona, w obwodzie Archangielskim:

Przydział wynosił dla pracującego 1kg, a niepracujący otrzymywał 0,5kg na dzień. Bochenek chleba ważył 4kg. Umożliwiało to praktycznie podział tego ciężkiego razowca na porcje 1kg i po 0,5kg. W świecie cywilizowanym i przy racjonalnym odżywianiu spożywanie takich ilości chleba przez ludzi to nonsens i paradoks. Ale sprawdzała się stalinowska zasada: „chleb i woda niet gołoda.”<sup>15</sup>

<sup>8</sup> T. Sitarek, op.cit, s. 5.

<sup>9</sup> L. Słodki, *Wspomnienia (bez tytułu)*, AN PTL, sygn. 104/s, s. 11.

<sup>10</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>11</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 13.

<sup>12</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2

<sup>13</sup> Ibidem.

<sup>14</sup> L. Słodki, op. cit., s. 12.

<sup>15</sup> Ibidem, s. 11.

Inny, również deportowany w tajgę syberyjską, zesłaniec z obwodu Tiumeńskiego, z posiłku umiejscowionego nad rzeką Ob, takie z kolei przytacza normy przydziału chleba: po 0,5 kg dla pracujących i po 0,2 kg dla dzieci, starców i inwalidów.<sup>16</sup> W jego wspomnieniach warte także przytoczenia jest obchodzenie się z chlebem i wyrażający się w tym szacunek i dbałość o rodzinę:

Chlebem w domu rządził ojciec. Twierdził, bowiem że trzeba racjonalnie go jeść, bo w przeciwnym wypadku umrzemy z głodu. Miał rację. Trzymał go, więc pod kluczem w kuferku zabranym z Podola. Cała racja dzienna chleba dla naszej ośmioosobowej rodziny wynosiła 3kg 100g. Był to bochenek i nieraz kawaleczek. Dzielenie chleba odbywało się dwa razy dziennie – rano i wieczorem. Szczególnie wieczorne dzielenie utkwiło mi w pamięci. Wszyscy z rodziny za wyjątkiem nas trojga małych dzieci chorowali na tzw. kurzą ślepotę. Polega ona na tym, że z chwilą nastania zmroku nic się nie widzi. Ojciec, pomimo że był ślepy, wiedziony jakimś instynktem, wyjmował z kuferka chleb i dzielił go, tzn. krajał każdemu bez wyjątku jednakowy kawałek wielkości dwóch pudełek zapalek. My młodszy roznosiliśmy i kładliśmy każdemu w wyciągnięte i rozłożone dłonie. Jedliśmy w milczeniu – była to nasza rodzinna komunია.<sup>17</sup>

Z kolei zesłanka z obwodu Wołogodzkiego, z posiołka Ozierona, pisze, iż kupowany na kartki chleb dla pracującego przypadał w ilości 1,5 kg, a dla dziecka 0,7 kg na dzień.<sup>18</sup> Jeszcze inne dane podaje wygnanka przesiedlona do obwodu Krasnojarskiego: 0,4 kg dla pracujących i 0,15 kg dla dzieci i starów.<sup>19</sup>

Natomiast jeden z zesłańców pracujący przy szczególnie niebezpiecznym zadaniu w tajdze, przy budowie pochylni do spuszczenia ze stromego brzegu rzeki drzew do wody, zaznaczając, iż było to wyjątkowe wyróżnienie, przytacza zatrwającą niską normę żywnościową, zważywszy na trud wykonywanej pracy:

Jak nigdy przedtem i potem podczas budowy rynny (około dwóch tygodni) 24 osobowa brygada w trakcie 12 godzinnego dnia pracy otrzymywała obiad składający się, z: 20 dkg chleba i 5-8 dkg solonej stynki. Było to wyróżnienie podkreślające ważność zadania, jakie miała brygada.<sup>20</sup>

Wydaje się, iż ów kilku-dekagramowy dodatek ryby niewiele kalorii mógł dodać w tym wypadku, aczkolwiek była to wyjątkowa doza tłuszczu dodająca energii w takich okolicznościach.

Również konsystencja, skład zbóż i jakość chleba pozostawiały dużo do życzenia. Był to chleb „czarny jak ziemia, a przy tym jeszcze po prostu, jak glina rozrobiona z wodą. Chleb był w kształcie cegiełki. Porcja 500-gramowa – to była kromka grubości 2 cm”.<sup>21</sup> Chleb, „z którego

<sup>16</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

<sup>17</sup> Ibidem.

<sup>18</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>19</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>20</sup> A. Gruber, *Druga do wojska*, AN PTL, sygn. 13/s, s. 13.

<sup>21</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

można było lepić koniki”.<sup>22</sup> Lecz mimo wszystko był to produkt pożądany i niezbędny by jakoś, choć w minimalnym stopniu, zaspokoić głód. Białe chleby to były delikatesy, które sporadycznie, od wielkiego dzwonu, najczęściej 1-go maja, czyli w robotniczym dniu świątecznym pojawiały się w posiłkach. Lecz jego dostępność dla każdego „pieresielienca” była minimalna i sztuka jego zdobycia była niezmiernie trudna. Nieliczne osoby miały to szczęście, że pracowały przy wypieku chleba, co zwiększało szanse ich rodzin na przetrwanie w tych trudnych warunkach.<sup>23</sup>

Trochę lepiej w początkowym okresie zesłania przedstawiała się sytuacja z chlebem w Kazachstanie. Oprócz „przydziałowego” chleba piekli go również sami, gdyż w każdym kolchozie była piekarnia. Chleb wypiekało się również w domu. Najczęstszym zbożem do jego wypieku był jęczmień lub proso. By zwiększyć ilość wypieku oraz choć minimalnie zwiększyć zawartość tak potrzebnych witamin, dodawano nawet otręby z bóż. Za wypracowane normy dostawało się przydział zboża, które następnie we własnym zakresie trzeba było zemleć w prymitywnych żarnach. Pracujący dorośli dostawali 1 kg pszenicy, dzieci 60 dkg.<sup>24</sup>

Za ciężko wypracowywane dniówki dostawało się po 40 dkg czarnego chleba i 0,5 litra zupy, w której pływały nieliczne ziarna kaszy jaglanej i sporadycznie można było znaleźć w niej kawałek mięsa końskiego.<sup>25</sup> Normy dniówek były różne w poszczególnych kolchozach i sowchozach. Na przykład w kolchozie Budionny, w obwodzie Aktiubińskim, dostawało się jedynie 20 dkg chleba oraz raz dziennie 0,5 litra mleka odtłuszczonego.<sup>26</sup> Najgorzej było na przednówku, kiedy dniówka obrachunkowa wynosiła jedynie 0,3 kg zboża i nic więcej.<sup>27</sup>

Zupa była drugim, pod względem dostępności, składnikiem codziennej diety we wszystkich rejonach zesłania. Po jej porcję również trzeba było wystawać w długich kolejkach i tym także najczęściej zajmowały się dzieci. Zupy były gotowane na kaszy jęczmiennej razem z otrębami, rozwodnione i okraszone jedynie solą, której również brakowało, a sporadycznie dodawano do niej trochę suszonej ryby.<sup>28</sup> Zupę taką nazywano „uchą”. Innym przykładem gotowanych zup jest rozwodniony kałużniak z niewielkim dodatkiem ziemniaków.<sup>29</sup>

Kolejnym rodzajem zupy, była wydawana raz dziennie w ilości 0,5 litra, tzw. „bałanda”. „Była to w większości tzw. „łapsza”, tj. makaron, krajanka z żytniej mąki, zarzucony na wrzącą wodę. Nieraz trafił się jakiś rozmoczony klusek”.<sup>30</sup>

<sup>22</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>23</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 15.

<sup>24</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

<sup>25</sup> J. Stefanik, *Okruchy koszmarnych wspomnień*, AN PTL, sygn. 12.s, s. 7.

<sup>26</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>27</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

<sup>28</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 17.

<sup>29</sup> L. Słodki, op. cit., s. 23.

<sup>30</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

Skrajnym przykładem bardzo niskiej jakości i wartości odżywczej zupy może być ta, którą przygotowywano dla przesiedlonych do kolchozu Siemipółka, w Kirgizji. Gotowano tam „polewkę” z mąki na wodzie. Była w postaci rozwodnionej zacierki, a dodawano do niej piołunu, przez co stawała się gorzka i ciężko ją było przełknąć.<sup>31</sup> Pożywieniem, na które również było stać polskich wygnańców była kasza owsiana „okraszona” olejem, po którą stało się w kolejce, w stołówce. Porcja kosztowała 60 kopiejek.<sup>32</sup> Zdarzało się, że była ona jedynie lekko słodzona, bez żadnej omasty.<sup>33</sup>

W stołówkach i sklepikach bywały dostępne także inne produkty żywnościowe, np. mięso, ziemniaki, itp., lecz zesłańców nie było na nie stać. Jedynie na takie, jak te trzy główne posiłki starczało im pieniędzy. Ceny jakiegokolwiek żywności były bardzo wysokie. Normy pracy były tak zawyżone, że nawet w miarę zdrowych nie było stać na ich wypracowanie. Przez co zarobki zesłańców również były bardzo niskie. Przykładowo, kilogram chleba kosztował 1 rubel i 5 kopiejek, a za 6 godzin pracy dostawało się 1 rubla.<sup>34</sup> Oczywiście nie pracowało się tylko 6 godzin, lecz od rana do nocy, często po 16, a nawet 18 godzin na dobę i to dawało szansę na kupno minimalnej porcji żywności i to tej najniezbędniejszej. Choć zdarzały się przypadki, że nie było ludzi stać nawet na wykupienie chleba.

Produkty takie jak: cukier, sól, kawa zbożowa, masło, czy cukierki, były zbytkiem, luksusem, na który zesłańcy w bardzo wyjątkowych sytuacjach mogli sobie pozwolić. W tak trudnej sytuacji, przy ciągłym niedożywieniu i głodzie, braku witamin, starano się w miarę możliwości na wszelkie dostępne sposoby uzupełniać codzienną dietę. Zesłańcy, dzięki własnej inicjatywie i pomysłowości oraz poznaniu miejscowych roślin, a także po nauczeniu się sposobów ich przyrządzania od ludności tam zamieszkałej potrafili przygotowywać posiłki praktycznie ze wszystkiego, co nie szkodzi człowiekowi.

Na Syberii, jednym ze sposobów na uzupełnienie codziennej, głodowej diety oraz niedoboru witamin, który powodował skorbut i kurzą ślepotę, było zbieranie runa leśnego. Lecz możliwe to było tylko w czasie panującego niezmiernie krótko, tylko dwa miesiące, lata. Zbierano wtedy w tajdze: jagody, poziomki, żurawinę, maliny, borówki, czerwoną i czarną porzeczkę.<sup>35</sup> Zbierano wszystko, w co bogata była syberyjska tajga. Powyżej runa leśnego rosła jarzębina. Z jej owoców przygotowywano na zimę dżemy, smażąc je uprzednio długo, by pozbyć się goryczy. Zbiera-

<sup>31</sup> J. Leśniak, *Wspomnienia Sybiraczki*, AN PTL, sygn. 22/s, s. 5.

<sup>32</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>33</sup> A. Benisz, *Droga przez mękę*, AN PTL, sygn. 15/s, s. 17.

<sup>34</sup> L. Słodki, op. cit., s. 11.

<sup>35</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

no także różne gatunki grzybów. Z nich robiono zaprawy, suszono na zimę i wymyślano różne sposoby ich konserwacji.<sup>36</sup>

Peklowanie w dużej ilości soli było jednym ze sposobów konserwowania grzybów. Jedna z zesłanek tak to opisuje:

Gotowano zupeł z solonych i robaczywych grzybów, gdyż ludzie zbierali grzyby. Tam rosły inne w niewielkiej ilości. Brak było prawdziwych. Do spotykanych należały: betki, surojadki, olszówki. Wszystkie te, które posiadały blaszki nie były przebierane, a tylko wsypano do beczek i solono. Mocno solono. Kiedy sól już przeżarła wyjmowano z beczek i takie nie gotowane zjadano w stołówce.<sup>37</sup>

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej sytuacja żywieniowa pogorszyła się. Przestały przychodzić z Polski paczki żywnościowe, które także były uzupełnieniem wyżywienia. Mimo wstąpienia w zesłańców nowego ducha i chwilowej radości, jeszcze większy głód zaczął zaglądać ludziom w oczy. W obozach zwiększono normy pracy, a zmniejszono racje żywnościowe. Wszystko z tego powodu, by żołnierzom na froncie nie zabrakło prowiantu.<sup>38</sup> Sytuacja poprawiła się w momencie zawarcia porozumienia znanego pod nazwą Sikorski-Majski, kiedy to uznano, że Polacy nie są już wrogami radzieckiego państwa i narodu, lecz sojusznikami. Znow docierały paczki żywnościowe do obozów. Tym razem z Anglii i Stanów Zjednoczonych. Choć zawsze było ich niewystarczająco, jak na tak wyniszczone organizmy. W dodatku, znaczna ich część przepadała w drodze. Były wyczejnie kradzione.

Polepszająca się sytuacja polskiej ludności na zesłaniu nie trwała jednak długo. Po katastrofie gibraltarskiej, kiedy status Polaków ponownie się zmienił, głód powrócił. I mimo powstania w późniejszym czasie, „Armii Berlinga” oraz Związku Patriotów Polskich sytuacja nie wiele się zmieniła. Znow wszystko było podporządkowane wojsku, a żywność przygotowywano głównie z myślą o żołnierzach na froncie.

Tak tę sytuację wspomina zesłanka z posiołka pod Karpogorami, w obwodzie Archangielskim:

W stołówce powstała wielka pustka, gdyż nic nie przywożono. Wszystko szło na front, a tam też było słabe wyżywienie. Wszystkim kolchoźnikom wydano rozkaz, aby suszyli kartofle dla frontu. Takie suszone kartofle są niedobre, ale głód dodaje najlepszego apetytu i wszystko smakuje. Suszono je więc na kartkach zrobionych z łuczywa. Kartofle gotowano, obierano potem ze skórki, krajało w plasterki i wsuwano do pieca, aby tak wyschły.

W rosyjskim piecu palono codziennie, gdyż tamtejsze kobiety codziennie wypiekały jęczmienny chleb, który na drugi dzień już nie nadawał się do jedzenia, gdyż był gorzki.<sup>39</sup>

<sup>36</sup> L. Słodki, op. cit., s. 19.

<sup>37</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

<sup>38</sup> A. Gruber, op. cit., s. 18.

<sup>39</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

Z głodu ludzie przygotowywali posiłki z przeróżnych składników. W lasach zbierano dziki szczaw, koniczynę, komosę. A że wszystkie te leśne rośliny mały cierpki i gorzki smak gotowano je wielokrotnie w wodzie z solą, jeśli udało się ją zdobyć i sodą; mielono na maszynie i robiono z tego placki z dodatkiem mąki i tłuszczu, jeśli i te udało się zdobyć.<sup>40</sup> Zbierano również wszelkie zioła i kłącza: lebiodę, pokrzywę, złotogłów. Z pokrzywy gotowano wodnistą zupę, jedynie z solą,<sup>41</sup> a z lebiody przygotowywanej na gęsto jak szpinak, pieczono placki.<sup>42</sup>

Uzupełnienie pożywienia, w niewielkim zakresie, możliwe było na zasadzie wymiany z ludnością miejscową. Czasem udawało się wymienić trochę jagód na kilka ziemniaków, kubek mleka, chleb. I mimo, iż była to niewielka ilość zawsze zaspokajało to, choć odrobinę wciąż przemożny głód. Dzieci zajmowały się także polowaniem i łowieniem ryb, gdy rodzice pracowali w odległych lasach. Niekiedy jakieś małe zwierzę, najczęściej zająca, udało się złapać we wnyki lub złowić rybę na oścień.<sup>43</sup> Chęć „uciszenia” głodu, choć na chwilę, zmuszała ludzi do spożywania wyjątkowo wymyślnych i niesmacznych potraw. Jedzono nawet zwykłą trawę lub obierki ziemniaczane.<sup>44</sup>

O rozmiarach głodu w syberyjskiej tajdze świadczyć mogą choćby takie oto dwa przykłady:

Lipa [...] była na Syberii „drzewem życia”. Z jej łyka pleciono prymitywne obuwie i sznurki, zaś kora, od której oddzielano łyko służyła jako pokarm. Tak – jako pokarm. Po oddzieleniu łyka, korę krojono w kosteczki i suszono na poboczu kuchni. Po wyschnięciu mielono ją na prymitywnych żarnach. Otrzymywaną mąkę z kory lipowej zarzucano na wrzątek i otrzymywano galaretowatą zawiesinę, którą jedliśmy. Było to niezbyt smaczne, ale zawsze czymś wypełniło się żołądek. Przedłużało się czymkolwiek swoje bytowanie. Z mąki lipowej piekliśmy na płycie kuchni placki. Może wszystko to byłoby smaczniejsze, gdyby dodać do tego szczyptę soli. Ale soli nie było.<sup>45</sup>

A kiedy przyszła wiosna o tyle było lepiej, bo idąc do lasu braliśmy ze sobą nóż i zdzieraliśmy korę z brzozy. Tą grubą odrzucaliśmy, a miękką skrobaliśmy i jadło się. To było nasze śniadanie, no i pokrzywy były naszym pożywieniem.<sup>46</sup>

Także ludzie miejscowi kierowani ludzką życzliwością i chęcią ulżenia w głodzie, mimo lęku przed NKWD, starali się pomóc w niedoli zesłańcom, jak tylko potrafili; częstowali tym, co mieli do jedzenia – kawałkiem chleba, zupą, ziemniakami – choć sami posiadali bardzo niewiele. Robili to po kryjomu, by żaden funkcjonariusz, czy niezyczliwy są-

<sup>40</sup> L. Słodki, op. cit., s. 24.

<sup>41</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

<sup>42</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20-21.

<sup>43</sup> Ibidem, s. 20.

<sup>44</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 29.

<sup>45</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20.

<sup>46</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 5.



siad tego nie widział, gdyż byli by niechybnie surowo za to ukarani przez służbistów z NKWD.<sup>47</sup>

Podobnie do Syberii, w Kazachstanie, codzienna sytuacja aprowizacyjna była równie katastrofalna. Oprócz czarnego chleba, głównym posiłkiem całodziennym była zupa o nazwie „szołucha”, zbożowa zupa na odwirowanym chudym mleku. Jej wartość odżywczą doskonale przedstawia poniższy opis:

„Szołucha” była to łuska z prosa w dodatku z piaskiem, który zgrzytał w zębach, więc nie można było tego gryźć tylko łykać. Oczywiście nie dało się z tego nic zrobić, poza tym, że wrzucało się na zimną wodę, gotowało i jako prazuchę jadło z mlekiem. Należałoby tu wspomnieć, że nie było w tym czasie soli do gotowania, a więc można sobie wyobrazić, jaki to miało smak, ale to nie takie ważne dobrze, że było, co włożyć do ust.<sup>48</sup>

W najbiedniejszych kołchozach całodziennym posiłkiem podczas tak ciężkiej pracy w stepie, jak kopanie i nawadnianie pól w upale, było tylko 0,5 litra skwaśniałego mleka zwanego „arian” i 20 dkg chleba za każdy przekopany metr sześcienny.<sup>49</sup> A bywały chwile, gdy brakowało pracy. Wtedy raz dziennie dostawało się tylko owo mleko.<sup>50</sup>

Podobnie do Syberii również w Kazachstanie powszechnie szerzył się szkorbut. Tutaj by mu zapobiec zbierano dziki czosnek i pocięty mieszało się z mlekiem lub zupą.<sup>51</sup> Klimat Kazachstanu umożliwiał uprawę znacznie większej ilości zbóż i roślin uprawnych, niż klimat panujący na Syberii. Różnorodność i mnogość upraw, tylko w niewielkim stopniu, zwiększały szansę na uzupełnienie codziennego wyżywienia, gdyż z powodu bardzo niskich dniówek zesłańców nie było stać na dokupowanie żywności. Sposobem na urozmaicenie i zdobycie dodatkowego pożywienia była wymiana z miejscową ludnością, zbieranie poplonu, a nierzadko kradzież.

Zdarzało się, że niektórym z zesłańców udało się dostać od władz kołchozu kilka arów ziemi pod ogród, co poprawiało trochę ich sytuację żywieniową, gdyż w okresie letnim mogli zrobić zapasy na zimę. Lecz były to naprawdę nieliczne przypadki. Opisuje to jedna z zesłańców, która w grudniu 1941r., po amnestii, wraz z rodziną, została przesiedlona do Kazachstanu w rejon Koktiube:

Dostaliśmy 5 arów ziemi na ogród. Posadziliśmy, więc melony i arbuzy. Tutaj warzyw żadnych nie siano. Gdy w lipcu dojrzały to był dopiero wielki luksus, bo melony są bardzo smaczne. Było ich kilka gatunków o różnych smakach i przez dwa miesiące można było jeść do syta. Suszyliśmy je również na zimę. Kroiło się w paski i dwa dni wisały na słońcu /powiązane sznurkami/. Później splatało się w warkocze i układało w skrzynkach. Po kilku miesiącach jedliśmy je z herbatą.<sup>52</sup>

<sup>47</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 27.

<sup>48</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 7.

<sup>49</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 5.

<sup>50</sup> Ibidem, s. 6.

<sup>51</sup> Ibidem.

<sup>52</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5

Miejscowa ludność po wyzbyciu się niechęci i uprzedzeń, a także lęku, poznawszy Polaków, starała się wspomóc ich w niedoli, na ile mogła sobie na to pozwolić. Także i tutaj poczęstunek był formą okazania współczucia i zrozumienia nieszczęścia, którego doznawali. Często woli tym, co sami jedli: jajkiem, zupą, tzw. „lepioszkiem” (plackiem), „łap-szami” (łazankami) z mięsem baranym.<sup>53</sup>

By uzupełnić stale niewystarczające racje żywnościowe i umożliwić sobie dalsze trwanie, niejednokrotnie uciekano się do kradzieży, za którą groziły bardzo poważne konsekwencje – pobicie, grzywna, łącznie z karą osadzenia w więzieniu. Zależało to od sprytu i okazji oraz możliwości, a przede wszystkim od odwagi zesłańców. Jedną z deportowanych do kołchozu we wsi Łochwycki w obwodzie Aktiubuńskim opisuje owo zjawisko na przykładzie swej rodziny:

W okresie pełnienia funkcji nocnego opiekuna bydła, brat dokonywał [...] kradzieży, a mianowicie wszedł w kontakt z magazynierką magazynów zbożowych, która bojąc się dokonywać kradzieży, dawała klucze do magazynów, a on pod osłoną głębokiej nocy otwierał magazyn i do dwóch ładował pszenicę, a następnie jeden worek odwoził do magazynierki, a drugi do domu. Czynnności te powtarzał kilkakrotnie na przestrzeni trzech lat, to jest do czasu, kiedy został powołany do wojska.

[...] Funkcję letniego pastucha Staszek pełnił tylko dlatego, że mając do dyspozycji konia miał mnóstwo okazji do najrozmaitszych kradzieży, w zależności od sezonu. Wczesną wiosną, kiedy w polu był zasiew zbóż była okazja do zdobycia pszenicy, którą przywożono z pola i często pozostawiano pod gołym niebem. Wprawdzie był przy niej stróż, ale to nie było przeszkodą dla brata, ponieważ stróż spał, a Staszek brał cichcem zboże. Następnie, gdy w polu coś urosło, Staszek był pierwszy, który zdobywał wszystko to, co nadawało się już do jedzenia. Pamiętam jak przywiózł z pola, daleko położonego od wioski [...] pierwsze kawony, arbuzy, melony.

[...] W ten sposób byliśmy przez Staszka zaopatrywani w różnego rodzaju artykuły spożywcze, a więc w zboże, kukurydzę, słonecznik, ziemniaki i jarzynę.<sup>54</sup>

Trzeba zaznaczyć, że do takiego – w normalnych warunkach nieetycznego – zachowania zmuszał ludzi nieustający głód i troska o rodzinę, które czyniły ludzi zdesperowanymi, nie baczącymi na konsekwencje swojego postępowania.

Zbierano zakazany poplon, którym mogły być zbierane, pozostałe po wykopkach, małe ziemniaki lub zboże. Podczas żniw kradziono owies, kukurydzę, pszenicę, które jedzono nawet na surowo.<sup>55</sup> Z tej kradzionej pszenicy robiono tzw. „nan”. W języku kazaskim znaczy to chleb. Były to pieczone na patelni placki grubości 3cm z ciasta pszennego, które uprzednio wyrosło na zakwasie z poprzedniego razu.<sup>56</sup>

<sup>53</sup> Ibidem, s. 4.

<sup>54</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 7-8.

<sup>55</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 6.

<sup>56</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 6.

Również tutaj, podobnie jak na Syberii, doskwierający głód zmuszał ludzi do jedzenia wszystkiego, co udało się znaleźć. Mógł to być zajączy szczaw, pędy młodej trawy.<sup>57</sup> Łapano i zjadano zwierzęta – kury, psy, koty.<sup>58</sup> Obrazu głodu niech dopełni taki oto fragment wspomnień jednej z zesłanek z kołchozu Budionny w obwodzie Aktiubińskim:

Zmarła pewna inteligentna matka wychowująca dwoje małych dzieci. Mieszkała z dziećmi samotnie w małej lepiance z klepiskiem. Sąsiedzi zauważyli, że ta pani rano nie wyszła ze swej lepianki. Zaglądają przez okienko i widzą leżącą ją na klepisku, [...] wstrząsający widok: kobieta martwa leży na ziemi, starsze dziecko śpi obok niej, a młodsze, może czteroletnie, trzyma w rączce i gryzie główkę małego kota, w garnku zaś znajdował się tułów, który najwidoczniej miał być ugotowany. Wszyscy płakali. Zwłoki zmarłej zawinięto w koc i zagrzebano w piasku. A dzieci oddano do sierocińca.<sup>59</sup>

### 3. Ubranie

Opis odzieży zajmuje stosunkowo mało miejsca we wspomnieniach zesłańców, pomimo znaczenia, jakie bez wątpienia, odgrywała ona w warunkach klimatycznych Syberii i Kazachstanu. Niejednokrotnie są to tylko krótkie wzmianki dotyczące braku ubrania i nieszczęść, jakie to ze sobą niosło. Szersze opisy dotyczą przeważnie różnic w odzieniu, w stosunku do tego, którego używali w swoich rodzinnych stronach.

W trakcie deportacji pozwalano na zabranie najniezbędniejszego ubrania. Ilość odzieży, różnorodność oraz jej grubość, jak się później często okazywało, były niewystarczające i nieadekwatne do warunków klimatycznych panujących w miejscach zesłania. Klimat Syberii, czy Kazachstanu znacznie różnił się pod względem temperatur i wilgotności od tego, w jakim żyli w Polsce. Zimą tamtejsze mrozy są dużo większe, a lato suche i gorące.

Pakowanie się do wyjazdu odbywało się w pośpiechu, bez żadnej informacji dokąd są wywożeni, w ogromnym zatrwożeniu i lęku, przez co wybór odzieży był chaotyczny i często przypadkowy. Jedynie pora roku była wskaźnikiem, co w danym momencie ze sobą zabrać w drogę. Rodzaj i ilość ubrania przez długie miesiące determinowały możliwość przeżycia oraz kondycję zdrowotną w warunkach zesłania. Ci, którzy w swej roztropności i przytomności umysłu zabrali ze sobą w podróż odpowiednie ubranie, tj.: kozuchy, futra, czy wołłoki, zwiększali swoje szanse przetrwania. Zdarzało się jednak i tak, że zesłańcy wyruszali w drogę tylko w „jednej koszuli na grzbiecie”. Oprócz zdenerwowania spowodowanego ponaglaniem, któremu nie rzadko towarzyszyło bicie i obelgi, działało się tak między innymi dlatego, że obiecano im, iż otrzymają wszystko co niezbędne do przeżycia na miejscu przesiedlenia, w tym odzież. Rzeczywi-

<sup>57</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 6.

<sup>58</sup> Ibidem, s. 13.

<sup>59</sup> Ibidem.

stość okazywała się zazwyczaj zupełnie inna. Bardzo często zmuszeni byli ubierać się tylko w to, co przywieźli ze sobą. Było to przyczyną znacznej śmiertelności, już w drodze na zsyłkę. Niewystarczające odzienie, wraz z niedożywieniem, było także przyczyną znacznej zachorowalności i śmiertelności wśród zesłańców na miejscach osiedlenia.

Poza ubraniem, do codziennego bytowania w warunkach zesłania, głównym problemem była odpowiednia odzież robocza niezbędna do pracy. Na Syberii, na przydział odpowiedniego rodzaju ubrania i obuwia również trzeba było zapracować. Nic nie było dane za darmo, w myśl rozszerzonej stalinowskiej zasady, „kto nie rabotajet ten nie kuszajet”. Tak, że jeśli ktoś uprzednio nie zarobi na to, nie będzie mógł odpowiednio się ubrać. Ludzie, z przywiezionych ze sobą ubrań i materiałów, musieli sami przygotować sobie odpowiednią odzież do pracy. Szyli ocieplacze i rękawice z futer, płaszczy, a nawet z kołder i pierzyn, chroniące plecy, nogi i ręce<sup>60</sup>. W warunkach Syberii przydziałowe ubranie robocze stanowiły: kufajki, walonki, ciepłe czapki tzw. „uszatki”<sup>61</sup> i rękawice. Szczególnie niedostatek odpowiednich rękawic stanowił duży problem, gdyż w mrozie dochodzącym do 50°C trudno było utrzymać piłę, czy siekierę, w rękach tracących z zimna władzę.<sup>62</sup> Bardzo często dochodziło do odmrożeń rąk od trzonków łopat i siekier.

Podobnie było z obuwiami zimowym. Jako obuwia używano sztych ze szmat ocieplaczy,<sup>63</sup> które po włożeniu do kalosza zastępowały walonki. Niejednokrotnie kalosze były tylko ich prymitywną imitacją zrobioną nieudolnie z opony.<sup>64</sup> Inny rodzaj obuwia używanego na Syberii to tzw. „bachały”, drelichowe buty ocieplane watą, które opisuje zesłaniec z posiołka Iwdiel w obwodzie Swierdłowskim:

[...] jeśli chcesz przeżyć lagier to nie podchodź blisko do ogniska, żebyś nie roztopił lodu na „bachałach”. „Bachały” były to buty z drelichu ocieplane watą. Na „bachały” wkładaliśmy łapcie z łyka lipowego. Po paru godzinach pracy na zewnętrznej stronie „bachała” powstawała warstwa lodu od pracującej stopy. Lód ten był dodatkową warstwą izolacyjną, zabezpieczającą stopę przed przemarznięciem. Gdy nieroztropnie podstawiło się stopę do ognia, by się ogrzać, lód topniał wsiąkając w warstwę waty, przez co „bachał” tracił właściwości zabezpieczające stopy przed przemarzaniem. Odmrożenia nóg były częstymi wypadkami, a nie leczone należyście powodowały gangrenę i amputację porażonych części nóg. Naczalstwo obozu wychodziło z założenia, że nogi odmrażano celowo by nie pracować, a to już było sabotażem. „Sabotażystów nam nie potrzeba” – mówiło naczalstwo i odsyłało inwalidów po amputacji do obozów o zaostrożnym reżimie, gdzie nielicznym udawało się przeżyć parę miesięcy.<sup>65</sup>

<sup>60</sup> L. Słodki, op. cit., s. 9.

<sup>61</sup> Ibidem, s. 22.

<sup>62</sup> A. Benisz, op. cit., s. 61.

<sup>63</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>64</sup> A. Gruber, op. cit., s. 20.

<sup>65</sup> Ibidem, s. 8.

Buty tego rodzaju obsypywano śniegiem i polewano wodą zostawiając je w nocy na zewnątrz baraku by nie rozmarzły, gdyż w ten sposób zapewniano sobie ciepło i odpowiednią izolację nóg następnego dnia w pracy.<sup>66</sup> Należy tutaj także zauważyć, iż z powyższego fragmentu cytowanych wspomnień wyciera jasno, wrogi stosunek władz obozowych do cierpiących katorżniczą męką zesłańców.

W krótkim okresie lata syberyjskiego używano obuwia szytego ze szmat, łapci plecionych z łyka lipowego.<sup>67</sup> Pomimo odgórnych zakazów zdarzały się także przypadki posyłania ludzi do pracy boso.<sup>68</sup> W okresie letnim, podczas pracy w lesie, zesłańcom ogromnie dokuczaly chmary komarów i meszek. By się przed nimi uchronić używano tzw. „nakomarników” – nakrycia głowy z siatką na twarzy, podobnego do kapelusza pszczelarza.<sup>69</sup> Niepracujący używali ubrań przywiezionych ze sobą z Polski do wymiany na pożywienie. Sprzedawali praktycznie wszystko, co mieli – odzież, bieliznę, pościel – aby wykupić chleb.

W Kazachstanie, podobnie jak na Syberii, ludzie zmuszeni byli ubierać się w odzież przywiezioną ze sobą na zesłanie, gdyż obiecanych, odpowiednich do klimatu ubrań, których miało być tutaj dla każdego wystarczająco, nie dostali. Odzież podczas pracy ulegała szybkiemu zniszczeniu. A trzeba zaznaczyć, że były to ubrania codziennego użytku, a nie robocze, które z założenia są wytrzymalsze. Zdarzały się przypadki, że jakieś ubrania w bardzo małej ilości dostarczano do sklepu, lecz szanse na otrzymanie ich były znikome. Po pierwsze dlatego, iż podlegały przydziałowi, a po drugie, przydział ów zależał od uznania lokalnego „predsiedatiela”. Możliwości zdobycia ubrania, jej ilość i rodzaj, tak opisuje jedna z zesłanek z Obwodu Aktiubińskiego:

[...] odzież na potęgę niszczyła się. O kupnie czegoś nowego do ubrania nie było mowy, bo praktycznie w kolchozie nie było sklepu normalnego. Owszem było wyznaczone miejsce na sklep, ale nic w nim nie było, od czasu do czasu /może raz na dwa miesiące/ przywozili do tego sklepu czarną sól, jeśli chodzi o artykuły żywnościowe, a także dwie sukienki i kufajki razem ze spodniami oraz walonki /buty filcowe z cholewami/. Niestety przywóz tych towarów do sklepu nie mógł napawać radością, bo nie można było tego kupić normalnie, gdyż podlegał on „przydziałowi”, tzn. predsiedatiel/wójt/ dokonywał według swego uznania „przydziału” osobom ponoć przodownikom pracy. W ten sposób wyznaczona osoba miała prawo kupić sobie np. kufajkę.<sup>70</sup>

Także tutaj, w Kazachstanie, brakowało bielizny, wierzchniej odzieży i obuwia. Ludzie do pracy chodzili boso lub owijali nogi szmatami.<sup>71</sup> Kto potrafił, naprawiał ubranie i obuwie we własnym zakresie, bądź

<sup>66</sup> A. Benisz, op. cit., s. 61.

<sup>67</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20.

<sup>68</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 18.

<sup>69</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 15.

<sup>70</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 12.

<sup>71</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 5-6.

posiłkował się pomocą sąsiada.<sup>72</sup> W lecie, podczas upałów dochodzących do 50°C, wystarczała tylko koszulka z rękawem, a za obuwie służyć mogły zrobione na szydelku kapcie z bawełny.<sup>73</sup>

Sytuacja zaopatrzeniowa w niezbędnej odzieży poprawiła się po porozumieniu Sikorski – Stalin, kiedy Polaków zaczęto uznawać, już nie za wrogów, lecz jako sprzymierzeńców. Do momentu utworzenia instytucji „męża zaufania”, którą to funkcję sprawowali Polacy, utrudniano zesłańcom dostęp do darów przysyłanych dla nich przez aliantów, niejednokrotnie zwyczajnie je rozkradano. „Mężowie zaufania” roztaczali opiekę nad zesłańcami w danym okręgu i stanowili pieczę nad rzetelnym rozdzielaniem darów – żywności i odzieży. By skorzystać z pomocy aliantów i dostać coś z owych darów niejednokrotnie trzeba było odbywać daleką podróż do miejsc ich rozdzielania, co stanowiło poważne wyzwanie dla osłabionych i wycieńczonych głodem oraz pracą zesłańców. Przykładem niech tu będzie fragment wspomnień jednej z zesłanek deportowanych do Kazachstanu:

Zaczęły przychodzić dary ze Stanów Zjednoczonych do Czajanu, gdzie Polak był mężem zaufania. Nazywał się Lorenc. Kilka osób z kolchozu poszło 40km, aby coś dostać. Przynieśli trochę żywności i ubrania. Z żywności dostali cukier, mąkę, ceres, margarynę. Na miejscu dzielili dla wszystkich po równo. Nie było tego dużo, ale dobre było i to. Najbardziej pragnęliśmy dostać soli, ale nie mogliśmy jej nigdzie dostać, ani zdobyć. To, co spożywaliśmy było niesmaczne, bo sól była nieosiągalna. Miejscowi posiadali trochę soli, ale nie na, tyle aby się podzielić z nami. Tatuś i brat dostali angielskie ubrania, a mamusia, siostra i ja po jednej sukience. Dostaliśmy też po jednej parze butów. Mężczyźni wojskowe trzewiki, a my pantofle.<sup>74</sup>

W oparciu o instytucję męża zaufania ambasady, tworzono także różnego rodzaju spółdzielnie rzemieślnicze: szewskie, krawieckie, wyrobów trykotarskich, wyprawiania skór, wyrobu walonków, zabawkarskie itp.<sup>75</sup> Z dostarczanych podartych i brudnych płaszczy, po uprzednim upraniu, naprawieniu lub przerobieniu produkowano odzież: kurtki, spodnie, spódnice. Z białego płótna przeznaczonego na szycie bielizny wyłącznie dla wojska, przy odrobinie sprytu, zesłańcy szyli ją również dla siebie, mimo bardzo poważnych konsekwencji w razie przyłapania na tym procederze.<sup>76</sup>

Stan ten nie trwał jednak długo. Po śmierci gen. Sikorskiego i ujawnieniu zbrodni katyńskiej Rosja radziecka zerwała porozumienie z polskim rządem londyńskim. Sytuacja Polaków ponownie pogorszyła się. Władze radzieckie przejęły magazyny znajdujące się w polskich placówkach wraz z całą ich zawartością.<sup>77</sup> Mimo, iż Polacy byli wcześniej

<sup>72</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 13.

<sup>73</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 4.

<sup>74</sup> Ibidem, s. 7.

<sup>75</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 12.

<sup>76</sup> Ibidem, s. 12-13.

<sup>77</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 30-31.

amnestionowani i uznani za ludzi wolnych, przez co posiadali prawo przenoszenia się do miejsc przez siebie wybranych, utrudniano lub nawet uniemożliwiano im przenoszenie się do innych miejsc z powodu ponownego braku zaufania. Drugi raz przeprowadzono paszportyzację, tym samym zmuszając Polaków do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. W przypadku odmowy skazywano i osadzano ludzi w więzieniach i łagrach.

Ponowną opiekę nad zesłańcami miała roztoczyć od 1943r. mario-netkowa, komunistyczna organizacja polityczna – Związek Patriotów Polskich. Nie poprawiło to jednak zbyt sytuacji zesłańców w zakresie wyposażenia w odzież i obuwie, gdyż była to organizacja niezwykle biurokratyzowana i podporządkowana woli władz radzieckich, którym nie była w stanie i nie zamierzała sprzeciwić się. Nadal posiłkowano się wyrabianiem prowizorycznego ubrania i obuwia. Podobnie do zagadnienia głodu, brak odzieży i obuwia pozostał nie rozwiązany problemem do końca zesłania.

#### 4. Mieszkanie

Ciepło i bezpieczeństwo rodzinnego domu na długie lata, czasem na zawsze, odeszły wraz z momentem wejścia na pokład przesiedleńczych eszelonów kierujących się w odległe rejony Związku Radzieckiego. Podczas drogi do miejsc przeznaczenia napotykana gościnność miejscowej ludności dawała lekką nadzieję, że życie na nieprzyjaznej ziemi jakoś się ułoży, jednak warunki czasowego zakwaterowania, tak odmienne od tych w rodzimej Polsce wskazywały, iż gehenna zesłania dopiero się zaczyna. We wsiach, w których zatrzymywano się na nocleg deportowanych umieszczano w barakach, gdzie spali na gołej ziemi lub rozlokowywano u miejscowych gospodarzy i kolchoźników. Dla tych zesłańców, którzy dotarli do wygnańczych miejsc przeznaczenia, „powitanie” komendantów obozów – posiołków, kolchozów, łagrów – było wyrokiem. Słowa padające z ust wielu komendantów obozów – „wasza Polska zginęła, waszej Polski nie ma na mapie Europy; jak pożyjesz tu 20 lat, to padochniesz jak sobaka”,<sup>78</sup> „zostaliście przesiedleni tutaj na zawsze i nie ma powrotu do Polski, ponosicie karę za rok 1920; tu wasza praca będzie, życie i śmierć”<sup>79</sup> – rozwiewały nadzieje na rychły powrót do ukochanej Polski. Słowa te uzmysłowiły zesłańcom, że przyjdzie im spędzić długie lata w tym obcym kraju. Jednak miłość do ojczyzny i wiara w Boga były trwałymi fundamentami siły przetrwania i nadziei powrotu, których, jak czas pokazał, tego rodzaju propaganda skruszyć nie potrafiła.

Na Syberii zesłańców rozmieszczano w specjalnych osiedlach tzw. posiołkach. Posiołek była to najczęściej leśna polana, na której stało kilka lub kilkanaście baraków, domy administracji osiedla oraz komendan-

<sup>78</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 14.

<sup>79</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

ta.<sup>80</sup> W niektórych posiołkach już zastano na miejscu, w innych z czasem wznoszono budynki gospodarcze: stołówkę, sklep spożywczy, piekarnię, szkołę, przedszkole, żłobek, a nawet dom kultury.<sup>81</sup> Ich rodzaj i ilość zależały od nakazów władz państwa, ale niejednokrotnie także od woli władz danego osiedla, a nie od potrzeb ludzi mieszkających w posiołku. Z powodu biurokracji i bałaganu, jaki panował w strukturach organizacyjnych po przyjeździe na teren posiołka, często cały obóz musiał być dopiero organizowany i budowany przez zesłańców. Do tego czasu mieszkali oni w całkowicie prowizorycznych barakach, czy wręcz szałasach.

Miejscami lokalizacji posiołków były tereny położone w bardzo odległych, nieprzystępnych, często podmokłych rejonach, otoczonych tajgą. W okolicy znajdowała się zazwyczaj rzeka, bądź jezioro czy bagno. Osiedla te nie były otaczane drutem kolczastym w celu utrudnienia ucieczki, gdyż w tym klimacie i przy takich odległościach do najbliższej wsi mało kto decydował się na nią. Umieszczenie posiołków na terenie tajgi związane było z przemysłem i przetwórstwem leśnym.

Po środku posiołka stał maszt otoczony barakami mieszkalnymi dla zesłańców, na który wciągano flagę w czasie radzieckich świąt państwowych i wokół którego odbywały się apele i zbiórki. Baraki, w jakich mieszkali zesłańcy zbudowane były z okorowanych potężnych bali sosnowych, pokrytych deskami,<sup>82</sup> uszczelnione z zewnątrz leśnym mchem.<sup>83</sup> Baraki były różnej wielkości i zawierały od jednej do kilku izb, ale zdarzały się także posiadające nawet po kilkanaście maleńkich pomieszczeń.<sup>84</sup> Od środka ściany były obite dyktą, choć bywały i takie, które w ogóle nie były uszczelniane od wewnątrz, przez co, mimo grzania w piecu, było w nich zimno, a nawiewany piach lub śnieg sypały się mieszkańcom na głowę. W domach tych mieszkało kilka lub kilkanaście rodzin, w zależności od ilości pomieszczeń. Lecz zagęszczenie w pomieszczeniach zawsze było bardzo duże i na jednym, bądź dwóch m<sup>2</sup>, potrafiło zakwaterować rodzinę wieloosobową, do 23 ludzi w pomieszczeniu. W większych salach umieszczano nawet kilkanaście rodzin.<sup>85</sup> Spano na prowizorycznych, piętrowych, zbitych z desek łózkach,<sup>86</sup> na deskach pokładanych na stołkach,<sup>87</sup> bądź na żelaznych pryczach i siennikach,<sup>88</sup> a także na ziemi, gdy w danym pomieszczeniu mieszkało wiele osób. W baraku znajdowały się jeszcze, kuchnia i duży piec do gotowania i ogrzewania.

<sup>80</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 12.

<sup>81</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>82</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

<sup>83</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 12.

<sup>84</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>85</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

<sup>86</sup> A. Benisz, op. cit., s. 53.

<sup>87</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 13.

<sup>88</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 6.



Przykładowy wygląd i organizację baraku dobrze oddaje opis jednej z zesłanek posiłoka Driabino nad rzeką Dźwiną w obwodzie Archangielskim:

Urządzaliśmy się w barakach na to nowe nasze życie. Były w nich łóżka żelazne i sienniki. Każda rodzina zajmowała tyle łóżek na ile miała pościeli. Baraki były drewniane, wewnętrzne ściany z dykty. Różna była ich wielkość. Długość naszego wynosiła 16 m, a szerokość chyba 8 m. Zmieściło się w nim 16 rodzin. Pośrodku stał długi stół i ławy; dwie, albo nawet trzy kuchnie do ogrzewania i gotowania, zbudowane z gliny, a może cegieł, na wierzchu miały żelazne płyty. Ponieważ drzewa na opał nie brakowało, więc nie marziliśmy. Okna były dość duże, a za tym wnętrze dość jasne. Baraki służyły zesłańcom, których nigdy nie brakowało, choćby z pośród własnych obywateli tego kraju. Urządziliśmy się wkrótce, każda rodzina odgrodziła się kotarami od sąsiadów i w ten sposób powstały jak gdyby odrębne pokoiki.<sup>89</sup>

Na podmokłym terenie baraki budowano na podwyższeniu. Na wysokości metra lub dwóch od ziemi kładziono deski na palach, które tworzyły chodniki łączące zabudowania.<sup>90</sup> W barakach nie było wody bieżącej, zlewów, ani ubikacji.<sup>91</sup> Do gotowania i ogrzewania pomieszczeń używano drewna i chrustu, którego w okolicznych lasach nie brakowało. Uciążliwością było to, że trzeba było przynieść je sobie samemu na plecach, a zajęcie to często wykonywały dzieci, podczas gdy ich rodzice byli w pracy.<sup>92</sup>

Pośród różnych budynków znajdujących się na terenie posiłka, szczególne znaczenie miała łaźnia, tzw. „bania”, dzięki której można było, w miarę znośnie jak na te warunki, utrzymać higienę osobistą oraz ogrzać się i wypocić by poprawić stan swojego zdrowia. Chodziło się do niej raz w tygodniu. Tak oto przedstawia „banię”, jej budowę i zasadę działania, zesłaniec z obwodu Archangielskiego:

Bania to sauna prymitywnie urządzona i wyposażona. Składała się z dwóch pomieszczeń: jednego większego z ławami z desek ustawionymi pionowo, gdzie odbywało się parowanie, drugiego małego z piecem obłożonym kamieniami. Pod tymi kamieniami palono i na nie lało się wodę, która zamieniała się w parę. Para przedostawała się otworami do pomieszczenia, gdzie ludzie siedzieli na ławach. W bani mycie odbywało się bez mydła. Gorąca para nie tylko myła, ale i rozgrzewała organizm, następowało wypocenie, wpływało to korzystnie na poprawę zdrowia po przeziębieniach.<sup>93</sup>

Gorąca łaźnia, była również skutecznym sposobem na pozbycie się insektów, będących powszechną plagą. Mydła oraz innych środków czystości było bardzo mało, najczęściej w ogóle nie było, więc jedynie gorąca woda i temperatura były skutecznym sposobem na pozbycie się z ciała

<sup>89</sup> Ibidem.

<sup>90</sup> L. Słodki, op. cit., s. 11.

<sup>91</sup> Ibidem.

<sup>92</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>93</sup> L. Słodki, op. cit., s. 8.

wszy, pluskiew i pozostałych insektów. Do prania i mycia w zastępstwie mydła używano ługu robionego z drzewnego popiołu.<sup>94</sup>

Wszystkim powszechnie dokuczało różnego rodzaju robactwo (pluskwy, karakony, meszki, komary) oraz szczury.<sup>95</sup> W pomieszczeniach największym utrapieniem były pluskwy, które kryły się za dnia w szczelinach śród-belkowych i we mchu.<sup>96</sup> Wciskały się do ubrań, pościeli. Lecz nocą wychodziły na zewnątrz, spadały z sufitu na łóżka i kąsały boleśnie nie dając ludziom spać. Próbą walki z nimi było bielenie wapnem ścian, smarowanie się naftą,<sup>97</sup> lecz najczęściej walczono z nimi przesuwając łóżka z miejsca na miejsce, gdzie mniej dokuczały, bądź wsadzano nogi łóżek w naczynia z wodą; odnosiło to tylko chwilowy skutek.<sup>98</sup>

Następną udręką były karaluchy i karakony, które w ogromnej liczbie, nocą wylaziły na żer i wyjadały, tak drogocenny, chleb.<sup>99</sup> Latem doskwierały komary i meszki, które roznosiły różnego rodzaju choroby, w tym malarię. Tak to wspomina zesłanka wywieziona do obwodu Krasnojarskiego:

Warunki były coraz gorsze. Do tego wszystkiego szerzyła się malaria i inne choroby. Latem nie można było wyjść bez założenia siatki na twarz i wysmarowania smarem – o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Bo tak dokuczała muszka, nie można było ust otworzyć, bo było pełno w ustach, nosie, oczach. Strasznie gryzły, ukąszenia po nich nie goiły się, bo ciało puchło i płynęła ropa.<sup>100</sup>

Elektryczności w posiołkach nie było, co szczególnie doskwierało zimą, gdy – w zależności od rejonu – dzień był bardzo krótki lub słońce wcale nie wschodziło. Jako podstawowe oświetlenie, z powodu bardzo częstego braku nafty do lamp naftowych, służyła tzw. „koptiłka”, bądź łuczycwo smolne. „Koptiłka”, był to rodzaj lampy zbudowanej z małego pojemnika, do którego nalewano tranu. Następnie wkładano do niego jakąś szmatę służącą za knot. Nazwa wywodzi się stąd, że podczas palenia się lampa ta bardzo kopciała.<sup>101</sup>

W tak skrajnie trudnych warunkach bytowych ludzie próbowali organizować swoje życie na wygnaniu. W rzadkich, wolnych chwilach od pracy rodzice uczyli swoje dzieci czytać i pisać w języku polskim, by nie zapomniały swego pochodzenia. Do nauki najczęściej służyły zabrane z domu książeczki do nabożeństwa, chowane przed służbą obozową, gdyż były lekturą zakazaną.<sup>102</sup> Po utworzeniu szkół czteroletnich wszystkie dzieci w wieku do 13 roku życia były zobowiązane do nich uczęszczać.

<sup>94</sup> Ibidem, s. 11.

<sup>95</sup> A. Benisz, op. cit., s. 53.

<sup>96</sup> L. Słodki, op. cit., s. 19.

<sup>97</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>98</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>99</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>100</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 5.

<sup>101</sup> J. Michalewski, *Zesłańcze losy rodziny Kubisiaków*, AN PTL, sygn. 24/s, s. 7.

<sup>102</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 16.

Nauka była w języku rosyjskim, dlatego „domowe” nauczanie dzieci przez rodziców miało bardzo duże znaczenie w utrzymaniu ich tożsamości. Dzieci, które nie chodziły do szkoły nie dostawały przydziałowego, dziennego wyżywienia. Te dzieci, którym rodzice pomarli, zabierane były do sierocińców. Ludzi starych, niezdolnych do pracy zabierano do domów starców, powodując kolejną tragedię, rozdzielając rodziny, żonę z mężem, bądź matkę z dzieckiem.<sup>103</sup>

Pomimo wielu pasm udręki zdarzały się sporadycznie chwile wytchnienia. Poza zajęciami szkolnymi, by wypełnić dzieciom wolny czas, tworzono różnego rodzaju kółka zainteresowań, organizowano zabawy taneczne, śpiewano i muzykowano. Zawierano również związki małżeńskie, ale tylko cywilne.<sup>104</sup>

Jednak warunki panujące na Syberii, niedożywienie i katorżnicza praca zbierały cały czas swój ogromny plon. Ludzie tracili nadzieję powrotu, chorowali, marli z głodu i wycieńczenia w ogromnej liczbie. Odchodzili bez ostatnich sakramentów.<sup>105</sup> Po pewnym czasie zubożenie na śmierć było dość powszechne. Uczucia związane ze śmiercią i sposób pochówku, na jaki można było tam liczyć dobrze oddaje poniższy przykład:

Zaczęła się szerzyć choroba i śmierć zbierała swoje żniwo. Zmarłych grzebano w zamrzniętej ziemi. Rzucano gałęzie, na gałęzie zwłoki i tak znowu przykrywano gałęziami, a na to bryły zamrzniętej ziemi. Śmierć już nie robiła na nas większego wrażenia, bo zazdrościliśmy tym, co mają już spokój, a na miejsce wolne na pryczy – mógł się położyć ktoś z żyjących. Bo miejsca nie było, tak był barak przeładowany.<sup>106</sup>

Na południu, tj. w Kazachstanie, Kirgizji, czy Uzbekistanie, zesłańcy byli osiedlani w sowchozach (państwowych gospodarstwach rolnych) i kołchozach (spółdzielniach rolniczych). Były to rozległe osady, zamieszkiwane przez państwowych pracowników rolnych – kołchoźników, mieszkających najczęściej w ziemiankach. W obozie, ziemianki rozmieszczone były po dwóch stronach niebrukowanej drogi, bez chodników. Każdy kołchoźnik mógł posiadać jedną kurę i krowę oraz mały ogródek, w którym sadił ziemniaki i słonecznik. Zdarzało się, że w obozie znajdowała się cerkiew, która służyła za spichlerz. Obok stała szkoła podstawowa, biuro kołchoźnika oraz pomieszczenie przeznaczone na sklep i jedyny dwuizbowy, drewniany dom przewodniczącego obozu, tzw. „priecidatiela”. Zabudowania te stanowiły centrum kołchozu. Posiołki te nie posiadały żadnych „przybytków” kultury takich jak: kino, biblioteka, czy dom kultury oraz nie były zelektryfikowane.<sup>107</sup> Znajdujące

<sup>103</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>104</sup> Ibidem.

<sup>105</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 12.

<sup>106</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>107</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 6.

się w nich kołchozy związane były z produkcją rolną. Otaczały je żyzne pola uprawne oraz step, na którym wypasano zwierzęta hodowlane.

Zesłańców lokowano w samodzielnych ziemiankach, które przednio musieli posprzątać lub u kołchoźników. Ziemianki, były to jednakowe w całym obozie, niskie domy zbudowane z gliny, zazwyczaj z jedną lub dwiema izbami, z małymi, wmurowanymi, nie otwieranymi okienkami, bez podłogi. Podłogą było gliniane klepisko. Funkcję kuchni spełniało prymitywne palenisko. Mebli w nich nie było żadnych. Sporadycznie wyposażone były tylko w prowizoryczne, sklecone z desek prycze do spania.<sup>108</sup> W większości przypadków spano na klepisku zasłanym słomą lub rosnącym w tym rejonie chwastem, służącymi jako posłanie, gdyż tylko nieliczni przywieźli ze sobą pościel. Za przykład niech posłuży poniższy opis:

Nasza lepianka był mała, zaniedbana, straszliwie brudna o dwóch okienkach „wmurowanych”[...] bez możliwości ich otwarcia. Złożyliśmy swój marny dobytek na stepie przed lepianką i zabraliśmy się do robienia porządków. [...] Ścierką zmywałyśmy ściany i klepisko, które było glinianą podłogą. Na razie nocowaliśmy w stepie, aż lepianka przeschła. Umeblowania nie było żadnego. Za posłanie służył nam rozesłany na klepisku chwast rosnący kępami obficie na stepie, niewysoki, zwany przez Kozaków „połyn”, a przez nas spolszczony piołun. Miał miły zapach, który odstraszał różne robactwo. Co tydzień na niedzielę przynosiło się świeży piołun, a starym paliło się w takiej małej „niby kuchence”. Była to podmurówka okryta blachą, w której były wycięte dwie małe dziury, zupełnie niepodobne do naszych fajerek. Palenisko prymitywne bez żadnego rusztu i bez drzwiczek. Za opał służył nie tylko piołun, ale też nawóz krowi lub jeszcze lepszy – owczy wysuszony na słońcu.<sup>109</sup>

Zesłańcy mieszkający z rodzinami kołchoźników mieli o tyle gołej, że zagęszczenie w izbach znacznie się zwiększało, a w zimie mieszkali z nimi również zwierzęta, o czym świadczyć może poniższy fragment wspomnień:

Ziemianka, w której nas ulokowano składała się z jednej izby, w której stał duży piec. Przedłużeniem pieca była prycza z desek, na której spała rodzina kołchoźników. Pod oknami /2 małe okienka/ była ława /deska na 2-ch klockach/, a obok niej kufer, który zawierał dobytek tej rodziny, a równocześnie służył jako stół. Rodzina kołchoźników składała się z 3-ch osób. W tym małym pomieszczeniu mieszkali nas 7 osób. Spaliśmy na klepisku, podłogi nie było. W zimie mieszkali z nami kury i cielę ze względu na silne mrozy. W ciągu dnia wprowadzano krowę do cielecia.<sup>110</sup>

W bezdrzewnym stepie, na którym rosły jedynie małe krzaki i trawa, a na polach zboże, za opał służyło siano, słoma i krowie odchody oraz „buran”<sup>111</sup> (wyschnięte krzewiny; nazwa poch. od wiatru) lub „dżantak”<sup>112</sup>

<sup>108</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 3-4.

<sup>109</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 3-4.

<sup>110</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 2.

<sup>111</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 17.

<sup>112</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

(kłujące ziele, wys. ok. 60cm). Mieszkańcom ziemianek za opał na zimę służył zbierany w lecie i odpowiednio preparowany, nawóz krowi, tzw. „kiziki”<sup>113</sup> (lub „kiziaki”). Wyrabiano je z krowiego łąjna z dodatkiem słomy lub siana. Na wiosnę rozmarzający nawóz polewano wodą, po sfermentowaniu deptano go (zarówno konie jak i ludzie) do miękkości, następnie formowano w drewnianych formach dwa razy większych od cegieł i pozostawiano na słońcu do wyschnięcia. Tak przygotowany opał magazynowano na zimę pod zadaszeniem, chroniącym go przed opadami, gdyż mokry by się nie palił. Latem natomiast, do codziennego użytku, zbierano łąjno do wiader, dosypywano słomy bądź siana dla zagęszczenia, a następnie po zmieszaniu składników ubijano i formowano w placki, które suszono na słońcu. Nigdy nie wystarczającą ilość tego małokalorycznego opału uzupełniano samą słomą lub sianem, również dającymi mało ciepła, które spalały się jeszcze szybciej niż owe „energetyczne placki”. By zdobyć opał niejednokrotnie uciekano się do kradzieży, za którą groziły bardzo poważne konsekwencje, łącznie z osadzeniem w więzieniu.<sup>114</sup> Krowi nawóz zmieszany z gliną stosowano także jako zaprawę, do odświeżania izb w lepiankach i wyrównywania dziur w klepisku zrobionych przez mieszkające w nich w trakcie zimy zwierzęta.<sup>115</sup>

W kolchozach, opodal których rosły lasy, palono również, „przemycanym” bez wiedzy władz obozu, drewnem znoszonym do domu na plecach. Jeżeli w lepiance znajdował się piec z zapiekiem służącym do spania i siedzenia, to spali na nim gospodarze, a zesłańcy na klepisku. Przed piecem, na małym murku zostawiano zagrzebany żar do rozpalamia ognia w dniu następnym. Po wypaleniu się wsadu w piecu, komin zatykano workiem wypełnionym słomą, by zatrzymać ciepło w ziemiance.<sup>116</sup>

Z powodu braku prądu do oświetlenia ziemianek służyły tzw. „kopciuchy” (inna nazwa „kopciłka”<sup>117</sup>), proste lampki zrobione z butelki wypełnionej do połowy wodą, które następnie dopełniano deficytową naftą. Knot stanowiła rurka metalowa wypełniona szmatą nasączoną naftą, umieszczona w szyjce butelki.<sup>118</sup>

Metodę pozyskiwania ognia do rozpalamia w piecu oraz sposób radzenia sobie z brakiem światła dobrze przedstawia jedna z zesłanek z obrodu Aktiubińskiego:

W tym miejscu muszę wspomnieć, w jaki sposób zdobywaliśmy ogień, bo nikt tu zapalek nie widział, a także nie słyszał o elektryczności. Otóż, ogień otrzymywaliśmy za pomocą krzesiwa, czyli dwóch kamyczków i hubki, która iskrzyła się przy tarciu tych kamyczków. Sposób zdobycia ognia nie był zbyt łatwy i dlatego radziliśmy sobie w ten sposób, że wychodziło się przed dom i pa-

<sup>113</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

<sup>114</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 6.

<sup>115</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

<sup>116</sup> Ibidem.

<sup>117</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 8.

<sup>118</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

trzyło, kto już pali u siebie, jeżeli było to blisko, to szło się do sąsiada i przynosiło tak zwany żar, z którego otrzymywaliśmy ogień. Natomiast oświetlenie naszej izby wyglądało w ten sposób, że zdobywało się gdzieś naftę, wlewało do jakiegoś pojemnika i zakładało tzw. knot z materiału, który paląc się niesamowicie kopał, na ale dawał światło. Z uwagi na to, że naftę trudno było zdobyć, wobec tego należało ją oszczędzać. W tej, więc sytuacji chodziliśmy oczywiście w zimie wcześniej spać / w lecie w ogóle nie używaliśmy tzw. lampy/. Takie leżenie w betach wynosiło nawet 12-14 godzin, bo cóż było robić, jeżeli w izbie było zimno i ciemno.<sup>119</sup>

Najczęściej jedynym sposobem pozyskiwania wody do picia i przygotowywania jedzenia oraz mycia, były studnie znajdujące się na terenie kołchozu. Czerpanie wody w zimie było wielkim utrapieniem, gdyż woda zamarzała i trzeba było rozbić lód przed jej nabraniem.

W Kazachstanie, podobnie do Syberii, zesłańcom dokuczwały plagi szczurów i myszy.<sup>120</sup> Szerzyło się robactwo, wszy, różne choroby powodowane brakiem higieny, gdyż przez okres 6-u lat nie było możliwości zdobycia kawałka mydła, ani innych środków czystości. Nie było też białizny i odzieży na zimę. Także i tu, jedyną formą higieny i możliwością umycia się była bania, do której chodziło się dwa razy w miesiącu. Bania – łaźnia, była to ziemianka 2 m x 2,5 m; w jednym rogu był piec z małym paleniskiem, zbudowany z żelastwa i kamieni, które rozgrzewało się do wysokiej temperatury. W drugim rogu stała prycza i dwie beczki zimnej wody, którą polewało się owe kamienie, bądź wkładało się rozgrzany pręt żelazny i rozgrzewało wodę w beczce do żądanej temperatury. Tak tworzyła się gorąca para do obmywania ciała.<sup>121</sup>

Także w Kazachstanie, dzieci uczęszczały do rosyjskich szkół, a gdy nie było zajęć musiały pracować w polu, przy plewieniu zboża i wyrwaniu chwastów – ostu, piołunu, itp.<sup>122</sup> W miejscach, w których nie istniały żadne ośrodki kultury, młodzież spotykała się na drodze przed domem, tańczyła i śpiewała przy wtórze harmoszek i bałajki. Była to ich jedyna rozrywka po ciężkiej pracy. Spotkania takie możliwe były wyłącznie nocą, gdyż tylko wtedy dysponowali wolnym czasem.<sup>123</sup>

Część zesłanej ludności, która po porozumieniu polsko-rosyjskim i związaną z nim amnestią przeniosła się, z północnych, zimnych rejonów syberyjskich, w bardziej dogodne klimatycznie rejony Kazachstanu i Uzbekistanu, czy Kirgizji, zastała tam podobnie opłakane warunki bytowe jak na północy. Przyszło im wieść życie podobne do Polaków zesłanych tutaj bezpośrednio w trakcie deportacji. Choć zdarzały się przypadki, że komuś udało się zdobyć w miarę normalne mieszkanie z podłogą, oknami i kuchnią, przez co warunki jego życia trochę się poprawiły. Był to

<sup>119</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 12-13.

<sup>120</sup> Ibidem, s. 13.

<sup>121</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 6.

<sup>122</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>123</sup> Ibidem, s. 7.

zazwyczaj jeden pokój w dwuizbowym mieszkaniu, które dzieliło się z miejscową rodziną.<sup>124</sup>

Przed repatriacją część zesłańców przewieziono na Ukrainę, gdzie warunki życia były zbliżone do tych z wcześniejszych miejsc wygnania. Również zmuszeni byli ciężko pracować w kołchozach i sowchozach oraz mieszkać w lepiankach bez prądu. Jednak nadzieja na rychły powrót do ojczyzny i znacznie łagodniejszy klimat czyniły ich życie znośniejszym.

---

<sup>124</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 12.

---

EWA JACKOWSKA

## DEPORTACJA NA SYBIR – ŹRÓDŁA PODTRZYMANIA<sup>1</sup>

### 1. Wprowadzenie

Przedstawiany artykuł jest trzecim, publikowanym w „Zesłańcu”, omówieniem wyników badań poświęconych psychologicznej problematyce osób deportowanych w głąb ZSRR w latach 1940/1941. Badania techniką wywiadu przeprowadzono w 100-osobowej populacji Sybiraków (68 kobiet i 32 mężczyzn) urodzonych w latach 1928-1934, zamieszkujących przed II wojną światową Kresy Wschodnie, przesiedlonych wraz z rodzinami w odległe tereny azjatyckiej części ZSRR, w ramach zaplanowanej przez reżim stalinowski akcji wyniszczenia patriotycznej elity narodu polskiego. W pierwszym, ze wspomnianych wyżej opracowań, przedstawiono ekstremalnie trudne, zagrażające życiu sytuacje, których doświadczyli badani w okresie ponad pięcioletniej zsyłki,<sup>2</sup> w drugim – scharakteryzowano psychiczne następstwa deportacji ujawniające się pod postacią dolegliwości psychicznych odczuwanych przez Sybiraków bezpośrednio po powrocie do Polski, a także wiele lat później, jak również wpływ deportacji na pełnienie ról rodzinnych.<sup>3</sup>

Wgłębianie się w psychologiczną problematykę funkcjonowania człowieka w sytuacji ekstremalnej, jaką było zesłanie, naznaczone deprivacją podstawowych potrzeb biologicznych i psychicznych – głodem, zimnem, chorobami, oddzieleniem od osób bliskich, stałym poczuciem lęku o życie własne i członków rodzin, a także innymi przyczynami, stawia badacza przed pytaniem o zewnętrzne źródła podtrzymania oraz psychologiczne mechanizmy adaptacyjne, nazywane także wewnętrznymi

---

<sup>1</sup> Artykuł napisany na podstawie pracy: E. Jackowska, *Psychiczne następstwa deportacji w głąb ZSRR w czasie II wojny światowej. Przyczyny, moderatory, uwarunkowania*, Szczecin 2004.

<sup>2</sup> E. Jackowska, *Deportacja na Sybir – doświadczenie śmierci*, „Zesłaniec” 2008, nr 33, s. 3-15.

<sup>3</sup> E. Jackowska, *Deportacja na Sybir – psychiczne ślady cierpienia*, „Zesłaniec” 2008, nr 34, s. 55-68.



źródłami podtrzymania, które zmniejszają destrukcyjne skutki sytuacji trudnych, warunkują odporność psychiczną i dzięki którym możliwe jest przetrwanie. Celem niniejszego artykułu jest właśnie ukazanie wybranych źródeł podtrzymania, wykorzystywanych przez osoby badane, które w ich przekonaniu przyczyniły się do tego, że udało im się przeżyć okres deportacji. W kolejnych fragmentach opracowania przedstawię podtrzymującą rolę: wiary w Boga, nadziei na przetrwanie, działania podejmowane przez badanych ukierunkowane na zdobywanie środków spożywczych, a także takie doświadczenia, które w warunkach życia na zesłaniu ocenione były jako pozytywne, przynoszące odprężenie.

## 2. Wyjaśnienia terminologiczne

W języku współczesnej psychologii wyróżnia się dwa główne rodzaje czynników ułatwiających człowiekowi znoszenie sytuacji ciężkiego stresu – zewnętrzne i wewnętrzne źródła podtrzymania. Zewnętrzne źródła podtrzymania są odnoszone do formalnej i nieformalnej sieci kontaktów społecznych, dzięki której odczuwanie sytuacji stresowej staje się mniej dotkliwie. W swojej pracy problematykę badawczą dotyczącą wewnętrznych źródeł podtrzymania ograniczyłam do pomocy i wsparcia, które otrzymywali badani od rodziców, rodzeństwa dalszych członków rodziny, innych zesłańców i ludności miejscowej. Wsparcie emocjonalne i instrumentalne (dostarczanie dóbr materialnych) otrzymywane od członków najbliższej rodziny, przede wszystkim matek, a także innych ludzi, stanowiło najważniejsze źródło podtrzymania i zagadnieniu temu zostanie poświęcony oddzielny artykuł.

Pojęcie wewnętrznych źródeł podtrzymania (zasobów osobistych lub zasobów podmiotowych) utożsamia się ze wszystkimi właściwościami psychicznymi człowieka, a także jego cechami fizycznymi i doświadczeniem, które przyczyniają się do redukcji stresu. Mówiąc o psychicznych źródłach podtrzymania (zasobach psychicznych) ma się na myśli właściwości psychiczne i doświadczenie z pominięciem cech fizycznych. Tak rozumiane pojęcie zasobów psychicznych jest tożsame z pojęciem psychologicznych mechanizmów adaptacyjnych do sytuacji trudnej. Termin zasoby psychiczne obejmuje zarówno strategie radzenia sobie ze stresem aktywowane w trakcie oddziaływań zdarzeń stresowych jak także bardziej trwałe i głębiej osadzone w osobowości mechanizmy psychologiczne, takie jak: religijność, aktywność, optymizm, przeżyte doświadczenia, itd.<sup>4</sup>

Nie jest łatwo wypowiadać się na temat zasobów zewnętrznych i wewnętrznych wykorzystywanych w sytuacjach stresowych, które trwały przez długie lata, szczególnie w odniesieniu do osób w wieku rozwojowym. W ciągu 6 lat pobytu na „niehumanitarnej ziemi” zmieniały się warunki

---

<sup>4</sup> R. Poprawa, *Zasoby osobiste w radzeniu sobie ze stresem*, [w:] red. G. Dolińska-Zygmunt, *Podstawy psychologii zdrowia*, Wrocław 2001, s. 103-142.

bytowania i środowisko społeczne, w którym żyli. Następowaly istotne zmiany w psychice badanych. Zmieniał się sposób percepcji sytuacji życiowej, rozwijały się nowe umiejętności, uzdolnienia, cechy charakteru. Warunkiem przetrwania była duża plastyczność zachowania. W różnych momentach życia na zesłaniu przydatne były różne wzorce zachowań. Po upływie dziesiątków lat nie byłam w stanie zdiagnozować dynamiki tych zmian. Próbowałam jedynie ustalić najsilniej zapisane w pamięci badanych fakty wskazujące na podtrzymującą rolę różnych czynników zewnętrznych i wewnętrznych pomagającym im w dostosowaniu się do warunków, w jakich musieli egzystować.

### 3. Wiara w Boga

Jednym z celów badawczych referowanych badań było ustalenie postawy religijnej Sybiraków i znaczenia religijności jako źródła podtrzymania w czasie przymusowego pobytu w ZSRS.

Z punktu widzenia psychologii, religijność jest wymiarem osobowości obejmującym: przekonania, uczucia, dążenia i zachowania człowieka, których odniesieniem jest Bóg. Jeden z najwybitniejszych badaczy tego aspektu osobowości w Polsce – psycholog i teolog – posługuje się pojęciem „postawa religijna” rozumiejąc przez nią „względnie trwałe ustosunkowanie się (intelektualne, emocjonalne, behawioralne) jednostki wobec Boga i nadprzyrodzoności”.<sup>5</sup>

Pojęcia: religijność, postawa religijna, wiara w Boga są w pracach empirycznych używane zamiennie. Jako względnie trwałe aspekty osobowości należą do zasobów psychicznych człowieka wykorzystywanych w sytuacjach trudnych, co potwierdzają badania empiryczne.

Na rolę wiary w Boga u ludzi zagrożonych utratą życia lub cierpiących z innych powodów zwraca uwagę wielu autorów polskich i zagranicznych. Wyrażają oni pogląd, że głęboko osadzona w refleksyjności i emocjonalności wiara ułatwia człowiekowi przystosowanie się do sytuacji kryzysowej. Jak pisze S. Głaz dojrzała religijność

chroni człowieka przed lękiem, rozpaczą i zwątpieniem. Stwarza człowiekowi perspektywę rozwoju oraz możliwość uchwycenia sensownego związku między sobą a całością Bytu.<sup>6</sup>

Nie trudno wyjaśnić jaki jest psychologiczny mechanizm oddziaływania wiary w osobowego Boga na samopoczucie psychiczne człowieka znajdującego się w sytuacji straty, krzywdy, zagrożenia, choroby, biedy, poniżenia, osamotnienia, itp. Jest nim zinterioryzowane przekonanie, że:

<sup>5</sup> W. Prężyna, *Potrzeby jako korelaty postawy religijnej*, „Roczniki Filozoficzne KUL”, 1976, nr 24, 4, s. 7.

<sup>6</sup> S. Głaz, *Konstruktywna i destruktywna rola religii w rozwoju jednostki*, [w:] red. P. Oleś, *Wybrane zagadnienia z psychologii osobowości*, Lublin 1997, s. 204-213.

na przekór wszelkim niepowodzeniom [...] życie osobiste (człowieka – przyp. EJ) oraz cała historia są pod opieką niezniszczalnej mocy Miłości i dzięki niej i dla niej mają sens i wartość.<sup>7</sup>

A zatem los człowieka, przebieg zdarzeń, w których uczestniczy, ma sens i cel, które chociaż są zakryte przed nim, są znane Bogu i przez Niego kontrolowane.

Pozytywny wpływ wiary na stan fizyczny i psychiczny człowieka znajdującego się w sytuacji trudnej potwierdzają wyniki badań empirycznych. Ograniczę się do kilku przykładów. Badania B. Mackiewicz i M. Tyszkiewicz przeprowadzone wśród pacjentów szpitala onkologicznego, wykazały, że poczucie więzi z Bogiem, szukanie wsparcia w modlitwie zmniejszyły poziom lęku i smutku u badanych kobiet i mężczyzn z chorobą nowotworową – dawały poczucie siły i ukojenia.<sup>8</sup> W badaniach kierowanych przez L. Egberta wykazano, że praktykujący pacjenci wyznania rzymskokatolickiego lepiej znosili kryzys pooperacyjny i w porównaniu z osobami niepraktykującymi potrzebowali mniejszych dawek morfiny do uśmierzania bólu.<sup>9</sup> Badania E. Jackowskiej nad jakością życia pacjentów z niepełnosprawnością spowodowaną udarem mózgu wykazały, że osoby zadowolone ze swojego życia religijnego uzyskały znacznie wyższe wyniki w pomiarze jakości życia w porównaniu z grupą kontrolną.<sup>10</sup>

Wiara w Boga miała też ogromne znaczenie dla więźniów obozów jenieckich i koncentracyjnych, co nie znalazło odzwierciedlenia w polskiej literaturze naukowej ponieważ wzrost zainteresowań badawczych problematyką psychiatryczno-psychologiczną osób więzionych w niemieckich obozach koncentracyjnych przypadł na lata 60-te i 70-te, a więc okres powszechnie obowiązującej w nauce ideologii marksistowskiej. Stąd tylko w niektórych opracowaniach, zwrócono uwagę na znaczenie religijności jako czynnika ułatwiającego radzenie sobie z doznaniem urazowymi.<sup>11</sup> Wzruszającym świadectwem trwania w wierze w najtrudniejszych momentach uwięzienia, w miesiącach cierpień spowodowanych pseudomedycznymi eksperymentami w obozie w Ravensbrück są sześciokrotnie wydane do 2000 roku w Polsce, wspomnienia lekarza –

<sup>7</sup> Benedykt XVI, *Encyklika SPE SALVI*, Kraków 2007, s. 37.

<sup>8</sup> B. Mackiewicz, M. Tyszkiewicz, *Rola modlitwy w cierpieniu. Modlitwa jako strategia radzenia sobie z cierpieniem wywołanym chorobą nowotworową*, [w:] red. R. Jaworski, A. Rusak, W. Simon, *Wobec cierpienia*, Płock 2004, s. 237-244.

<sup>9</sup> P.G. Zimbardo, F.L. Ruch, *Psychologia i życie*, Warszawa 1998, s. 382.

<sup>10</sup> E. Jackowska, *Poczucie jakości życia u kobiet i mężczyzn po przebyciu udaru mózgu*, [w:] red. B. Block, W. Otrębski, *Człowiek nieuleczalnie chory*, Lublin 1997, s. 333-342.

<sup>11</sup> S. Kłodziński, *Kilka uwag o KZ-syndromie*, „Przegląd Lekarski”, 1984, 1, s. 17-21.

Z. Ryn, S. Kolodziński, *Głód w obozie koncentracyjnym*, „Przegląd Lekarski”, 1984, nr 1, s. 21-37.

Wandy Póltawskiej<sup>12</sup> – badaczka psychopatologicznych symptomów w populacji byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych.<sup>13</sup>

Wątek umacniania siły do przezwyciężenia kryzysu spowodowanego ekstremalnym stresem dzięki wierze w Boga poruszają też autorzy prac zagranicznych. W odniesieniu do tematyki ofiar wojny warto wspomnieć o badaniach D. R. Jones'a wykonanych w USA, który wykazał, że wiara i przekonania religijne były źródłem podtrzymania dla wielu amerykańskich wojskowych zestrzelonych i uwięzionych w obozach jenieckich w czasie wojny wietnamskiej;

Liczni (b. jeńcy – przyp. EJ) potwierdzali moc swojej wiary i przypisywali różne pomyślnie sploty okoliczności – odpowiedziom na swoje modlitwy.<sup>14</sup>

W opisywanej populacji Sybiraków, w momencie prowadzenia badań, 98 osób było wyznania rzymskokatolickiego. Z pozostałych dwóch, jedna była świadkiem Jehowy, a druga, chociaż formalnie należała do Kościoła rzymskokatolickiego, stwierdziła, że ciągle poszukuje dla siebie wspólnoty wyznaniowej a najbliższy jej poglądom i odczuciom jest Kościół protestancki. W obydwu wypadkach rodzice byli wyznania rzymskokatolickiego. Przeważająca liczba osób (ogółem 78 osób) oceniała swoją postawę religijną jako: „wierzący, systematycznie praktykujący” Pozostali, to według własnej oceny, ludzie wierzący, albo niesystematycznie praktykujący (18), albo niepraktykujący (4 osoby).

Na 84 osób, które udzieliły jednoznacznej odpowiedzi na pytanie dotyczące wpływu deportacji na postawę religijną ogółem 46 osób stwierdziło, że okres deportacji wzmocnił zaangażowanie religijne członków rodziny. Na przykład:

Głębsze zaangażowanie religijne, razem się modliliśmy... (14 m).

Zdecydowanie pogłębiła się nasza wiara w Boga – pomógł nam przetrwać... (26 m).

35 badanych uznało, że deportacja nie miała wpływu na religijność rodziny, zaznaczając, że w rodzinie zarówno przed deportacją i po deportacji były respektowane wartości religijne, np. „uznawaliśmy i uznajemy wartości katolickie...” (19 k). 3 osoby uznały, że okres deportacji spowodował pewien dystans wobec wartości religijnych np. „myśli chwilami, że Boga nie ma” (52 k), a w 16 przypadkach albo brakowało odpowiedzi, albo wypowiedzi nie nadawały się do klasyfikacji np. „mnie to nie interesowało” (70 k).

<sup>12</sup> W. Póltawska, *I boję się snów*, Edycja świętego Pawła, Częstochowa 1998 (szóste wydanie).

<sup>13</sup> W. Póltawska, *Stany hipermnezji napadowej u byłych więźniów obserwowane po 30 latach*, „Przegląd Lekarski”, 1978, 1, s.20-24.

<sup>14</sup> D.R. Jones, *What repatriated prisoners of war wrote about themselves*, [w:] red. R.H. Moos, J.A. Schaefer, *Coping with life crises. An integrated approach*, New York – London, 1986, s. 402.

Analizując odpowiedzi badanych na pytania wywiadu można stwierdzić, że religijność (oprócz nadziei, o której piszę w następnym podrozdziale) była najczęściej wymienianym źródłem podtrzymania. Określenia używane przez badanych dotyczące roli religijności są bardzo urozmaicone. Mówią zatem, że źródłem podtrzymania i nadziei była np.: głęboka wiara w Boga, Opatrzność Boża, codzienna modlitwa, różaniec, wspólne modlitwy, ufność wobec Boga, łaska Boża, wiara, że Pan Bóg nie opuści itp. Ogółem 49 osób spontanicznie podało religijność jako czynnik podtrzymujący w okresie zesłania. Przykładowe odpowiedzi badanych na pytania dotyczące omawianego aspektu sformułowane były następująco:

Wiara w Boga, modlitwa, dawały mi siłę, nadzieję, pomogły przetrwać, zrozumieć matkę (10 k).

Zawdzięczam Bogu, że dał mi tyle zdrowia i siły, że zdołałem to wszystko przetrwać i pomóc przetrwać mojej siostrze i innym... (6 m).

Ufałam Bogu i jemu powierzyłam swój los (11 k).

Czasami myślę, że tylko dzięki Opatrzności Boskiej udało nam się przeżyć tę tragedię (20 k).

Pamiętam, że dużo z innymi zesłańcami modliliśmy się o przetrwanie. Modlitwa dodawała nam chęci do życia (24 k).

Nadzieja była w Bogu... (9 m).

Jak można było przewidzieć wiarę w Boga i przywiązanie do praktyk religijnych przejęli badani od rodziców, których sylwetki w licznych przypadkach były przykładami prawdziwie chrześcijańskiego życia. Od najmłodszych lat badani wdrażani byli do uczestniczenia w praktykach religijnych. Wskazują na to wypowiedzi. Na przykład:

Byłam wychowana w duchu katolickim i silnej wierze w Boga, tego nauczyła nas mama i babcia... Myślę, że to pomogło nam przetrwać ciężkie chwile... (66 k).

Mamusia zabrała ze sobą i skrzętnie przechowywała obrazek Matki Boskiej. W maju potajemnie odmawialiśmy majowe nabożeństwo, które dodawało nam otuchy. Przywieźliśmy ten obrazek do Polski, który jest naszym drogowskazem... (63 k).

Nie wchodząc w szczegóły należy wyjaśnić, że pokolenie międzywojenne, do którego należeli rodzice badanych było bardzo, silnie zakotwiczone w wierze chrześcijańskiej i instytucjonalnym Kościele rzymskokatolickim. Kościół był odbierany nie tylko jako głosiciel Ewangelii, ale także pamiętano o roli, którą odegrał przed uzyskaniem przez Polskę niepodległości. Był najważniejszą strukturą umacniającą ducha polskości, poczucie tożsamości narodowej, ochraniał przed germanizacją i rusyfikacją. Był też przekazicielem tradycji i wiedzy o najpiękniejszych kartach historii Polski. Stąd przywiązanie do Kościoła było ściśle powiązane z postawą patriotyzmu, a uczestnictwo w uroczystościach religijnych nie tylko umacniało wiarę w Boga, ale przeżywane było jako akt patriotyczny.

Powracając do problematyki życia religijnego osób badanych należy zwrócić uwagę na psychologiczną rolę jaką w ich życiu osób odgrywała modlitwa. Chroniła przed poczuciem osamotnienia dając poczucie osobowej więzi z Bogiem, co miało niepodważalne znaczenie w życiu młodych zesłańców, często długie godziny spędzających bez dorosłych członków rodziny. Ponadto dawała możliwość odreagowania napięcia – „wyżalenia się”, wypłakania swojego cierpienia. Zbiorowa modlitwa była elementem życia wspólnotowego, scalającym w jedną społeczność osoby deportowane, wzmacniającym ich religijną i narodowość tożsamość. Modlitwy w grupie – były drugim co do częstości rodzajem aktywności wspólnotowej (pierwsze miejsce zajmowały działania ukierunkowane na zdobywanie środków spożywczych). Szczególnie dużo modlono się w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia – własnego i osób bliskich. Modlitwa błagalna była wspominana, zwłaszcza przez badane kobiety, jako najczęstszy rodzaj podejmowanej w takich chwilach aktywności. Do pewnego stopnia osłaniała ona badane osoby przed poczuciem bezradności, którego negatywny wpływ omawia m.in. M. F. P. Seligman w teorii wyuczonej bezradności, a w świetle której osoby przekonane, że nie mają żadnego wpływu na przebieg zdarzeń stają się apatyczne i bierne, przekreślając swoje szanse na przezwyciężenie trudności.<sup>15</sup>

W protokołach badań znajduje się wiele opisów korzystnej zmiany sytuacji pod wpływem modlitwy. Swoją modlitwę sprzed 60 lat zapamiętała badana, która spotkała niedźwiedzia przy zbieraniu borówek. Przytaczam jej wypowiedź:

Nazbierałam pełen koszyk, kiedy usłyszałam, że coś lub ktoś tak ciężko idzie, gałęzie łamiąc pod nogami. Szedł biały niedźwiedź. [...] Ja się przytuliłam do sosny, przeżegnałam i mówię: „Panie Boże, jak ten niedźwiedź mnie zje, to nawet moja mama nie będzie wiedziała gdzie się podziałam”. I tak cichutko przy tym drzewie patrzę ... (56 k).

Inna z Sybiraczek wspomina, że w czasie modlitwy, którą odmawiała wraz z matką i rodzeństwem oczekując śmierci głodowej /lepianka była zasypana śniegiem, wokół szalała zamieć, a od kilku dni nic już nie jedli/ ktoś wtargnął do lepianki. Był to Kazach, który pomimo zamieci, przyniósł woreczek zboża jako zapłatę za pracę matki.

I jeszcze jeden fragment wywiadu dotyczący przekonania o skuteczności modlitwy:

Kiedyś miałem sen. Było to tej nocy kiedy mama wyszła /było to w czasie wielkiej wichury, badany słyszał wycie wilków – przyp. EJ/. Długo jej nie było. Zasnąłem, śniła mi się piękna Madonna w niebieskiej sukni, która opowiadała nam bajki, jakby się nami opiekowała. Kiedy się obudziłem powiedziałem bra-

<sup>15</sup> D.L. Rosenhan, M.E.P. Seligman, *Psychopatologia*, Warszawa 1994, t.1, s. 395-402.

ciom, że musimy się modlić za mamę. Zrobiliśmy to i mama wróciła cała i zdrowa... (26 m).

Zbierając wywiady pytano również o to czy osoba badana przeżyła jakieś zdarzenie, dające się wytłumaczyć tylko w sposób nadprzyrodzony. 21 osób dało pozytywną odpowiedź na to pytanie podając konkretne fakty nadzwyczajnych uzdrowień, ocalań z sytuacji powszechnie uważanych za beznadziejne, splotów okoliczności, dzięki którym można było zapobiec nieszczęściom, proroczych snów i wizji. Z punktu widzenia interpretacji psychologicznej nie ma znaczenia czy istotnie miała miejsce interwencja sił nadprzyrodzonych. Ważne było, że osoby badane wierzyły, że takie doświadczenia wskazujące na wyjątkową opiekę Opatrzności było ich udziałem. Przytoczę zapisy z kilku wywiadów.

Tak na pewno. Pamiętam, że kiedyś mamusia przestała chodzić, przyśnił się jej sen, żeby ktoś poszedł w tajgę, za posesiołek po krzak, którego nazwy nie pamiętam. Tymi gałązkami musi sobie posmarować nogi. Zrobiliśmy to i mama chodziła. (67 k).

Kiedy w wagonie leżałam na kolanach matki spłakana, zmarznięta, zmęczona, widziałam stojącą białą postać, która położyła rękę na mojej głowie i powiedziała „Nie płacz, wszystko będzie dobrze” i o tym w chwilach trudnych zawsze pamiętam. (36 k).

Był to bez wątpienia powrót ojca, który kontaktował się z rodziną poprzez wuja z Polski. Będąc w Archangielsku dowiedział się, że żona z dziećmi przebywa w południowym Kazachstanie... Wyrusza na poszukiwanie żony. Kiedy przejechał cały południowy Kazachstan i już stracił nadzieję odszukania rodziny, pociąg, którym podróżował nagle zatrzymał się w szczerym stepie, gdzie przy prawie torów pracowała grupka ludzi. W pewnym momencie ojciec usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku. Okazało się, że był to znajomy sprzed wojny, który powiedział mu, że kilka kilometrów stąd mieszka jego żona z dziećmi. (40 k).

Widziałam cud. To był rok 1941. Wszystkie dzieci dostały wrzody. No i my szliśmy po coś do lasu. No i spotkałyśmy kobietę. Była na czarno ubrana jak zakonnica. Rozmawiała po rosyjsku. I mówi tak: „Tu jest jedna góra, potem druga i trzecia. Na tej trzeciej jest woda lecznicza. Jak się nią umyjecie, to wam to wszystko zejdzie [...]” Cały dzień nam zeszło zanim zaszliśmy w tą i z powrotem. Przeszliśmy jedną górę i drugą takie chaszcze, przewalone drzewa. Trudno było przejść. A ta trzecia góra była taka piękna. Ani jednego drzewa i zarośla, tylko piękne kwiaty, coś pięknego. Nie da się opisać. [...] Na szczycie tej góry była fontanna, tryskała może 30 metrów. Obok stał wielki krzyż. Myśmy się umyli. Nalaliśmy wody, w co kto miał. Rano wszystkie wrzody znikły. Za 2 dni z innych baraków chcieli, żebyśmy zaprowadzili ich do tej góry, ale nie trafiliśmy.” (56 k).

Dla 4 osób cudem i dowodem szczególnej opieki Pana Boga było to, że udało się im przeżyć cały okres deportacji..

Cudem jest to, że przeżyliśmy i wróciliśmy. (54 k).

Dziwię się, że w ogóle przeżyliśmy, to był cud. (55 k).

79 osób dało odpowiedź negatywną lub nie odpowiedziało na pytanie dotyczące interwencji sił nadprzyrodzonych. Niektórzy z nich usto-

sunkowali się sceptycznie do treści pytania i zaprzeczali możliwości wystąpienia cudów. Na przykład:

„Nie wierzę... Liczyły się realia i fakty... (16 m).”

#### 4. Nadzieja na powrót do Polski

Nadzieja jest nie do przecenienia jako komponent zasobów psychicznych człowieka. W wieku dziecięcym warunkuje motywację do eksploracji świata i podejmowania nowych wyzwań. Przez całe życie człowieka spełnia funkcję regulatora zachowania w sytuacjach trudnych, a nawet beznadziejnych.

W szerokim, powszechnie używanym znaczeniu *nadzieja* jest wynikiem procesu oceny lub wartościowania i wyraża się w tworzeniu pozytywnej wizji przyszłych wydarzeń. Według *Słownika Języka Polskiego* (1998, s. 241) nadzieja to „oczekiwanie spełnienia się czegoś pożądanego, ufność, że to się spełni, urzeczywistni.” Pojęcie nadziei bywa też utożsamiane z optymizmem i wiarą we własny sukces, a więc z przekonaniami człowieka odnoszącymi się do treści zawartych w obrazie własnej osoby. W świetle analizy różnych znaczeń nadawanych pojęciu nadzieja przez psychologów wydaje się, że najbardziej trafna w wyjaśnieniu problemu jest koncepcja „nadziei podstawowej” przedstawiona przez J. Trzebińskiego i M. Ziębę. Nadzieja podstawowa została w niej opisana jako rodzaj postawy człowieka wobec otaczającej go rzeczywistości stanowiącej tworzywo do dokonywania interpretacji obecnych zdarzeń i prognozowania tych, które nastąpią w przyszłości. Istotnym składnikiem uczuciowym tej postawy jest zaufanie. W jej wymiarze poznawczym dają się wyodrębnić trzy podstawowe elementy:

1. przekonanie o porządku i sensowności zdarzeń, które dzieją się w świecie,
2. przekonanie, że świat zewnętrzny jest przychylny człowiekowi,
3. przekonanie, że tok zdarzeń dotykający człowieka jest sprawiedliwym rozdziałem dobra, to znaczy, że człowiek otrzymuje to na co sobie zasłużył, jeżeli nie w realnym świecie, to w egzystencji pozaziemskiej.<sup>16</sup>

Wyniki badań psychologicznych zgromadziły bogate dowody na to, że utrata nadziei w sposób dramatyczny zmniejsza szansę człowieka na przetrwanie. Ilustracją dla takich wniosków jest m.in. „chorobę rezygnacji” obserwowana u więźniów obozów koncentracyjnych, którzy tracąc nadzieję na uzyskanie wolności, stawali się apatyczni, całkowicie ulegli wobec otoczenia i nie podejmowali żadnych wysiłków, aby chro-

---

<sup>16</sup> J. Trzebiński, M. Zięba, *Nadzieja, strata i rozwój*, „Psychologia jakości życia” 2003, t. 2, nr 1, s. 5-33.



nić swoje życie. Opis takiego stanu zamieszcza m.in. K. Godorowski, Z. Ryn i S. Kłodziński, V. Frankl i wielu innych.<sup>17</sup>

Rolę nadziei jako czynnika aktywizującego, stymulującego aktywność fizyczną i psychiczną Sybiraczek – żon aresztowanych przez NKWD oficerów i urzędników państwowych, zesłanych w 1940 roku wraz z dziećmi do Majkainu w Kazachstanie omawia K. Obuchowski. W zachowaniu nadziei, wiary w polepszenie losu i rychłe zakończenie cierpienia upatruje źródeł „niesamowitej mocy przetrwania”, którą charakteryzowały się kobiety i dzięki której wielu z nich udało się przeżyć.<sup>18</sup>

Obecność nadziei nie tylko stymuluje do podejmowanie działań „tu i teraz”, dzięki którym możliwe jest przetrwanie w aktualnej ekstremalnej sytuacji, ale też do wyobrażania sobie dalszego pomyślnego życia, jego zaplanowania, co dodatkowo motywuje do aktywności, a później, gdy warunki życia ulegną poprawie, ułatwia realizację wytyczonych celów. Wizualizacja odległych celów jest więc wskaźnikiem nadziei, ale także jej kołem napędowym. Victor Frankl – jeden z najwybitniejszych psychologów XX wieku, dokonując retrospekcji własnych przeżyć z czasów uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym stwierdził: „Jest właściwością człowieka, że może żyć tylko myślą o przyszłości, a więc niejako *sub specie aeternitatis*”. Próbując uchronić się przed rozpaczą kierował swoją uwagę na wyobrażenia własnej przyszłości. W autobiograficznej książce napisał:

Wyobraziłem sobie, że stoję przy pulpicie dla mówcy w jasno oświetlonej, pięknej, ogrzanej sali wykładowej – przed słuchaczami, którzy słuchają z zainteresowaniem, siedząc w wygodnych, miękkich fotelach. A ja mówię; mam wykład o psychologii obozu koncentracyjnego! Na wszystko, co mnie w danym momencie dręczyło i przytłaczało, patrzyłem obiektywnie i przedstawiałem to z wyższego, naukowego punktu widzenia.<sup>19</sup>

Na gruncie religii chrześcijańskiej ten wątek eksponuje papież Benedykt XVI w słowach:

możemy stawić czoło naszej terażniejszości: terażniejszość nawet uciążliwą można przetrwać i akceptować, jeśli ma jakiś cel i jeśli tego celu możemy być pewni, jeśli to jest cel tak wielki, że usprawiedliwia trud drogi.<sup>20</sup>

<sup>17</sup> K. Godorowski, *Psychologia i psychopatologia hitlerowskich obozów koncentracyjnych*, Warszawa 1986.

Z. Ryn, S. Kłodziński, *Na granicy życia i śmierci. Studium obozowego muzułmaństwa*, „Przegląd Lekarski”, 1983, nr 1, s. 27-33. Z. Ryn, S. Kłodziński, *Głód w obozie koncentracyjnym*, „Przegląd Lekarski”, 1984, nr 1, s. 21-37. V. Frankl, *Psycholog w obozie koncentracyjnym*, Warszawa 1962.

<sup>18</sup> K. Obuchowski, *Przez galaktykę potrzeb. Psychologia dążeń ludzkich*, Warszawa 1995.

<sup>19</sup> V. Frankl, *Psycholog...* op. cit., s. 82-83.

<sup>20</sup> Benedykt XVI, *Encyklika ...* op. cit., s. 3.

Warto podkreślić, że nadzieja podstawowa jest takim elementem osobowości, którego struktura i geneza jest trudna do zwerbalizowania. W trakcie wywiadów prowadzonych z Sybirakami nie wdawaliśmy się w dyskusje odnoszące się do rozumienia pojęcia nadziei. Z kontekstu prowadzonej rozmowy wynikało jednak wyraźnie, że spontanicznie wymieniana nadzieja, jako czynnik umożliwiający przetrwanie, odnosiła się do nadziei podstawowej. Analiza odpowiedzi badanych na pytania otwarte wywiadu dotyczące źródeł podtrzymania pozwoliła na określenie z jaką częstotliwością badani wymieniali nadzieję jako źródło podtrzymania. Dające się skategoryzować odpowiedzi uzyskano od 95 osób (5 osób nie odpowiedziało na pytanie lub dało odpowiedź wymijającą np. „za mała byłam”).

Więcej niż połowa badanych, aż 68%, było głęboko przekonana, że powrócą do Polski i nadzieja na powrót w ich przekonaniu stanowiła najważniejszy czynnik psychologiczny ułatwiający przystosowanie do niezwykle trudnych warunków egzystencji na zesłaniu. Dalszych 7% badanych podało, że siłę do przetrwania czerpało z zapewnień rodziców, że powrócą do Polski. Zatem również żyli nadzieją na powrót chociaż wynikała ona bardziej z poddania się sugestii rodziców niż spontanicznie powstałego przekonania.

Jak wynika z podanego wyżej zestawienia częstotliwość wypowiedzi wskazujących na to, że przez cały okres deportacji badani mieli nadzieję na powrót do Polski i głęboko wierzyli w przetrwanie była stosunkowo bardzo duża. Nadzieja na zmianę losu była niewątpliwie pochodną zawierzenia Bogu i dodających otuchy zapewnień rodziców oraz całego systemu oddziaływań wychowawczych, któremu poddani byli badani.

Z dokładniejszej analizy zebranego materiału dotyczącego jakości środowiska wychowawczego, w którym wzrastali badani wynika, że pomimo tego, że warunki życia w latach deportacji nasycone były niedostatkiem materialnym i cierpieniem, zachowane były dwa ważne czynniki wychowawcze ułatwiające generowanie nadziei w sytuacjach trudnych. Były to – po pierwsze: spójność rodziny, dobre relacje emocjonalne między członkami rodziny – a po drugie: spójność i klarowność systemu wartości przekazywanego przez wychowanie rodzinne. Krótko omówię drugi z wymienionych czynników.

W systemie wartości wpajanych dzieciom przez wychowanie rodzinne i szkołę (niektórzy badani w momencie deportacji uczęszczali do szkoły) panował ład i harmonia. W dzieciństwie i młodości kształtowano u badanych postawę patriotyzmu (wg opinii 87% osób czyniono to w stopniu znacznym, w 8% – w przeciętnym), której nieodłącznym elementem było przekonanie, że naturalną powinnością Polaka jest ponoszenie ofiar dla ojczyzny. Nadzieja na powrót do Polski podsycana więc była przez wykształconą u badanych postawę patriotyzmu – miłości i powinności wobec Polski. Powszechnie przekazywano też badanym (81% badanych podało, że w znacznym stopniu, 10% – w przeciętnym) poszanowanie dla

podstawowych prawd religii chrześcijańskiej, co pozwalało im budować nadzieję na wierze w zwycięstwo dobra nad złem, Zmartwychwstania nad Krzyżem i akceptować uciążliwości jako służące „czemuś”. Wpajano też badanym, że trzeba być „dzielnym i wytrwałym” (odpowiednio – 59 % i 30%) oraz wiele innych wartości, które czyniły badanych bardziej odpornymi na niedostatki egzystencji i pobudzały nadzieję.

Słowa określające nadzieję na powrót do Polski były różne. Przytoczę fragmenty wypowiedzi zapisane w protokołach badań, które najlepiej ilustrują omawianą problematykę.

Chciałem żyć... wierzyłem, że jeszcze wiele dobrego mnie w życiu spotka (12 m).

Tak, byłam pewna, że wszystko wytrzymam, że wrócę do Polski, bo jestem Polką i nie mogę zginąć z głodu (33 k).

Silna wiara, że powrócimy do Polski, dlatego musimy dbać o siebie zdrowotnie, uczyć się, żeby móc normalnie żyć... (2 k).

Czekaliśmy na Polskę i tyle. Była wymarzonym krajem... (30 m).

Słowo „Polska” dawało dużo nadziei. (17 k).

Wieczorem wychodziłam przed barak. Modliłam się i miałam nadzieję, że wrócę do kraju i tam będę żyć normalnie. (26 k).

Wizja powrotu do kraju była tak silna, że robiłam wszystko, aby ją zrealizować. (37 k).

### 5. Rola aktywności własnej

Nie wdając się w spory psychologów dotyczące kategoryzacji stylów i strategii radzenia sobie uruchamianych w warunkach życia w stresie<sup>21</sup> trzeba przyznać rację M. Mikulincer i V. Florianowi,<sup>22</sup> że najbardziej pożądanym sposobem radzenia sobie jest skupienie się na bieżących wyzwaniach oraz podejmowanie kognitywnych (poznawczych) i behawioralnych wysiłków, poprzez które dokonuje się realnych zmian, które eliminują źródła stresu.

Ten, tak zwany „zorientowany na zadanie” (problem *focused* lub *task-oriented*) styl radzenia sobie stanowił według oceny Sybiraków dominujący mechanizm adaptacyjny, który umożliwił przetrwanie w latach zsyłki. W rozmowach z Sybirakami określaliśmy go jako postawę aktywności. Przypomnę, że w momencie deportacji przeciętna wieku wynosiła 9 lat 4 miesiące. Będę zatem opisywała formy aktywności, które podjęły dzieci walcząc wspólnie z dorosłymi o zachowanie życia na „nie-ludzkiej ziemi”. W świetle zebranego można stwierdzić, że zdecydowana większość badanych (84 osoby) oceniła, że własne starania w sposób

<sup>21</sup> I Heszen-Niejodek, *Teoria stresu psychologicznego i radzenia sobie*, [w:] red. J. Strelau, *Psychologia, Podręcznik akademicki*. Gdańsk 2000, t.3. s. 465-492. R. S. Lazarus, S. Folkman, *Stress, appraisal and adaptation*, New York 1984, R. S. Lazarus, *Stress and emotion. A new synthesis*, New York 1999.

<sup>22</sup> M. Mikulincer, V. Florian, *Coping and adaptation to trauma and loss*, [w:] red. M. Zeidner, N.S. Endler, *Handbook of coping. Theory, research, application*, New York 1996, s. 554-567.

istotny zwiększyły ich szanse na przetrwanie i opisała różnego rodzaju czynności, których się podejmowali.

Chodzi tu głównie o zatrudnianie się do ciężkich prac fizycznych, a także inne formy aktywności, poprzez które zdobywano produkty spożywcze (zbieranie jagód, ziół i grzybów, handel wymienny z ludnością tubylczą, żebractwo i inne). Badani wykazywali pod tym względem dużą pomysłowość, przedsiębiorczość i inicjatywę wynajdując nietypowe sposoby, dzięki którym można było zdobyć żywność. Proporcjonalnie postawę aktywności częściej ujawniali mężczyźni niż kobiety, co nie budzi zdziwienia, gdyż chłopcom, którymi byli w latach deportacji badani mężczyźni łatwiej było podjąć wiele działań, które wymagały siły i sprawności fizycznej.

Opis aktywności rozpocznę od przedstawienia charakteru pracy najemnej, którą wykonywali Sybiracy na terenie Związku Sowieckiego. Ustawodawstwo radzieckie pozwalało zatrudniać na tych samych warunkach co dorosłych osoby nieletnie od 14 roku życia, a po napaści Hitlera na ZSRS, czyli od 1941 r. – od 12 roku życia. Ze względu na przemieszczanie się deportowanych rodzin charakter wykonywanej pracy zmieniał się. Opracowując materiał ustalono ilu Sybiraków zostało zatrudnionych do ciężkiej pracy fizycznej przed ukończeniem 16 roku życia. Okazało się, że takie zatrudnienie miało 75 osób. Najczęściej wykonywane prace to: ścinka i spław drzewa, zbieranie żywicy w tajdze, prace polowe w kołchozie (orka, zbieranie plonów, praca w wialni, itp.), wypas zwierząt hodowlanych (w tym wielbłądów), oporzadzanie bydła i trzody, praca górnika, kierowcy, mechanika, robotnika budowlanego, robotnika pracującego na akord w fabryce, wyrabianie cegieł, ciężkie fizyczne prace w gospodarstwie domowym różnych funkcjonariuszy (uprawianie ziemi, noszenie wody), w stołówce obozowej, czy łaźni, itp.

50 badanych miało przy tym status pracownika (przynajmniej przez okres kilku miesięcy) i za ciężką pracę fizyczną otrzymywali wynagrodzenie takie jak inni pracownicy kołchozu, kopalni czy innego miejsca pracy (31 kobiet i 19 mężczyzn). Ci, którzy nie mieli statusu pracownika pomagali rodzicom lub rodzeństwu w wypracowaniu normy, pracowali sezonowo, zatrudniani byli do prac polowych i gospodarczych przez naczelników, przewodniczących kołchozu, innych Rosjan zajmujących wyższą pozycję społeczną (np. nauczycielkę, lekarza) lub zobowiązani byli do wykonywania robót na rzecz sierocińców, szkół lub kołchozów. Takich osób, które ciężko pracowały nie mając statusu pracownika było 25 (19 kobiet i 6 mężczyzn). Ta grupa badanych otrzymywała wynagrodzenie w postaci wyżywienia (zazwyczaj bardzo nędznego) albo produktów spożywczych. Np. jedna z badanych za rok pracy u naczelnika otrzymała starą sukienkę i wiadro ziemniaków. Pozostałych 25 osób, które nie były zatrudnione przez najemców, zajmowały się pracami domowymi, opiekowały młodszym rodzeństwem w czasie gdy matki pracowały, a także zdobywali jedzenie stojąc w kolejce po chleb, zbierając to co było

jadalne w tajdze, itp. Można zatem powiedzieć, że pracowali wszyscy badani.

Poniżej przedstawiłam wybrane wspomnienia z protokołów 50-cio osobowej grupy badanych, którzy formalnie byli zatrudnieni jako pracownicy. Kolejno cytowane fragmenty ilustrują różnorodność wykonywanych prac, a przede wszystkim ciężar wypełnianych obowiązków, który wyniszczał osłabiony głodem organizm młodego człowieka.

Miałam 15 lat i dźwigałam 15 kg beczki z żywicą. Później pracowałam przy wyrobie tych beczek... dostawałam zaliczkę, która ledwo starczała na wykup chleba... (54 k).

Pracowałam od 13 roku życia przez 6 lat... Zbieranie żywicy, a później również nacinanie sosen, dźwiganie 10 kg wiader żywicy... (53 k).

Latem przebywałam poza domem pracując w głębi stepu przebierając ziemniaki lecz przede wszystkim jeżdżąc na traktorze, w którym normalnie siedząc nie dotykałam pedałów gazu. Miałem wówczas 13 lat... Zimą jeździłem ciężarówką wożąc benzynę do miasta przez zamrożoną rzekę. Za swoją pracę otrzymywałem jedzenie w bardzo małej ilości... (2 m).

Dla 12 latka najcięższa była praca przy orce. Oraliśmy od świtu, do późnych godzin wieczornych, z krótkimi odpoczynkami na posiłek. Do dyspozycji miałem 3 pary wołów, pług i uprząż. Za pracę otrzymywałam posiłek: litr ajranu, kawałek chleba i zupę – całodzienne wyżywienie. (12 m).

W 1942 roku praca fizyczna w kółchozie... Miałem wówczas 13 lat. Od czerwca 43 roku do 1946, przez 2,5 roku pracowałem jako podziemny ładowacz w kopalni węgla kamiennego. Miałem wówczas 14-17 lat. Wynagrodzenie 700 gramów chleba plus jednorazowy posiłek... Pracując w karnych kopalniach życie było stale zagrożone. Były to kopalnie, które należało zamknąć z uwagi na groźbę zawału. Wielu górników w okresie mojej pracy straciło życie. (33 m).

Na Uralu pracowałam w kopalni wapna, przy wypalaniu wapna. Potem pracowałam przy składaniu torfu. Dawali nam za to parę groszy – byłam małoletnia. (65 k).

W 1943 roku zaczęłam pracować w magazynie zbożowym przy szuflowaniu zboża. Praca była bardzo ciężka, szczególnie dla 15-letniej dziewczyny. Wiecznie unoszący się kurz był bardzo dokuczliwy. Przez to ciężko chorowałam na zapalenie oskrzeli. Zapłata za pracę były marne przydziały żywności. (1 k).

Zbierałam żywicę... wiadro nosiłam na ramieniu. Ważyło 19 kilogramów. Dostawało się grosze, za pieniądze nic nie można było kupić... Ciężko pracowałam przez 6 lat... (5 k).

Pracowałam na 3 zmiany w fabryce trykotażu. Aby dostać do maszyny musiałam stawać na krześle. Miałam 13 lat. Pracowałam 2 lata. Wynagrodzenie wynosiło ok. 100 rubli. Chleb na rynku – 1 kg – kosztował 120 rubli. (36 k).

Pracowałam przy produkcji cegieł i na budowie jako tynkarz przez 5 lat... Musiałam pracować jak dorosła i też wyrobić normę cegieł. Bardzo trudne było przewożenie cegieł po wąskiej kładce... (15 k).

W kolejnych wspomnieniach zawarte są wypowiedzi badanych, którzy nie mieli statusu pracownika i pomagali wypracować normę rodzicom lub za swoją pracę otrzymywali pożywienie. Wykonywali często prace sezonowe.

Ja 9-letni chłopiec i 11-letni brat też chodziliśmy do wyrębu. Nogi okręcone były szmatami, a buty z łyka lipowego... (3 m).

Pomagałam matce. Matka wykonywała 3 prace [...] przędła po nocach wełnę, pracowała też w młeczarni i w szkole. Sama by nie podołała tym czynnościom, więc ja w szkole paliłam w piecach, sprzątałam przez 4 lata, a miałam 9 lat. (6 k).

Ojciec pracował przy wyrębie lasu – otrzymywał wynagrodzenie, które nie wystarczało na przeżycie. Matka zносиła gałęzie, ja mniejsze... Gdy byłam starsza [...] u przewodniczącego obozu na służbie. Przyjechał do nas i wziął mnie na służbę. Byłam 8 km od rodziny. Sprzątałam, gotowałam, pilnowałam dzieci. Dobrze mnie tam traktowali. Raz w miesiącu jeździłam do domu. (15 k).

Pracowałam przy wyrobie „kiziaków” i w polu – kołchozie, za talerz zupy lub małą kromkę chleba... (4 k).

Jeżeli ktoś z dzieci chciał wypić jedną szklanek mleka musiał wpiąć osiem godzin pracować w polu. (27 k).

Dzieci zbierały obowiązkowo bawełnę, kłosa. Miałam 9-10 lat. Przez 2 lata... (29 k).

Wykonywałam pracę fizyczną. Było to spuszczenie drewna rzeką. Miałam 11 lat... Pracowaliśmy w lesie przy wyrębie. (38 k).

Zimą przebierałam marchew i ziemniaki. Latem w lesie składałam gałęzie, odsuwałam trociny. Zapłata był „rosolnik”, to była woda gotowana z obierkami lub grzybami. Dostawaliśmy 1 litr tej „zupy” i do tego pół łyżeczki oleju... (41 k).

Chodziłam 12 km do kołchozu po ziemniaki. Za pracę w polu otrzymywałam 2 wiadra ziemniaków, które musiałam nieść do obozu na plecach (dłatego mam teraz bardzo skrzywiony kręgosłup). Płakałam niosąc tę zdobycz na obu ramionach, bo związany na końcu worek przekręcał się w połowie. Dzisiaj trudno mi pojąć jak taka drobna, wychudzona dziewczyna mogła w ogóle unieść taki ciężar. (52 k).

Ciężka praca wykonywana w latach deportacji, obok wygłodzenia – były podstawowymi czynnikami etiologicznymi chorób i złego stanu zdrowia, na który skarżyli się badani w chwili prowadzenia badań. Aż 89 osób widziało związek między aktualnie złym stanem zdrowia a warunkami życia w ZSRS.

Latem i jesienią ponad połowa osób badanych (58) zdobywała środki spożywcze zajmując się zbieractwem jagód, różnych ziół i innych roślin rosnących w tajdze (lebiody, pokrzywy, świeżych pędów sosen, nieraz grzybów, itp.). Chodzenie do tajgi było bardzo niebezpieczne ze względu na możliwość zabłądzenia, obecność dzikich zwierząt (głównie niedźwiedzi) oraz owadów, w tym meszki syberyjskiej (małej muszki pojawiającej się w wielkim stadzie, której liczne ukąszenia powodowały obrzęk ciała, a nawet śmierć). Zbieractwem zajmowały się przede wszystkim dzieci, gdyż dorośli zajęci byli pracą w kołchozie lub gospodarstwie leśnym.

Zbierano lebiody, liście buraczane, ziemniaczane, trawę „puszki”, seranki (kwiaty liliowe z ich cebul smażyło się placki), pędy krzewów, jagody, maliny, grzyby. (5 k).

Chodziłam latem do lasu, aby się najeść jagód, porzeczek, jarzębiny i czeremchy. Gotowało się zupę z lebiody, pokrzywy i liści buraków. (7 k).

Zbierałyśmy z siostrą kłoski zbóż oraz lebiędę, szczaw, cebulę oraz łapaliśmy zwierzątka podobne do szczurów, tam nazywane „suśliki”. (16 k).

Żywiliśmy się wszystkim, co nadawało się do zjedzenia, a właściwie tym, co dało się pogryźć. Były to korzenie, owoce drzew. (24 k).

Jedliśmy korę z drzew. Trzy metry śniegu, a minus 53 stopnie mrozu... Wokół drzewa śnieg był sypki to razem z braćmi i innymi dziećmi ten śnieg odgrzebywaliśmy – około 2 metry głębokości – mój brat zsuwał się na dół i wybierał korzonki. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jakie to było niebezpieczne. (33 k).

Osoby, które mieszkały w kołchozach podkradały jedzenie. Było to także niebezpieczne ponieważ kradzież była surowo karana (łącznie z umieszczeniem w obozie pracy). Zaznaczyć trzeba, że kołchozy produkujące jedzenie bardzo małe jego ilości przeznaczały na konsumpcję dla własnych pracowników. Kradziono głównie warzywa i zboże. W sytuacji głodu kradzież na polu kołchozowym, w oborze czy spichlerzu była powszechnym i naturalnym sposobem zdobywania jedzenia, stosowanym tak przez dorosłych jak i przez dzieci. Do wyjątków należą protokoły, w których zaznaczano, że nie zdobywano jedzenia poprzez kradzież. Jak stwierdziła jedna z badanych

przetrwanie zawdzięczam temu, że nauczyłam się kraść. Ta umiejętność w tym czasie pobytu bardzo ważna. (24 k).

Przytoczę kilka innych fragmentów wywiadów ilustrujących różnorodność i pomysłowość dokonywanych aktów kradzieży.

Zbierałam ziemniaki w kołchozie niedokładnie, aby wieczorem nazbierać dla rodziny [...] Gdy brygadzysta zobaczył zabrał nam te ziemniaki. Mogły zgnić, ale nie można ich było wziąć dla siebie. (13 k).

Zbierałam kłosy, zmarznięte ziemniaki [...] Podkradałam a to turniap, a to marchew, a to świeże ziemniaki. Chowałam za pazuchę. (16 k).

Ja pracując przy ziemniakach miałem woreczek między nogami, do którego wrzucałem ziemniaki. (2 m).

Być pastuchem to była wtedy dobra rzecz. Wieczorem kiedy szarzało zagaśniałem stado w pobliże cmentarza kirgiskiego. Siadałem blisko przy krowie i piłem mleko prosto z wymion krowy. J. śmiał się, że robię to po mistrzowsku, niczym cielak, bez pomocy rąk. (12 m).

Byłem mały, chudy i sprytny. Z pomocą brata wykradłem raz zimą z magazynu całe 10 kg owsa – to był prawdziwy skarb. (12 m).

Innym sposobem zdobywania jedzenia było przeszukiwanie śmietników, karmienie się odpadami, podbieranie jedzenia zwierzętom. W latach permanentnego odczuwania głodu instynkt życia brał górę nad innymi odczuciami. W wywiadach często powtarzały się wypowiedzi, że w warunkach zsyłki aktywność, zaradność i spryt były koniecznym atrybutem zesłańców.

Postawa aktywna, bo gdy człowiek był nieaktywny, to najczęściej ginął... (23 k).

Musiałem być aktywny, zaradny. (24 m).

Chciałam przeżyć i robiłam wszystko, aby przeżyć. (25 k).

Byłam realistką, byłam twarda. Musiałam wytrzymać i wrócić. (34 k).

Byłem bardzo aktywny, chciałem przeżyć i wrócić do domu... (15 m).

Przetrwać nawet za cenę złych uczynków... (99 m).

Aktywność... Przyjąłem pozycję ojca i starałem się utrzymać rodzinę. (23 m).

Musiałem być aktywny, zaradny (24 m).

Chciałam przeżyć i robiłam wszystko, aby przeżyć. (25 k).

Byłam realistką, byłam twarda. Musiałam wytrzymać i wrócić. (34 k).

Robiłam wszystko na co było stać 6 letnie dziecko (67 k).

Ja byłam zaopatrzeniowcem dla całej rodziny. Bo jak nastawiłam wędki, to zawsze ryby były. Mniejsze czy większe, ale były. Stałam się bardzo aktywna, bo wiedziałam gdzie załatwić wódkę, jak ją wymienić na mąkę, dlatego ześmy przetrwali (56 k).

Oprócz postawy aktywności badani wymieniali inne sposoby radzenia sobie ze stresem. Należało do nich między innymi obrotne fantazjowanie wymienione przez 14 Sybiraków. Według opinii specjalistów ucieczka w świat fantazji spełnia tylko jedną funkcję – chroni *ego* – obniża przykre napięcie, nie ma jednak wpływu na obiektywną sytuację, w której znajduje się osoba. W warunkach syberyjskich taki sposób radzenia sobie nie był wystarczający. Stąd należy podkreślić, że w materiale, który zebrałam fantazjowanie nie eliminowało działań ukierunkowanych na pokonanie sytuacji trudnych, ale występowało obok nich jako strategia „towarzysząca”. K. Obuchowski wyjaśniając mechanizm wychodzenia poza przeżywaną rzeczywistość w warunkach ekstremalnych i wejścia w wymyślony świat podkreśla, że jest to proces aktywny. To znaczy, że człowiek konstruuje wyobrażenia takiego świata funkcjonując intencjonalnie, zachowując kontrolę i autonomię wobec rzeczywistości, podejmując walkę o przetrwanie.<sup>23</sup> W takiej interpretacji fantazjowanie spełnia rolę bufora chroniącego przed rozpaczą, pobudza nadzieję. Wyraziła tę myśl badana:

Fantazjowałam o powrocie do kraju, o stole nakrytym z kielbasą i innym jedzeniem. Wierzyłam w to i czekałam na to. (2 k).

Bardzo intensywny rozwój „intencjonalnego” fantazjowania charakteryzował jednego z badanych, którego fragment wypowiedzi przedstawię:

Miałem też swój piękny świat, własny świat wyobraźni i marzeń... Często w czasie przerwy w pracy, tzw. „piriekury” kładłem się na węglu patrząc na płomień lampki, wyobrażałem sobie, że nie jestem w kopalni, że jestem całkiem malutki, tam za szkiełkiem, gdzie jest jasno i sucho; i nie słyszałem wtedy nawet krzyku sztygara, że koniec przerwy... Byłem wtedy w innym świecie, w świecie za szkiełkiem... (33 m).

Dodam, że badany wykazywał się też bardzo wysokim poziomem zaradności życiowej i potrafił nie tylko zabezpieczyć swój byt, ale także zadbać o siostrę. Fantazjowanie przynosiło mu ulgę i ułatwiało mobilizację do kolejnego wysiłku. Postawa obronnego zobojętnienia, nazwana w psychologii stylem dystansowania się nie była szeroko reprezentowana w badanej populacji. Obserwowało ją u siebie tylko 10% badanych. Charakteryzowały ją następujące wypowiedzi:

<sup>23</sup> K. Obuchowski, *Człowiek intencjonalny*, Warszawa 1993, s. 93.



Moja postawa charakteryzowała się obojętnością i apatią. (13 k).  
Początkowo wmawialiśmy sobie, że to wszystko kiedyś się skończy i przeżyjemy, potem nachodziła nas obojętność... (32 m).  
Byłam apatyczna, zobojętniała... (45 k).

Przy takim stylu funkcjonowania przetrwanie było możliwe dzięki opiece i staraniom otrzymywanym od innych osób, głównie członków najbliższej rodziny. Jak wspomniałam we wstępnej części artykułu wsparcie otrzymywane od rodziny nie jest omawiane w niniejszym artykule.

## 6. Zabawy

Typową formą aktywności, a także stymulatorem rozwoju motorycznego i psychicznego w wieku rozwojowym jest zabawa. Potrzeba zabawy i zdolność do jej kreowania jest zapisana w wyposażeniu genetycznym człowieka, stąd nawet w niekorzystnych warunkach bytowych dzieci ujawniają aktywność zabawową. Zabawa dostarcza bodźców pobudzających rozwój umysłowy, emocjonalny, społeczny (wspólne zabawy z rówieśnikami), rozwija inicjatywę, zaradność, wytrwałość i procesy motywacyjne. W realiach życia zesłańców zabawa miała szczególne znaczenie, gdyż odrywała myśli dziecka od zagrożeń, strat i niedostatków materialnych, pozwalała na odreagowanie napięcia, przeżycie przyjemności, a nawet radości. Chwile spędzone na zabawie wzmacniały odporność psychiczną dzieci, dodawały siły do znoszenia uciążliwości pobytu na deportacji.

Doceniając wartość zabawy w życiu dzieci i młodzieży zaliczono ją do czynników podtrzymujących, ułatwiających dostosowanie się młodych zesłańców do wymagań przymusowego bytowania w ZSRS.

Wyniki badań przedstawiały się następująco. Ogółem 34 osoby potwierdziły, że w latach deportacji spędzały czas również na zabawach, potrafiły je opisać i przyznawały, że wspomnienia tych zabaw są dla nich przyjemne. Słowo „również” zostało użyte, aby podkreślić, że zabawa nie była główną formą aktywności, gdyż jak zaznaczyłam w poprzednim podrozdziale dzieci obciążone były pracą. Zabawa była więc czynnością podejmowaną w chwilach wolnych od obowiązków.

Zaprotokołowane wypowiedzi badanych podane są poniżej.

Ja miałam dużo zabawek, lalek. Bawiliśmy się w zielone, kolorowe szkiełka, często z dziećmi rosyjskimi. Kapaliśmy się w rzece, żuliśmy „siele”. Nastrój był wesoły, jak u dzieci. Najczęściej bawiłam się z dwoma córkami prokuratora rosyjskiego... (2 k).

Były to przeważnie zabawy azjatyckie np. w kości... , w pieniądze nie graliśmy. Inne zabawy to w chowanego, skakanka. (9 m).

Bawiliśmy się w palanta, berka, 2 ognie, razem z rosyjskimi i polskimi dziećmi... (19 k).

Wywoływałyśmy duchy, robiliśmy z pudełek karty do gry. Czasami było dosyć wesoło. Udawało się nam dzieciom zapomnieć choć na chwilę o tragedii. Dorośli raczej nie uczestniczyli w takich zabawach, bo byli zbyt zmęczeni... Zabawa lalkami własnej roboty... psocenie...(31 k).

10 osób badanych stwierdziło, że zabawy były rzadkością i z trudnością odtwarzały wspomnienia na ten temat. Na przykład.:

Rzadko, w zimie [...] pływanie na krze. (11 m).

11 badanych zapamiętało zorganizowane spotkania młodzieży o charakterze typowo rekreacyjnym np. tańce, czy zbiórki harcerskie (w polskich domach dziecka). Na przykład:

Na zbiórkach chodziliśmy w step, śpiewaliśmy pieśni patriotyczne.../(5 k).

Dodać trzeba, że prawie połowa badanych (49 osób) podała, że radosne były dla nich różne działania podejmowane wspólnie z rówieśnikami, które chociaż nie miały charakteru rekreacyjnego, a organizowane były w celu czysto pragmatycznym, stanowiły przyjemne urozmaicenie monottonnych dni.

Latem wczesnym rankiem wychodziliśmy na pola, żeby wspólnie zbierać kłosa zboża, albo ziemniaki. Umawialiśmy się niedużą grupą – dziewczęta i chłopcy. Byliśmy młodzi... Pomimo towarzyszącego strachu – było to oczywiście zabronione, zaliczam te „zbiory zboża” do najmilszych chwil, jakie ofiarowało nam to miejsce. Robiliśmy konkurencje, kto więcej zbierze, często śpiewaliśmy polskie piosenki. (1 k).

Inna z badanych (brak dosłownego zapisu) wspomina jak wraz z innymi dziećmi organizowała wyprawy po „kiziaki”. Było to jej zdaniem wydarzenie towarzyskie.

Dzieci zbierały się, zabierały ze sobą worki i uważając na żmije, szły na step. Były to miłe chwile, kiedy młodzi wędrownicy opowiadali sobie sny, wspomnienia sprzed zesłania i interesujące ich wydarzenia. (40k).

Powracając do problematyki zabawy należy podkreślić, że aż 42 osoby nie zapamiętały żadnych zabaw inscenizowanych w latach zesłania. Np.:

Kto tam widział zabawy... (42 k).

Nie było zabaw, tylko praca... (52 k).

Na zabawy nie było czasu... (12 k).

Nie bawiłam się, musiałam pracować... (13 k).

Nie pamiętam w co bawiliśmy się. Nie było żadnych zabaw. (20 k).

Nie było zabaw. Myśleliśmy tylko, aby chleba zjeść. (28 k).

Nie mieliśmy siły na zabawy... (29 k).

Warto wspomnieć, że wiele osób, których wypowiedzi zamieszczono w kategorii „nie było zabaw” dziwiło się, że zbierając wywiad dotyczący problematyki deportacji można pytać o zabawy i radosne wydarzenia.

## 7. Radosne wydarzenia

Konstruując projekt badań nad psychologicznymi aspektami deportacji zakładano, że nawet w tak trudnych okresie przebywania w ZSRS

badani doświadczali zdarzeń pozytywnych jakichś korzystnych splotów okoliczności i w kwestionariuszu wywiadu umieszczono pytania sondujące wspomnienia radosnych momentów przeżytych w latach zesłania. Zgodnie z wiedzą psychologiczną dobre doświadczenia zwiększają odporność psychiczną człowieka. W sytuacjach trudnych możliwość powrotu we wspomnieniach do pozytywnych doświadczeń wzmacnia motywację do przezwyciężenia trudności i umacnia nadzieję na pozytywną odmianę losu.<sup>24</sup>

Było sprawą oczywistą, że w autobiograficznej pamięci badanych bardzo dużo pojedynczych faktów uległo zatarciu. Ślad pozostał jedynie po takich przeżyciach, które miały szczególne emocjonalne znaczenie.

Ogółem 66 osób potrafiło wymienić radosne momenty w czasie deportacji. 29 badanych uważało, że takich wydarzeń radosnych nie było lub nie potrafiło ich sobie przypomnieć.

Nie przypominam sobie radosnych wydarzeń. (11 k).

Nie pamiętam radosnych wydarzeń, chyba ich nie było. (14 k).

Najczęściej wymienianymi momentami przeżywania radości były „dobre nowiny”, które wymieniło 36 osób. Chodzi tu głównie o wiadomość o możliwości powrotu do Polski, a także wiadomość o zakończeniu wojny (wymieniło ją 27 badanych). Różne wydarzenia polityczne takie jak: ogłoszenie traktatu Sikorski – Stalin, tworzenie armii przez generała Andersa, utworzenie Związku Patriotów Polskich, utworzenie dywizji im. T. Kościuszki, ceremonie patriotyczne – jako radosne wydarzenie zapamiętało 9 osób.

Radosnymi wydarzeniami były też sytuacje doraźnie polepszające byt zesłańców np. otrzymanie paczki z Polski, znaleziona kartka na chleb, najedzenie się do syta. Mówiło o nich 17 Sybiraków. Podaję kilka wybranych wypowiedzi na ten temat:

W 1944 r. na Ukrainie do syta mogłam pojeść pomidorów i placków ze zgniłych ziemniaków z kukurydzą. (9 k).

Radosne wydarzenie to ugotowane ziemniaki na Wielkanoc. Mama nam je ugotowała na sucho. Co to była za radość. (13 k).

Bardzo się cieszyłam jak miałam co jeść. (25 k).

W polskim internacie dostałam na wigilię puszkę ryby. (29 k).

W tych strasznych czasach spotkało mnie szczęście. Znalazłam bezimienną kartkę na i kg chleba. Wiem, że nie była to kartka *naszych*, mieliśmy inne... (44 k).

Dla 13 kobiet i 4 mężczyzn sytuacja radosna była wynikiem funkcjonowania więzi z członkami rodziny lub rówieśnikami np. spotkanie z wypuszczonym z łagru lub więzienia rodzicem, serdeczność rodziców, narodziny braciszka, list od ojca, wyzdrowienie brata, uczestniczenie w spotkaniach z rówieśnikami.

---

<sup>24</sup> R. S. Lazarus, *Stress*, op. cit.

W paśmie ciągnących się latami dni odczuwania ponizenia i głodu osoby deportowane potrafiły dostrzec i odczuć chwile polepszenia się losu, które wzmacniały nadzieję, że koszmar deportacji zakończy się i nastąpi powrót do Polski.

### 8. Podsumowanie

Podsumowując referowane w rozdziale wyniki badań nasuwa się wniosek, że w opinii osób badanych – wiara w Boga, nadzieja na przetrwanie i powrót do Polski oraz aktywne podejmowanie wezwań czyli zaradność, pracowitość, inicjatywa – konieczne do zdobywania środków spożywczych – stanowiły trzy istotne czynniki wzmacniające wolę młodych zesłańców do przetrwania. Ważną, pozytywną rolę w życiu badanych odgrywała też aktywność zabawowa. Niewątpliwie zasoby psychiczne badanych nie rozwijały się w próżni, ale były pochodną oddziaływań wychowawczych rodziców, głębokich więzi rodzinnych, osadzenia w tradycyjnych wartościach oraz identyfikacji z wzorami zachowania się rodziców. Dodać trzeba, że w artykule nie omówiono zagadnienia, którego znaczenie jest nie do przecenienia, ale którego omówienie wymaga odrębnego opracowania. Czynnikiem podtrzymującym była obecność i miłość rodziców (z powodu nieobecności ojców – głównie matek), którzy na ile to było możliwe zaspakajali podstawowe potrzeby bytowe swoich dzieci, otaczali je miłością, dodawali otuchy i wiary, że trudny okres się zakończy i wrócą do Polski.

Kończąc niniejszy artykuł przytoczę opinię W. Theissa potwierdzającą uzyskane rezultaty badawcze:

Taka walka ze zniewoleniem była możliwa dzięki indywidualnym cechom psychofizycznym dziecka oraz jego wcześniejszej socjalizacji, a także dzięki pomocy innych ludzi czy instytucji. Te 2 rodzaje aktywności – własny wysiłek dziecka oraz ratunek i pomoc otoczenia – tworzyły „linię życia”, swego rodzaju „antytrajektorię.”<sup>25</sup>

---

<sup>25</sup> W. Theiss, *Zniewolone dzieciństwo. Socjalizacja w skrajnych warunkach społeczno-politycznych*, Warszawa 1996, s. 38.

---

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

**KOLEKCJA SYBIRACKA  
MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE**

Losy Polaków wywiezionych w latach 40. i 50. XX wieku w głąb ZSRR znalazły dziś godne miejsce w naszej historiografii. Przybliżają je dziesiątki opublikowanych wspomnień i naukowych opracowań, uwierzytelniają dane faktograficzne gromadzone przez Związek Sybiraków, Ośrodek „Karta”, muzea i archiwa. Wielość i różnorodność zachowanych źródeł pozwala żywić nadzieję, że pamięć o gehennie Polaków represjonowanych na Wschodzie nie wyblaknie z upływem lat. Jednak, by wszystkie te dowody potrafiły również w przyszłości kształtować społeczną wrażliwość na ich doświadczenia, istnieje coraz większa potrzeba wzbogacania posiadanej wiedzy o osobistą refleksję, z jakimi próbami musieli się mierzyć. Już dziś młodemu pokoleniu Polaków niezwykle trudno zrozumieć realia czasów stalinowskich, ponieważ nigdy nie było ono narażone na utratę własnej tożsamości, ojczyzny, nie musiało walczyć o przetrwanie na obcej ziemi. A Sybiraków, którzy mogą dać świadectwo prawdzie, wciąż ubywa. Stąd obawa, że ich doznania przestaną być postrzegane w kontekście dramatu jednostek, lecz zostaną skategoryzowane jako zespół faktów historycznych i liczb ukazujących skalę prześladowań. By tak się nie stało, trzeba sięgać po konkretne przykłady, które wprowadzą młodsze pokolenia w odległy świat łagrów i zsyłek.

A jest to możliwe, gdyż ludzie, którzy odeszli, pozostawili nam ważne informacje o swoich losach. Są one zakodowane w sybirackich pamiętkach. Jeśli potrafi się je właściwie odczytać, można pełniej zrozumieć doświadczenia Polaków represjonowanych na Wschodzie. Oczywiście, zadanie nie należy do łatwych. Oglądając kopciłkę z puszki po konserwie czy blaszaną tarkę z otworkami przekłutymi gwoździem, niewiele osób zdaje sobie sprawę z ich przeznaczenia. Trudno bowiem uwierzyć, że tak prymitywnych przedmiotów używano w zesłańczym gospodarstwie. Ale materialne świadectwa są niepodważalnym faktem, co u wrażliwszych jednostek wywołuje głębszą zadumę nad realiami życia w takich warunkach.

Czasem odczytanie znaczenia pamiątki bywa bardziej skomplikowane. Patrząc na pięknie haftowaną serwetkę, wykonaną przez łągierniczkę na Kołymie, można wyrobić sobie fałszywy pogląd, że w obozie były znośne warunki, skoro autorka znajdowała czas na twórczość rękodzielniczą. Kiedy jednak sięgniemy po jej spisana relację, dowiemy się, że w baraku przez całą noc paliła się żarówka, przez co nie mogła spać. I właśnie dlatego spędzała długie godziny na wyszywaniu serwetek. Podobnych przykładów są dziesiątki, jeśli nie setki. Stąd wniosek, że pisane wspomnienia i materialne dowody zesłań powinno się rozpatrywać łącznie.

Możliwości takie stwarza Muzeum Niepodległości w Warszawie. Posiada ono bowiem bogate zbiory sybirianów, na które składają się zarówno publikacje, jak i pamiątki z zesłań. Biblioteka naukowa zgromadziła około 500 tytułów książek tematycznie związanych z losami Polaków na Wschodzie w czasach stalinowskich. Są to historyczne opracowania, zbiory dokumentów oraz relacje osób więzionych, deportowanych i osadzonych w obozach. W zasobach bibliotecznych znajdują się też pojedyncze numery czasopism „Sybiracy”, „Sybirak” (z województwa mazowieckiego) i „Zesłaniec” oraz wydawnictw mieszczących na swoich łamach wspomnienia represjonowanych („Kresowe Stanice”, „Wołyń bliżej”, „Wołyń i Polesie”).

Kolekcja pamiątek liczy już ponad 3000 obiektów i obejmuje materialne świadectwa losów deportowanych i łągierników, a także dokumentację współczesnych działań różnych organizacji kombatanckich. Jej zasoby opisywałam w ubiegłych latach na łamach „Zesłańca” w numerze 2004:19 (*Kolekcja sybirackich pamiątek w Muzeum Niepodległości*) oraz 2007:30 (*Kazachstańskie pamiątki w zbiorach Muzeum Niepodległości*). Pełny wykaz nabytków pochodzących z lat 1994-2001 wraz z ich krótkimi charakterystykami znajduje się w I tomie katalogów zbiorów Muzeum Niepodległości (*Kolekcja Sybiracka*. Warszawa 2002). Zawiera on 1224 pozycje, zgrupowane w działach: przedmioty wykonane lub nabyte przez represjonowanych, archiwalia, fotografie, prace współczesnych artystów o tematyce sybirackiej oraz świadectwa związane z upamiętnianiem wschodnich losów Polaków. Do najliczniejszych skatalogowanych zespołów należą pamiątki z Komi ASSR (Workuta, Inta), Krasnojarskiego Kraju (Norylsk, Murta Wielka), Kołymy (Magadan, Orotukan, Jagodnaja, Kadykczan), obwodu irkuckiego (trasa tajszecka), Kazachstanu (Karaganda, Dolinka, Czurbaj-Nura, Dżezkazgan, Urdżar, Ajaguz, okolice Kokczetawu, Pawłodaru, Pietropawłowska, Presnowki) oraz z Ałtajskiego Kraju (Barnauł). Wszystkie obiekty pochodzące z europejskiej części ZSRR, z północnej i centralnej Syberii, a także z obwodu karagandyjskiego wiążą się z losami łągierników, osadzonymi w obozach po 1944 roku. Dokumentują one realia ich obozowego życia oraz pobyt na osiedleniu po zakończeniu zasądzonej kary. Dodam jeszcze, że aktualnie prowadzone są prace nad drugą częścią katalogu, w którym omówione będą pamiątki pozyskane w późniejszym okresie.

Obecnie najbardziej liczną grupą sybirackich zbiorów są archiwalia. Składają się na nie zaświadczenia urzędowe (przeważnie radzieckie) wystawione osobom zesłanym lub zwalnianym z obozów, dokumenty związane z działalnością ambasady RP w Kujbyszewie, polskich organizacji w ZSRR, (przede wszystkim Związku Patriotów Polskich i szkół) oraz z repatriacją i wychodźstwem. W tej grupie muzealiów mieści się także prywatna korespondencja represjonowanych, utwory literackie (głównie poezja o charakterze religijno-patriotycznym), pamiętniki, laurki, ręcznie wykonane kartki świąteczne oraz dokumentacja rysunkowa otoczenia zesłańców. Wśród archiwaliów szczególną wartość poznawczą mają listy, gdyż dzięki zawartym w nich treściom możemy wyrobić sobie pogląd, jak wyglądało życie osób wywiezionych na Wschód i z jakimi problemami musiały się one zmierzyć w określonym czasie i miejscu.

W ostatnich latach włączyliśmy do zbiorów m.in. obszerną korespondencję spokrewnionych ze sobą Januszewskich i Łossowskich prowadzoną z rodziną zamieszkałą w Czortkowie. Pierwszy list został napisany 22 maja 1940 roku w Sosnowce (rej. kosiński, obw. mołotowski, Altajski Kraj), zaś z jego treści można wnioskować, że zesłańcy przebywali w posiołku już od pewnego czasu. Oznacza to, że rodzinę wywieziono podczas pierwszej wielkiej deportacji ludności polskiej. Ostatnia wiadomość, wysłana z sieła Wisokoje (rej. krasnoarmiejski, obw. saratowski), pochodzi z 2 listopada 1944 roku. Na podstawie dat i adresów można więc określić udokumentowany czas i kolejne miejsca pobytu rodziny. Z treści listów dowiadujemy się, w jakich warunkach mieszkali zesłańcy, jakie były ich najważniejsze potrzeby, czym zajmowali się, jak układały się ich wzajemne stosunki, kto wówczas zmarł, a kto chorował. Realizm opisów pozwala nam znacznie dokładniej wczuć się w położenie zesłańców, niż zsyntetyzowane informacje podawane w opracowywanych po latach wspomnieniach. Dla przykładu przytoczę treść listu siostr Januszewskich do stryjecznego brata Rysia, pisanego w Sosnowce 18 listopada 1940 roku (z zachowaniem oryginalnej ortografii i interpunkcji). Jego autorka Lusia tak przedstawiała ówczesne realia życia rodziny:

Dawno chciałyśmy napisać do ciebie brak papieru i czasu nie pozwala nam nato. Nie myśl sobie że my tu hałasujemy bawimy się jak w domu. Tu życie inne tato i mama całymi dniami przy pracy w lesie nieraz nawet daleko od nas pracują 10-12 km. My również pracujemy bo nosimy z daleka wody dwoma wiadrami drzewo do palenia dźwigamy z lasu pomagamy prac, gotujemy w piecu palimy, stojmy w ogonkach po chleb czasem kasze a mnie raz w ogonku zgnetli kości że ledwie żywą przyprowadzili do domu i byłabym umarła gdyby pani Nybronowa nie wyzwała felczerki która jakimiś lekarstwami uratowała mnie. Tato i mama i Jadzia byli wówczas od 20 km stąd na sianokosach. Jadzia również kosiła taką dużą kosą i za trzy tygodni zarobiła 54 rubli. Chodziła do innych robot i zarobiła też kilkanaście rubli. Tak Rysiuniu tu niema bułeczki z masłem czy słodki kawusi tu napiliśmy się dobrej serwatki a niema jemy tylko zupkę kartoflaną czyściutką rano i wieczór a najlepszym naszym przysmakiem czarny chleb

przypiekany na kuchni. Oj Rysiu opowiemy ci kiedyś o wszystkim bo teraz trzeba bardzo wielu papieru aby opisać naszą straszną niedolę. Rośniemy w tych lasach jak dziki świata nie widzimy. Teraz Jadzia i Rela chodzą do szkoły na rozkaz władz i zaczynają się uczyć po rosyjsku. Jadzia od 4 klasy a Rela od 3 klasy. Chodzą choć chłodna i głodna dziurawych bucikach i sukienka i w ręce ściśnięty kawałek przypalonego suchara chodzić muszą bo inaczej progul i rodzicy płacą kary 20 rubli jak wracają ze szkoły 1 czy 2 godzinie nie zostają na stole rosółki z kury ale o tym sucharku muszą czekać na zupełną kartoflową do wieczora. Tak Rysiu bądź grzeczny, ucz się i módl się po raz dziękuj Bogu że jesteś szczęśliwszy od nas i abyś nie zaznał taki nędzy i rozpacz jak my naszym dziecięcym wiekiem i aby każdy dziecku takich nieszczęść nieprzeszło. [...] Drugi razem napiszemy ci jeszcze więcej o naszym życiu jak się uczymy czy na „płoch” czy na „choroszo” lub odliczno. W koncu końców rozumiesz Rysiu to bez obrazu jest że nafta kaganku kończy się więc kończymy list i całujemy cię i ściskamy mocno twoje braterskie dłonie a Mamusi i tatkowi całuj od nas ręce, bądź zdrow. Kochający siostry Lusja Jadzia Rela”.

W ostatnich latach otrzymaliśmy też sporo fotografii z Kołomy i Norylska, kilkadziesiąt przedmiotów wykonanych przez łagierników oraz obszerną dokumentację współczesnych sybirackich uroczystości. Pisząc o najnowszych nabytkach, warto przede wszystkim zwrócić uwagę na duży zespół pamiątek pochodzących z Workuty. Już wcześniej były one bogato i w zasadzie dość wszechstronnie reprezentowane w naszych zbiorach. Najbardziej liczebną grupę stanowiły wówczas fotografie. Przedstawiały one Polaków, gdy przebywali w obozach, a później na osiedleniu, różne uroczystości, w których uczestniczyli, fragmenty osady, kopalnie i krajobrazy pobliskich okolic. Wśród workuckich pamiątek jest też trochę rękopisów, dokumentów urzędowych i, co należy podkreślić, więcej unikalnej odzieży łagierników oraz przedmiotów osobistego użytku, niż w zespołach pochodzących z innych kompleksów obozowych. Szczegółowa charakterystyka tych muzealiów wraz z podaniem ich historycznego kontekstu została zamieszczona w 1(25) numerze czasopiśma „Niepodległość i Pamięć”, który ukazał się w 2007 roku. W tym miejscu przypomnę tylko, że za wyróżniające cechy workuckiego zespołu uznałam wtedy:

- ❖ związek wszystkich obiektów z grupą osób wywiezionych po 1944 roku, głównie z osadzonymi w obozach żołnierzami AK,
- ❖ datowanie pamiątek na późne lata 40. i pierwszą połowę 50. XX wieku, zamykających okres stalinowskich represji wobec Polaków,
- ❖ małą ilość realiów o charakterze artystycznym i religijno-patriotycznym.

Dziś należy tę ocenę częściowo skorygować, ponieważ w ostatnich latach otrzymaliśmy sporo pamiątek, których brakowało w kolekcji. Szczególnie cennymi nabytkami są ręcznie wykonane karty okolicznościowe, haftowane miniatury o tematyce religijno-patriotycznej oraz pięknie rzeźbiona ramka ze zdjęciem „Pięcioraczków” czyli pięciu zaprzyjaźnionych ze sobą więźniarek tamtejszych obozów. Właśnie z ich



osobami wiążą się prawie wszystkie pozyskane ostatnio obiekty. Żartobliwą nazwę „Pięcioraczków” nadano Barbarze Dudycz, Bronisławie Kutiuk, Czesławie Hnatów, Wandzie Cejko i Annie Norskiej (Szyszko). Łączyła je nie tylko przyjaźń, ale też podobne koleje życia. Poza Iwówianką Czesławą Hnatów, wszystkie pochodziły z Wilna. Skazano je za działalność w strukturach Armii Krajowej i więziono najpierw w Workutłagu, a później w Rieczłagu. Do grona ich przyjaciół należał też Stanisław Kiałka, późniejszy mąż pani Wandy oraz Eugeniusz Cydzik, który jeszcze w Workucie poślubił Czesławę Hnatów. Ich losy opisał po powrocie do kraju Bernard Grzywacz w książce *Krag Workuty* (Warszawa 2004). Trzeba dodać, że on również został mężem jednej z „Pięcioraczek” Anny Norskiej.

Wśród wspomnianych tu więźniarek szczególnie utalentowana artystycznie okazała się Czesława Hnatów, która według relacji Wandy Kiałki, „rysowała, malowała i wyklejała kwiatkami z tundry pocztówki”. Ozdobne kartki wykonywała również Barbara Dudycz. Kilkanaście ich prac znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Niepodległości. Zaś autorem kunsztownej ramki, o której pisałam wcześniej, był Stanisław Kiałka, uznawany za najzdolniejszego rzeźbiarza wśród więzionych w Workucie Polaków. O tym, że opinia o jego talencie nie jest przesadzona, świadczy też zdjęcie pochodzące z naszej kolekcji. Widzimy na nim Stanisława Kiałkę nadającego ostatni szlif pięknej figurze Chrystusa Ukrzyżowanego.

Kolejną grupą nowo pozyskanych muzealiów są pamiątki po osobach deportowanych. Wśród nich warto wyróżnić ciekawe fotografie dokumentujące zesłańcze lata życia przyszłej śpiewaczki operowej Marii Karasińskiej. Wraz ze zdjęciami otrzymaliśmy maszynopis jej relacji *Wspomnienia z Sybiru (IV 1940 – V.1946)*, spisanej w Zabrzu w 1986 roku. Dzięki temu możemy nie tylko poznać jej losy, ale też określić kontekst sytuacyjny zarejestrowanych na kliszach wydarzeń. Ze wspomnień oraz z dołączonego do nich krótkiego życiorysu dowiadujemy się, że dzieciństwo i młodość spędziła we Lwowie. Tam właśnie urodziła się 25 marca 1914 roku, a po ukończeniu szkół rozpoczęła naukę śpiewu i gry na fortepianie w konserwatorium. 13 kwietnia 1940 roku wywieziono ją wraz z rodzicami do Urdżaru w rejonie semipałatyńskim. Jak większość zesłańców będących w sile wieku, musiała podjąć ciężką pracę fizyczną. Nie miała zresztą innego wyjścia, gdyż ze względu na zły stan zdrowia rodziców stała się ich jedyną żywicielką. Skierowano ją do przedsiębiorstwa *Nasz Trud*, w którym, według zapowiedzi „władz”, nowo przybyli deportowani mieli pracować „zgodnie ze swoją specjalnością”. Jako studentka konserwatorium została przydzielona do brygady... wyrabiającej cegły. Ale szybko okazało się, że była to praca przekraczająca jej siły. Karasińska nie nadążała z wykonaniem wyznaczonych norm, a z przemęczenia zapadła na chorobę. Zamiast leczenia zaproponowano jej lżejszą pracę na polu przy zbieraniu warzyw. Jednak na krótko.

Za odmowę przekazania zarobku zagrożonej „ojczyźnie” przydzielono ją do brygady wydobywającej torf.

Po amnestii otrzymała powołanie do organizowanej przez generała Andersa armii, lecz w trakcie przygotowań do wyjazdu ciężko zachorowała na zapalenie stawów i musiała wraz z rodzicami zostać w Urdźarze. Zerwanie układu polsko-sowieckiego ostatecznie przekreśliło jej plany rychłego opuszczenia „niehumanitarnej ziemi”. W grudniu 1942 roku pochowała matkę, zmarłą „z głodu, wycieńczenia i rozpacz”. Kilka miesięcy później straciła ojca, który „nie chorował zupełnie, po prostu ginął w oczach, nieraz skarżył się jak dziecko, że jest bardzo głodny”. Do kraju powróciła więc sama. A był to rok 1946. Jeszcze przed wyjazdem dotarła do niej wiadomość, że „miasto nasze Lwów, najcudniejszy i najdroższy, do którego tak bardzo tęskniliśmy, wraz z Kresami Wschodnimi został Polsce odebrany”. Dlatego nie wiedziała, „gdzie zbuduje nowy dom”. Po przekroczeniu granicy wraz z całym transportem została skierowana na Ziemię Odzyskane. Resztę życia spędziła w Zabrze.

Tyle w wielkim skrócie o zesłańczych losach Marii Karasińskiej. Pora więc zadać sobie pytanie, na ile znajdują one odzwierciedlenie w przywiezionych z Kazachstanu zdjęciach. Porównując tekst wspomnień z materiałem ikonograficznym można stwierdzić, że fotografie rejestrują pewne fakty pominięte przez autorkę lub dają pełniejszy obraz opisywanych wydarzeń. Są też i takie, które bez komentarza zawartego we *Wspomnieniach*, trudno jednoznacznie zinterpretować.

Weźmy dla przykładu fotografię z adnotacją na odwrocie: „Urdźar 1941 – polska grupa artystyczna”. W pierwszym rzędzie widzimy na niej dziewczęta w strojach ludowych, w drugim – siedzącego po środku żołnierza w czapce z orzełkiem, w otoczeniu uśmiechniętych kobiet i mężczyzn. Kontekst powstania tej fotografii odnajdujemy we *Wspomnieniach*. Karasińska napisała tam:

W roku 1941 po porozumieniu Rządu Londyńskiego z gen. Sikorskim i Stalinem [...] po mężczyzn w wieku poborowym przyjechał ze sztabu polskiego oficer i wcielił ich do armii na miejscu. Owację wprost obłąkańczą, widząc na jego czapce orła Polskiego, zgotowaliśmy mu. Z tej okazji zorganizowaliśmy imprezę polską z tańcami narodowymi, śpiewem i wierszami. Jedną z organizatorek byłam i ja.

Na innej fotografii, opisanej „Polacy przy grobach swoich bliskich w dniu Wszystkich Świętych. Ajaguz 31.11.1945”, widzimy trzy kobiety i chłopca przy kopcach usypanych z kamieni. Na umieszczonych na krzyżach tabliczkach można odczytać, że pochowano tam Adelę Waszkiewicz oraz Melanię i Leonarda Karasińskich, rodziców Marii. Więcej szczegółów dostarcza jej pisemna relacja. Czytamy w niej, że „wypraszała deski na coś podobnego do trumny, a mogiłę musiała wykopać z przyjaciółkami, ponieważ w tym czasie w osadzie już prawie nie było mężczyzn.”

Kolejne fotografie wykonane w Ajaguzie w latach 1944-1945 zawierają ważną informację, że Karasińska znalazła zatrudnienie w artelu,

gdzie zajmowała się wyszywaniem obrusów i rubaszek. Należała też do polskiej sekcji artystycznej, co poświadcza zdjęcie, na którym obok niej stoi kilkoro młodych ludzi ubranych w kostiumy nawiązujące do strojów historycznych. I jeszcze na jedno warto zwrócić uwagę – dzięki fotografiom mogliśmy poznać bliżej ją samą. Wiemy już, jak wyglądała w latach swojej zesłańczej młodości i ile ciepła zachował jej uśmiech. mimo

Polska grupa artystyczna. Urdzar, Kazachstan 1941.

Na koniec wspomnę o obiektach, którym do niedawna nadawaliśmy drugorzędne znaczenie. Chodzi tu o dokumentację współczesnych działań, związanych z upamiętnianiem losów represjonowanych na Wschodzie. Owo zaniedbanie można zresztą do pewnego stopnia wytłumaczyć. Zjazdy kombatanckie, msze odprawiane w „Dniu Sybiraka” i w rocznice wywózek, pielgrzymki na Jasną Górę czy do Grodźca, marsze pamięci na stałe wpisały się w kalendarz uroczystości obchodzonych w naszym kraju. Były dla nas tak oczywistym elementem dzisiejszej rzeczywistości, że nie myśleliśmy o nich w kategoriach faktów historycznych. Gdy rozpoczynaliśmy gromadzenie pamiątek z zesłań i obozów, środowisko Sybiraków było jeszcze dosyć liczne. Zawsze mogliśmy korzystać z ich pomocy, konsultować się w sprawach merytorycznych, uczestniczyć w poświęconych im uroczystościach. Jednak każdy kolejny rok przynosił straty w ludziach. Zbyt długo by wyliczać, ilu wspaniałych Sybiraków, których mieliśmy zaszczyt poznać, odeszło na zawsze.

Uświadomiliśmy sobie wówczas, że musimy utrwalac pamięć również o ich ostatnich dokonaniach.

W ikonograficznych zbiorach Muzeum Niepodległości znajdują się zdjęcia z uroczystości państwowych, religijnych i kombatanckich, w których uczestniczyli Sybiracy. Niestety dokumentacja ta jest dosyć skromna, zarówno pod względem ilości, jak też reprezentatywności poszczególnych oddziałów i kół. Wiąże się ona z obchodami Święta Niepodległości, Konstytucji 3 Maja, Bożego Ciała, Dnia Sybiraka i 75 rocznicy reaktywowania Związku, organizowanymi w Warszawie, Piasecznie, Olsztynie, Kluczborku, Dzierżoniowie i Sokołowie Podlaskim. Na zdjęciach widzimy licznie zgromadzonych Sybiraków z pocztami sztandarami, którym towarzyszy młodzież szkolna, harcerze, wojsko i kapłani.

Druą grupa fotografii dokumentuje pielgrzymki do Grodzca Opolkiego, Częstochowy i innych sanktuariów. Szczególnie ciekawe jest zdjęcie ze spotkania kluczborskich Sybiraków z Janem Pawłem II w Legnicy. Przedstawia ono grupę pielgrzymów przybyłych na tę uroczystość z własnym sztandarem i obrazem Matki Boskiej, który rodzina Cisków przywiozła z zesłania.

W kolekcji znajdują się także fotografie wykonane podczas środowiskowych spotkań opłatkowych i wielkanocnych. Mamy ponadto kilka zdjęć ze zjazdu Polskich Sierot Syberyjskich w Starych Jabłonkach i delegatów Związku Sybiraków we Wrocławiu, zorganizowanych w 1996 roku. W zbiorach muzeum szczególnie bogato udokumentowana jest działalność Klubu Pawłodarczyków, którą wyróżnia przede wszystkim ścisła współpraca z Polonią w Kazachstanie. W tym miejscu wspomnę, że posiadamy kilkanaście zdjęć z ich VII i VIII zjazdu. Zaproszono na nie m. in. gości z Pawłodaru, a odbyły się one kolejno w Mrzeżynie (2005) i Rewalu (2006).

Inny włączony do kolekcji zbiór fotografii przedstawia pomniki i tablice pamiątkowe. Obok monumentów znajdujących się w Polsce obejmuje on szereg ujęć kompleksu memorialnego w Norylsku, w tym polskiego pomnika odsłoniętego 28 lipca 1996 roku i krzyża poświęconego ofiarom politycznych represji, postawionego sześć lat wcześniej. Mamy też zdjęcia kamiennych obelisków w Borowiczach i Workucie oraz cmentarzy w Miednoje, Jur-Szor i w Pawłodarze. Na wszystkich pokazane są polskie groby lub tablice memoratywne. Szczególną wymowę ma zdjęcie księdza Zdzisława Peszkowskiego, który obejmuje krzyż znajdujący się w lesie katyńskim. Ostatnia ważna grupa fotografii wiąże się z sybirackimi uroczystościami. Rejestrują one przebieg ceremonii odsłaniania pomników w Pawłodarze, Dzierżoniowie oraz tablicy pamiątkowej we wsi Wielkie Oczy koło Lubartowa. Posiadamy też szereg zdjęć z uroczystości nadawania różnych odznaczeń, w tym Krzyża Zesłańców Sybiru.

Powyższy przegląd nabytków wskazuje wyraźnie, że dokumentacja współczesnych działań na rzecz utrwalania pamięci o represjach na Wschodzie, stanowi zbiór dość przypadkowy. Ze względu na liczne obo-

wiązki nie możemy bowiem śledzić na bieżąco wszystkich ważnych inicjatyw podejmowanych przez Sybiraków. Dysponujemy więc tylko takimi materiałami, jakie przekazały nam oddziały czy osoby, z którymi nawiązaliśmy ściślejszą współpracę.

Stąd nasza prośba o dalsze wspieranie muzeum w gromadzeniu dokumentacji upamiętniającej stalinowskie represje. Dzięki dotychczasowym darom możemy służyć pomocą studentom, dziennikarzom, filmowcom i pracownikom naukowym, poszukującym świadectw martyrologicznych losów Polaków na Wschodzie. Zbiory kolekcji eksponujemy też na stałej wystawie „Sybiracy 1940-1956” urządzonej w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Jest ona wspólnym dziełem Muzeum Niepodległości i ludzi, którzy przeszli przez „Golgotę Wschodu” i od lat czynili starania o utworzenie stałej ekspozycji dającej obraz ich przeżyć. O uroczystości jej otwarcia i koncepcji prezentowania pamiątek pisałam w 22:2005 numerze „Zesłańca”. W tym miejscu przypominę, że wystawa posiada kilka wątków, a każdy z nich odtwarza ważny fragment historii stalinowskich represji. Pierwszy blok tematyczny został poświęcony mieszkańcom kresów wschodnich w okresie poprzedzającym okupację radziecką, dalsze dotyczą problematyki obozów i więzień na początku lat 40. XX w., wychodźstwa z ZSRR po 1941 r., deportacji ludności polskiej (realiów pobytu na zesłaniu i powrotów do kraju), losów łagierników po 1944 r. i warunków ich życia na tzw. wolnym osiedleniu. Zaprezentowano też dwa tematy szczegółowe: „Żołnierze Armii Krajowej w obozie w Borowiczach” i fragment wystawy o Kołymie – „Przeżyłem piekło”, zrealizowanej przez Henryka Witrylaka.

Ekspozycję zwiedza młodzież szkolna, harcerze, przedstawiciele środowisk kombatanckich, rodziny z dziećmi oraz grupy wycieczkowe. Wielu gości to obcokrajowcy, dla których nasza wystawa stanowi jedną z nielicznych okazji bliższego poznania historii osób więzionych i deportowanych. Dodam, że wśród nich jest też sporo Rosjan. W ubiegłym roku ekspozycję obejrzał m. in. profesor Bolesław Szostakowicz z Irkucka, który od lat zajmuje się dziejami polskich zesłańców. Był zdumiony bogactwem zgromadzonych na niej świadectw. A przecież, dzięki Państwa pomocy, możemy jeszcze pełniej zilustrować Wasze losy, gdyż każda nowa pamiątka uzupełnia lub potwierdza kolejnym przykładem dotychczasową wiedzę o represjach, jakich doznawali Polacy.



---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Edward Kuczyński – *Wspomnienia łagiernika***

Autor relacji był żołnierzem Armii Krajowej. 1 listopada 1944 roku został aresztowany w Białymstoku, gdzie w tamtejszej siedzibie NKWD przy ul. Ogrodowej poddany był uciążliwemu śledztwu. Skazany został na 10 lat łagrów. Z Białegostoku przewieziony został do więzienia w Grodnie, potem do Orszy i Witebska. Następnie wysłany został do obozu w rejonie Krasnojarska, gdzie w okolicy stacji kolejowej Renota pracował przy budowie kolei. Tam uległ wypadkowi i po wyleczeniu ran przewieziony został do obozu nr 4 w okolicach Karagandy (Kazachstan). Pracował tam przy budowie kopalni oraz w zakładach przeróbki węgla, następnie zaś jako górnik. W roku 1954 został uwolniony i powrócił do Białegostoku.

\*

Zostałem zaliczony do ludzi całkowicie wycieńczonych, nie nadających się do żadnej pracy. Nazwa choroby „dystrofia”, tj. skazany na powolne konanie. Ale rogata polska dusza nie chciała wyjść z ciała. Wywieziony zostałem do

obożu nr 2, rolniczo-gospodarczego, który zaopatrywał wszystkie mniejsze obozy pracy w żywność. Był tu także centralny szpital dla ciężko chorych, do którego przywożono ludzi z mniejszych obozów. Kilkadziesiąt brygad musiało obrobić wszystkie pola i przygotować wyżywienie dla wszystkich obozów. W baraku mieszkało około 200 ludzi. Na narach do spania, jedzenia i odpoczynku mieściły się 4 osoby. Dla chorych były łóżka. W baraku dla inwalidów były poczwórne nary.

Ludzi było bardzo dużo, w przybliżeniu około pięciu tysięcy, różnych narodowości. Zostali przywiezieni z całej Azji i z połowy Europy, a nawet byli Niemcy, Francuzi, Anglicy, wszyscy nie wojskowi. Większość była w takim samym stanie jak ja, całkowicie wycieńczeni. Wszyscy podzieleni na brygady. Od czasu do czasu prowadzono na roboty, które jeszcze mogliśmy wykonywać i gdzie można było coś ukraść do jedzenia. Organizm przed sobą nie widział nic, wołał tylko jeść. Przed drzwiami kuchni stałem po 3-4 godziny, może zaangażują na noc do czyszczenia ziemniaków lub jakiegokolwiek innej roboty. Pracowało się w kuchni po 4-5 godzin, dostawało się za to kilka czerpaków półlitrowych albo 70-gramowych lepszej zupy. Zrobiłem sobie czterolitrowy kociołek z puszek konserwowych, które od czasu do czasu można było znaleźć na śmieciach oraz drewnianą łyżkę. Byłem już bogaty. Tylko że trzeba było dzień i noc mocnym sznurkiem albo drutem mieć to przywiązane do boku, gdyż mała nieuwaga i kociołka nie widać, zdarzały się i takie przykrości. Miałem też w zapasie z desek zrobione korytka. Na takie korytka nie było amatorów, prawie wszyscy je mieli. Gorzej, gdy ktoś nie miał nawet korytka, wtedy brało się zupeę w czapkę i wypijało po odejściu od okienka.

Po pewnym czasie straciłem tę nocną pracę w kuchni. Znowu chodziłem głodny. Kręciłem się jednak przy tej kuchni. Miałem trochę szczęścia i zaparcia. Dowiedziałem się, że zmienia się główny kucharz. Było to prawdą, był nawet Polakiem, tylko że z czwartego czy piątego pokolenia, nie umiał całkowicie mówić po polsku, nie pamiętał żadnych powiązań z Macierzą. Przyjął mnie do pracy w kuchni na porządkowego. Podłoga w kuchni musi być biała. Trzeba ją było skrobać nożem, za to byłem najedzony. Poznałem kilku innych Polaków, przybliżyła nas kuchnia. Do tej pory w tym obozie nie znałem żadnego Polaka. Brygady były składane z ludzi różnej narodowości. Rzadko kiedy składały się z dwóch czy trzech Polaków, dopiero w Kazachstanie było inaczej. Spanie miałem tuż przy kuchni. Do brygady chodziłem tylko po pajkę chleba. Zupę brali inni z brygady. Brygadzista każdej brygady dostawał zawsze podwójną porcję zupy, ale byli to przeważnie Rosjanie. Trwało to do wiosny 1946 roku. Doszedłem prawie do normalnego zdrowia. Mogłem nawet próbować biegać.

Kończy się sielanka w kuchni. Zbierają brygady, dają łopaty i gonią do kopania pól. Miejscami leży jeszcze śnieg. Bardzo wyczerpująca to była praca. 10 godzin dziennie z 15-minutową przerwą do połknięcia gorącej zupy. Do łopaty klei się urodzajna ziemia, za plecami ciągle pogania nadzieratiel, tak że nie można prawie wyprostować pleców. Nie ma żadnych pługów lub maszyn, ani nawet koni. Przed nami setki hektarów ziemi urodzajnej, a w ziemi dużo ziemniaków z ubiegłego roku, całkowicie zmarzniętych. Ludzie przemęczeni, ledwo ciągaliby ręce i nogi. Podtrzymywało tylko to, że każdy miał woreczek i kociołek i pracując przez cały dzień nawykopywał sobie zmarzniętych ziemniaków, które zezwolono nam brać. Do północy piekliśmy więc lepieszki na płytach stalo-



wych palącego się glinianego pieca. I tu była prawdziwa solidarność czy nabrał mniej czy więcej tych flaków, po upieczeniu brygadziosta rozdawał wszystkim jednakową porcję, nie zważając na różnice narodowościowe. Lepioszki ziemniaczane były bardzo smaczne, choć były bez soli, bez jakiegokolwiek tłuszczu i przypalone; myśląc o domu nie przypominam sobie, aby były takie rarytasy, nie tak nie smakowało.

Na różnych pracach gospodarczych pomału przechodzi lato 1946 roku. Zbliża się jesień. Przyroda wie, że trzeba się spieszyć. Wszystko rośnie, kwitnie i dojrzewa z dnia na dzień. Kwitnie bardzo dużo ładnych dzikich kwiatów, aż serce odżywa, gdy się patrzy na tę przyrodę, tylko że wszystkie kwiaty i rośliny nie miały żadnego zapachu. W Polsce skoszona trawa rozsiewa aromat na kilometry, tam na Syberii jest martwa, choć dorodna. Zima przychodzi bardzo szybko, z początkiem października w dwóch tygodniach musi być z pola wszystko zebrane. Co się nie zdąży zdjąć z pola w tym czasie, pozostaje w ziemi do wiosny. Urodzaj nadzwyczajny, bez żadnej pielęgnacji czy nawozu. Jeden ziemniak wrzucony do ziemi czy pod darninę lub wiklinę, na wiosnę daje pełne, dwunastolitrowe wiadro doborowych kartofli. Pastewny biały burak rośnie do olbrzymich rozmiarów Brak tylko porządku z niedbalstwa. Zboża zebrane składowano w przyzmach i przy torach kolejowych, ziemniaki na zimę zostawiano na polu, nakryte łętami itd., itd.

Okolo czterech kilometrów od naszego obozu był podobny obóz żeński. Niekiedy trzeba było pomagać kobietom w polu i w innych ciężkich pracach. Tylko to było urządzone tak, że mężczyźni nie widzieli kobiet, a kobiety mężczyzn nawet przez lornetkę. Szpital żeński mieścił się obok szpitala centralnego, ogrodzony 4-metrowym płotem z drutem kolczastym. Naczelnicy obozów zorganizowali odwiedziny czterech najlepszych brygad żeńskich w obozie męskim i po tygodniu odwrotnie. Na zebraniach były przemowy naczelników o dobrej pracy i lepszej przyszłości. Przygotowano tym wybranym brygadam lepszy obiad, a po obiedzie był czas na tańce przy harmonosce. Tymczasem zanim przyszła pora obiadu, to w pomieszczeniu pozostało ¼ żeńskich brygad i tylko starsze kobiety. Reszta uciekła z mężczyznami. Konwojenci do rana następnego dnia zbierali dziewczęta po barakach i po całym obozie. Wygląd tych dziewcząt był nie do opisania. Były to zwierzęta-samice. Gorzej było w tydzień później, kiedy to mężczyźni poszli w odwiedziny do obozu żeńskiego. Z powrotem przyszło 2/3, resztę przywieziono do polowego szpitala. Na odwiedziny chodzili tylko uprzywilejowani ludzie „błatnyje” (kryminalni).

Niedaleko był obóz – kamieniołomy. Przywozili do nas skałę na budowę kolei. Były tam wielkie przestrzenie skał i rósł tylko mech. Do obozu przyjechała znów komisja kontrolna – kupcy żywego towaru – i wybierano ludzi do pracy w innych obozach. Trafiłem do obozu nr 11, który budował tory kolejowe i duży tartak. W tym obozie spotkałem się z Japończykami. Było ich około dwudziestu, a może więcej, ale nie w jednej brygadzie. Przydzieleni byli do różnych robót. Byli młodzi, po 20-30 lat. Wszyscy byli skazani za to, że są Japończykami. Byli bardzo przyjaźni. Wiele razy doznałem od nich dużej przychylności.

Byłem w brygadzie przy budowaniu torów kolejowych. Teren bagnisty, komarów miliardy. Bez specjalnego okrycia od komarów nie ma mowy o wyjściu na bagna. Za godzinę człowiek oślepnie, a uszy i twarz będą wyglądać jak jedna okrągła bania. Dano nam specjalne tzw. nakomarniki i siatkę na twarz. Zawiazywało się je na szyi tak, żeby żaden owad nie dobrał się do ciała ludzkie-

go. Na rękach rękawice zawiązywane sznurkiem. Przywozili obiad, to jest pół litra zupy. Zanim człowiekowi nalali do kociołka zupy, to już mięso z komarów było darmowe, tyle tego już wlało. A nim wypił gorącą zupę, to już miał pogryzioną brodę, usta i nos.

Woziliśmy wagonami kamienie, piasek, drzewo do miejsca zsypu, dalej taczkami tam, gdzie układano tory. Doszliśmy do takiego miejsca, w którym wszystko tonęło. Walono tam całe ścięte drzewa, przywożono z kamieniołomów ogromne głazy. Po zasypaniu i ułożeniu torów, za tydzień mazia z bagna wylała znowu na wierzch. Po pół roku takiej pracy zachorowałem na malarię. Straszna choroba. Objawy są takie, że człowiekowi robi się bardzo zimno i tak nim trzęsie, że zdaje się, że jakby cały budynek jeździł. Żadne nakrycia nie pomagają. Potrzeb-sie przez pewien czas, a potem robi się człowiekowi bardzo gorąco. Odczuwa się ogromny wstręt do jedzenia czegokolwiek. Gdy wnoszą do sali obiad czy śniadanie, człowiek automatycznie nakrywa się z głową tak, żeby tego nie widzieć. Potrzebnych leków nie było. Człowiek skazany jest na śmierć. W tym polowym szpitalu pracował lekarz, Litwin pochodzenia polskiego, z wyrokiem 10 lat. Po zbadaniu powiedział, że jeżeli nie dostanie chininy, to nie przeżyje dłużej jak miesiąc. Nie jadłem nic, piłem tylko mleko. Oddawałem całe jedzenie za 100 gramów mleka. Ginałem w oczach. Lekarz przechodził sam siebie. Dbał o chorych jak matka o dzieci. Miał podobnych sobie dwóch pomocników. Gdy ktoś nie mógł jeść czy chował się z głową pod koc, to pomocnicy trzymali chorego a on pakował mu do ust, co miał najlepszego. Na Litwę dochodziły listy. Otrzymywał też listy do domu. Wszystko tylko za pozwoleniem naczelnika obozu. Dobijał się u naczelnika o leki, choć wiedział, że nie dostanie. Za to dostał pozwolenie na sprowadzenie od rodziny z Litwy chininy. Tym mnie podtrzymał na duchu i nadziei. Sam robił różne leki z ziół i korzeni. Na przykład leczył mnie i utrzymywał przy życiu zielem, tzw. czeremszą. My to nazywaliśmy dzikim czosnkiem. Jest to ziele podobne do naszej konwalii i o identycznym jak czosnek zapachu korzenia. Ratował tym dużo ludzi. Oddawaliśmy całodzienną pajkę chleba za pęczek tego ziele. Za pośrednictwem lekarza i jego rodziny na Litwie moi rodzice otrzymali jeden list ode mnie. Od rodziców także dostałem w obozie jeden jedyny list napisany po rosyjsku przez żołnierza sowieckiego, który nocował u rodziców w Białymstoku.

Przeszedł miesiąc i połowa drugiego, byłem całkowicie wycieńczony, ważyłem 36 kg. Kości widać było przez skórę. Już leki zielarskie nie skutkowały. Wstawać z łóżka nie mogłem. Traciłem świadomość i wtedy wydawało mi się, że łążyły po mnie małe ludki z widłami, wielkości pudełka zapalek i mocno kłuły, a było ich miliardy. Lekarz siedział przy mnie całymi dniami i pocieszał mnie, że jednak chinina przyjdzie i przysła. Wtedy on zwariował z radości a ja dostałem pigułkę. Po pięciu dniach kazał mi wstać z pryczy. Po dziesięciu zostałem wypisany ze szpitala. Wałęsałem się po obozie. Do kuchni nie mogłem się dostać a jeść chciało się w dwójnasób. Spuchłem z głodu, za dużo piłem wody. Zaszedłem znowu do tego lekarza. Nic na to nie może pomóc, taką samą pajkę chleba dostaje jak ja. Kazał mi nie pić w ogóle płynów i zamieniać z chętnymi na kawałek chleba lub na główkę ryby. Już chciałem żyć, przyjąłem jego radę. Nie piłem w ogóle wody ani zupy, oddawałem wszystko za chleb i solone główki ryby. To poskutkowało. Lekarz widząc poprawę, starał się wysłać mnie znowu do obozu nr 2, gospodarczego, gdzie już raz byłem. Tymczasem w okresie, kiedy ja łąziłem po obozie, druga brygada wschodnich ludzi, tj. Chińczy-

ków, Koreańczyków, Kirgizów itd. – 20-30 ludzi – pracowała przy budowie tartaku w obozie nr 11, gdzie ja budowałem tory. Z głodu zbierali różne zioła i korzenie, gotowali to i jedli. Aż trafili na nieznane rośliny, a może za dużo się najedli, jednym słowem 32 Chińczyków zmarło, został tylko brygadzysta Rosjanin, który nie chciał tego jeść, miał szczęście.

Z Chińczykami były także i inne wypadki. Dwóch z nich złapało węża, podzielili się nim po połowie i jedli prawie na żywca. Jednego z nich ukąsił jadowy wąż. Chińczyk w oczach puchł i czerniał. Jednak lekarz – Gruzin – uratował mu życie. Tacy byli Chińczycy, nie mogli wytrzymać z głodu, zbierali i jedli wszystko, nawet robaki drzewne, było tego bardzo dużo w lesie. Zbierali je w kociołki, gotowali i jedli.

Kirgizi – naród zupełnie inny, może dlatego, że dostawali paczki z domu, dzielili się nawet ze mną kielbasą robioną z żeber wielbłądzich. Ciekawy to był wyrób: całe żebro wpakowane w kiszkę i potrzymane w pewnej temperaturze jest zupełnie miękkie i całkowicie nadaje się do jedzenia. Próbowałem nawet ich osławionego kumysu. Mocno byli przywiązani do swoich tradycji. Raz w swoje święto wszyscy Kirgizi mieli przypasane do boku drewniane szable i cały dzień paradowali po obozie.

Jesienią 1947 roku zawieźli mnie, i takich jak ja słabych, do obozu gospodarczego nr 2. Znajomego naczelnika kuchni już nie było w tym obozie. Starałem się pracować wszędzie, gdzie tylko można było skombinować więcej jedzenia. Byłem w brygadzie, która zbierała z pól warzywa, jęczmień i groch. Nie wolno było jeść te surowe warzywa, ani gotować je na polu oraz zabierać do obozu. Pomimo srogich kar przy złamaniu powyższych zakazów oraz strachu przed rewizją przy wchodzeniu do obozu – mieliśmy jednak prowianty na ugotowanie sobie sytej kolacji i po kolacji. Tak, że układając się do snu nie byliśmy głodni.

Szybko dochodziłem do siebie i nabrałem takiego wyglądu, że z początkiem roku 1948 zostałem znowu wysłany do obozu nr 11, do pracy przy drewnie w ogromnych magazynach otoczonych dookoła kolczastym drutem. Na wyżkach stali uzbrojeni bojcy, ochrona. Znowu brakowało jedzenia, zaczął dokuczać nieznośny głód. W tej brygadzie zżyłem się z jednym Polakiem, byliśmy nierozłączni. Zrodziła się chęć ucieczki w świat, mimo, że wszystkim było tłumaczone, iż pod karą śmierci zabroniona jest najmniejsza chęć ucieczki. Przy wychodzeniu z obozu przed odmarszem albo przed odmarszem z pracy do obozu, bojec głośno mówił swoją modlitwę: „szag w prawo, szag w lewo, bojec strielajet bez predupieżdienia” (krok w prawo, krok w lewo, a żołnierz strzela bez uprzedzenia). Nie zastraszyła ta przestroga dwóch młodych Polaków.

Przy drodze z obozu do tartaku i składu drewna było ogromne pole ziemniaków, już zaczęły kwitnąć. Było to w środku czerwca. Powinny już być bulwy, okazja by nie być głodnym w drodze. Umawiamy się z kolegą, że po zjedzeniu obiadu ja pierwszy wyłażę czołgając się w wysokiej trawie pod drutami i maszeruję do kartofli. Po drodze zbieram dużo grzybów i czerwieniejących się porzeczek. Jem to wszystko na surowo nie dbając o to, że mogę się otruć. Z dala widzę już pole kwitnących ziemniaków. Mam nakopać ręcznie dwie torby i czekać na kolegę w lesie, w pobliżu pola. Nie doszedłem do pola, słyszę dwa wystrzały karabinowe. Znak, że uciekł więzień. Mojego kolegi nie ma. Zatrzy-

małem się, usiadłem za krzakiem i czekam na niego. Powinien już być. Po kilku minutach drugie dwa wystrzały, potem z innej strony znowu dwa. Doszedłem do wniosku, że mojemu koledze nie udało się manewr ucieczki z tartaku. Przyszła mi do głowy myśl, żeby wracać do składu. Samemu w takiej drodze nie ma żadnych szans na pomyślność. W pośpiechu maszeruję z powrotem do tartaku, boję się zabłądzić. Po drodze mały strumyk, ledwo przez niego przekaraskałem się. Z daleka z lasu widzę wyzkę i bojca, ale po drodze jeszcze trafiłem na krzak porzeczek. Obrałem do czysta, mam pełne kieszenie. Teraz trzeba przedostać się pod kolczastym drutem na teren tartaku. Jeżeli zobaczy bojec, to jestem zabity. Udaje się i ta sztuka, jakby pod opieką Bożą, już jestem w stertach desek. Na placu tartaku całkowita cisza, nic się nie dzieje. Oczyszczyłem trochę z błota ubranie i idę do miejsca pracy brygady. Widzę całą brygadę, siedzi w kupie na ziemi, jest i mój kolega. Dwóch bojców stoi ze skierowanymi w ludzi automatami. Zobaczyli mnie. Nikt nie pisze słowa. Bojec kieruje we mnie broń i każe siadać z daleka od brygady i nie pisać ani słowa. Woła dwóch idących oficerów z psem, dużym wilczurem. Wskazując na mnie mówi, że przyszedł uciekinier. Podchodzą do mnie, legitymują i pytają, gdzie byłem. Nie wiedziałem co mówić, ale kłamię, że zasnąłem w stertach desek. Jeden z pytających wyciąga pistolet i mówi, że jak nie powiem prawdy i nie pokażę, którądy uciekałem, to zaraz mnie zastrzeli i pokazuje na ubranie całe w błocie i pełną kieszeń porzeczek. Pokazałem, którądy wylazłem pod płótem drucianym i powiedziałem, że chodziłem na porzeczeki. Zapytał o moją narodowość, powiedziałem Polak. Zaprowadził mnie do brygady i przy nich mówi, że mnie zastrzeli i kieruje pistolet w głowę. Ale trzasnął tylko pistoletem w policzek, że upadłem na ziemię i mówi: „żeby nie Polak, to by był zabity”, ale puścił na mnie psa a on robił ze mną co chciał. Nie było kawałka ubrania całego, wszystko w strzępy, ale nie ugryzł ani razu. Do obozu szedłem pięć metrów za brygadą. Dostałem za to jeden dzień karceru, 30 dkg chleba i pół litra zupy na cały dzień i w ogóle nie wypuszczano mnie poza obóz. Za karę musiałem palić duże ognisko w nocy dla oświetlenia obozu, gdyż nie było światła elektrycznego. Za tę pracę otrzymałem lepsze odżywianie. Takich ognisk palono cztery, przy zadrutowanym czterometrowym płocie pomiędzy wyzkami ochrony, bojców. Nas palących takie ogniska było czterech, w dzień musieliśmy przygotować na ogniska drzewo, które w nocy było spalane. Do kuchni każdego dnia prowadził dyżurny żołnierz i osobiście pilnował, żeby nas czterech dobrze karmili.

Niedługo trwała dobra karmioszka. Po miesiącu w nocy padał ogromny deszcz, a od ogniska odejść nie wolno. Bez przerwy trzeba było pilnować ogniska żeby nie zgasty. Sołdaty darli się bez przerwy, że źle się pali. Nad ranem przestało padać, ja byłem cały mokry i całkowicie wykończony. Położyłem się koło ogniska i natychmiast zasnąłem. Nie zbudziły mnie nawet krzyki z wyzki, że zgasł ogień. Zbudził mnie żołdat, gdy prowadzili nas do kuchni. Było już ze mną źle, zachorowałem na zapalenie płuc. Znowu półtora miesiąca w polowym szpitalu. Po wyjściu ze szpitala przeprowadzono nas do obozu nr 7, do brygady drwali. Na współnika dano mi Rumuna, był zdrowszy ode mnie i silniejszy, umiał już piłować las. Było mi z nim dobrze, pokumaliśmy się od razu.

Była druga połowa 1948 roku. Z drwałami obchodzono się dużo lepiej. Dano nam nowe letnie ubrania, koszule, buty sznurowane i onuce. Oddzielne pomieszczenie dla każdej brygady, pojedyncze żelazne łóżka, poduszkę i mate-

rac wypchany słomą oraz –o dziwo – kołdry watowe. Nikt nie wierzył swoim oczom. Brygadzystą był dość energiczny Rosjanin, wyrok z artykułu 58, 25 lat robót. Osiem lat już odpracował. O sobie nic nie mówił. Przy podziale lasu do wyrębu otrzymywał zawsze najlepszą działkę dla naszej brygady. Robota była ciężka, ale uważano nas za solidnych ludzi i osobiście lżej znosiło się przygnębienie. Były nawet premie, kto więcej zwałił drzewa i oczyścił je z gałęzi, otrzymywał więcej chleba, zupy i na drugie danie kaszy, albo zapiekankę z ziemniaków, a nieraz głowę dorsza albo naparstek oleju.

Nadchodzi zima 1948 roku. Otrzymaliśmy ciepłe ubrania, tj. watowe spodnie i marynarkę oraz watowane półpalto i wołoki bite, bardzo ciepłe i twarde. Otrzymaliśmy japońskie ciepłe czapki i rękawice ze specjalnych materiałów. W takim ubraniu nie straszna była zima z mrozem dochodzącym do 42 stopni poniżej zera. Zima zapowiadała się bardzo ostra. Z początkiem października nadzwyczajna pogoda, silne wiatry, błyskawice i grzmoty, potem zawieje śnieżne, nie widać przez dwa tygodnie świata. Do pracy nie chodzimy. Do kuchni z baraków chodzono trzymając się liny specjalnie do tego założonej. Baraki były całe zasypane śniegiem. Po dwóch tygodniach burza ucichła tylko mróz trzeszczał tak, że wypluta ślina zamarała nie dolatując do śniegu. Czterometrowej wysokości ogrodzenie całkowicie zasypało, nie było w ogóle widać obozu. Rzucono wszystkim, bez wyjątku – kto tylko mógł chodzić – do odśnieżania.

Na drugi dzień pognano nas do roboty w lesie. Przed nami ocean śniegu, nic nie widać tylko biel, aż oczy boją. Prowadzi z przodu bojec, który musi znać dokładnie drogę, gdyż zboczenie o metr w jedną albo w drugą stronę powoduje zapadanie się po szyję w śnieg. My rzędem, stopa w stopę, idziemy za nim. Przed pierwszym bojcem około 50 metrów jadą sybirskie sanie, ciągnięte przez sybirskiego małego konika. Teraz tylko on jeden zna drogę, on się nie pomyli, tylko on jeden jest nieomylny. W lesie najpierw trzeba oczyścić dostęp naokoło drzew i tak codziennie.

Jednego razu w niedalekiej odległości od naszego miejsca pracy skacze po śniegu ogromny baran. Zobaczył go nasz mierniczy. Z brygadzystą poszli do bojca z propozycją, żeby go zastrzelił, za to we dwu otrzymają część baraniny. Nie zgodził się na to, ale dał mierniczemu karabin i pozwolił zastrzelić, ale tylko za jednym strzałem, gdyż wystrzał drugi będzie oznaczał sygnał alarmu w obozie. Baran poskakał dalej. Około 30 metrów za nim maszeruje po pas w śniegu mierniczy. W niedługim czasie strzał i tylko jeden. Niebawem – jeden raz w czasie pobytu w obozach ZSRR dostaliśmy wszyscy z brygady po kawałku baraniny, a drugą połowę brali sobie dwaj bojcy. Po kilku dniach w brygadzie rozeszła się wiadomość, że ten baran nie był dziki. Przez całą zimę w naszym pomieszczeniu żyła wiewiórka. Z nikim nie chciała jeść, jadła tylko z brygadzystą. Przepracowaliśmy tak całą zimę – do pracy w lesie i z powrotem, zawsze z dużym kłosem drzewa do ogrzewania baraku. Tak było do 1 maja 1949 roku.

Przyjechała komisja wojskowa do kontroli obozu. Obóz był specjalnie przygotowany do tych odwiedzin. W powietrzu czuło się inny powiew wiatru. Zebrano wszystkich ludzi z obozu na plac. Komisja pytała o warunki bytowe i odnoszenie się ochrony obozowej do ludzi, itd. Ze strony obozowiczów było dużo różnych pytań i żądań, na przykład, dlaczego jesteśmy poznaczeni numerami? Dlaczego na wyżkach – gniazdach ochrony – ustawiono broń maszyno-

wą? Dlaczego chodziliśmy i chodzimy do pracy pod opieką żołdatów uzbrojonych w broń maszynową? Itd., itd.

Po skończeniu obustronnych pytań i odpowiedzi, komisja wyciągnęła gazetę i czytała nam wyjątkowy artykuł: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej oskarżają ZSRR o trzymanie w obozach i więzieniach 30 milionów więźniów politycznych różnych narodowości przywiezionych w czasie wojny. Ameryka żąda zwolnienia natychmiast wszystkich obcokrajowców – wojna już dawno się skończyła. ZSRR odpowiada: w Związku Radzieckim nie było, nie ma i nie będzie ani jednego więźnia. Mamy tylko ludzi pracujących w tak zwanych obozach „Trud-Armii”, którzy w swoim czasie zostaną zwolnieni do domów. Był to oszczerczy, kłamliwy wybieg ZSRR, gdyż ludzie, nawet już zwolnieni, byli wywożeni do obozów nad Jenisej w północnej Syberii, gdzie otrzymywali przepustkę wolnego poruszania się w danym obrębie.

Komisja odjechała do innych obozów z tą samą kłamliwą wiadomością, a u nas zaczął wiać jakiś niezrozumiały zły wiatr. W brygadzie drwali zaczął się okres nieszczęść i wypadków przy pracy. Przy układaniu oczyszczonego drzewa w sztable, kłoda ta przetoczyło się przez człowieka i zmiażdżyło go całkowicie. Mój współpracownik, Rumun, po zwałeniu ze mną drzewa wyprostowuje się dla złapania oddechu i w tym momencie spada mu na głowę ogromny sęk. Zabrano go do szpitala i już go więcej nie widziałem. Po kilku dniach, po zwałeniu drzewa przeze mnie i pomocnika tniemy je na części. W pobliżu nas stoi bojec, nasza ochrona. Krzyczy do nas, żebyśmy uciekali, drugie spiłowane drzewo trzymające się na innym, wali się na nas, nie zdążyliśmy nawet krzyknąć ani się ruszyć. Mieliśmy jeszcze wielkie szczęście, złamały mi się tylko cztery żebra, kolega wyszedł z tego cało. Po czterech tygodniach wróciłem znowu do brygady. W tym czy innym dniu, nie pamiętam, drwal z naszej brygady przepiłowuje sobie do połowy kolano piłą elektryczną. W kilka miesięcy z całej zaprzyjaźnionej brygady pozostało tylko czterech z trzydziestu jeden drwali. Reszta to nowi, nieznani, świeżo przywiezieni.

Po kilku dniach znowu zaczynam pracę, Dają mi pomocnika do walenia drzewa we dwójkę. Robota nie idzie, nie chce pracować w ogóle, jest Koreańczykiem, nie chce rozmawiać po rosyjsku. W jakiś tam sposób domówiliśmy się, że nie jestem Rosjaninem a tylko żołnierzem Polakiem. Przeniósł natychmiast swoje łóżko i ustawił obok mnie. Przyprowadzał do naszego baraku dwóch Japończyków z innej brygady; jeden z nich dobrze rozmawiał po rosyjsku. Japończycy przychodzili do nas, a ja z Koreańczykiem chodziłem do nich. Uczyliśmy się rozmawiać obopólnie, jeszcze przy pomocy rąk i palców, szło nam zupełnie dobrze.

Zachorował nasz brygadzysta. Dano nam młodego Ukraińca. Dostawał paczki z domu. Atmosfera w brygadzie zmieniła się. Zmienili też mojego pomocnika, został nim Polak, Białorusinin i Ukrainiec w jednej osobie, ale pracować z nim było dobrze. Dano nam piły elektryczne. Wzięliśmy piły i operator prądniczy miał nam pokazać pracę maszyny. Włączył aparat i – krzyk – ja ogromną siłą zostałem rzucony na ziemię, nie wiedziałem co się ze mną dzieje i z innymi pilszczykami. Po pewnym czasie dwóch z brygady wzięło mnie pod rękę i prowadzili przed brygadą do obozu. Leżałem trzy dni w połowym szpitalu. Wróciłem chyba do normalnego życia. Pracować tą piłą elektryczną, było dużo łatwiej aniżeli zwykłą piłą.

Nasza brygada tylko waliła las. Daleko za nami szła brygada Ukrainek. Oczyszczała drzewa z gałęzi i sęków oraz paliła to w ogniskach. Trzeba było zwalić około 10 m<sup>3</sup> na dwóch. Liczy się drzewo zwalone, z obcięzonymi i spalonymi gałęziami i pocięte na odpowiednią długość. Kto przekroczył normę 10 m<sup>3</sup> otrzymywał 80 dkg chleba, więcej zupy i kartoflaną zapiekankę albo po 20-50 gramów kaszy owsianej!

Ja byłem odpowiedzialny za piłę i pomocnika. Pomimo wszelakich przykazań bhp przez naczelnika obozu, złe fatum ciągnęło się za naszą brygadą. Z pozostałej naszej zaprzyjaźnionej czwórki ze starej brygady pozostałem sam – na krótko. Otrzymałem zadanie ścięcia czterech wielkich i grubych drzew, w tym jedną sosnę, bardzo rozłożystą. Trzy sztuki leżą na ziemię bardzo ładnie, jak z płotka. Usiedliśmy z pomocnikiem w pobliżu tej staruchy i patrząc na nią mówię do niego, że nie chce mi się ogromnie iść do cięcia, ale trudno – przykład. Przykładamy się do cięcia i więcej nic nie pamiętam, świat dla mnie zaginął.

Pierwszy przebłysk czucia i bólu miałem, gdy mnie dwóch ludzi wynosiło z wagonu i gdy nieśli na noszach po torze kolejowym. Drugi ogromny ból poczułem na stole operacyjnym, gdy wiercono i wyłamywano kości w głowie. Cały czas czułem straszny ból, momentami nie do wytrzymania. Czułem całą operację i każde uklucie igły, gdy zszywano ranę. Darłem się w niebogłosy przeklinając pielęgniarkę i lekarza najwybredniejszymi epitetami rosyjskimi; ręce, nogi i głowę miałem przywiązane pasami do stołu. Operował lekarz chirurg narodowości rumuńskiej – artykuł 58, wyrok 25 lat – i pielęgniarka Ukrainka – artykuł 58, wyrok 10 lat. To cała obsługa lekarska w obozie nr 2.

Z początku wiedziałem tylko, że mogę jęczeć i krzyczeć z bólu; wtedy przychodzili pielęgniarka i lekarz. Po kilku dniach bóle prawie ustały, ale jest mi całkowicie źle. Jestem sparaliżowany, prawa strona od góry do dołu całkowicie sparaliżowana, lewa częściowo niewładna. Nie wiem, co się ze mną stało, prawie nic nie słyszę i nie mówię. Bełkoczę tylko niektóre słowa, ale nikt nie rozumie. Dwóch młodych chłopców, Polaków z Lidy – Stanisław Głowacz i Władek Sieńko – opiekowało się mną, karmiło przez pół roku. Wraz z lekarzem i pielęgniarką nauczyli mnie mówić, czytać, pisać i trochę pracować. Paraliż ustępował. Już rękami mogłem jeść, ale rana na głowie goiła się jeszcze długo. Po dwóch czy trzech miesiącach przywieziono chorego z tego obozu, gdzie ja uległem wypadkowi. Opowiedział mi cały przebieg mojego wypadku, a było tak: sąsiedni drwale spiłowali duże drzewo, które padając złamało mniejsze i właśnie to mnie dosięgło. Pomocnikowi nie ruszyło włosa na głowie.

Od tej pory zaczęła mi wracać powoli pamięć, mowa i słaby słuch w jednym uchu. Około pół roku lekarz i pielęgniarka męczyli się i zrobili ze mnie jeszcze człowieka. Niezupełnie wartościowego, bo na prawe ucho do dziś nie słyszę, i z pamięcią i z głową nie było nigdy dobrze i nadal nie jest. Po zwolnieniu ze szpitala posłano mnie do drugiego budynku (gdzie też leżeli chorzy) za pomocnika gospodarczego. Kierownikiem był Polak, nazwiskiem Zieliński (imienia nie pamiętam). Miał bezwładną całą prawą rękę od ramienia. Aresztowany i wywieziony za to, że był policjantem w Polsce, wyrok 15 lat. Ciągłe upominał i tłumaczył mi, żebym się nie śmiał, gdyż twarz moja zawsze jest pokręcona jak u prawdziwego wariata, pomimo że w obozie nie wiedziałem, co to jest śmiech. Nawet zrobił mi specjalną maskę po to, żeby w rozmowie nie wy-

kręcała się twarz. Dużo rozmawiał i ciągnął mnie za język po to, żebym przypomniał sobie ludzką mowę. Było mi z nim dobrze, porównując obozowe życie, będąc kaleką. W baraku inwalidów widziałem tylu, ludzi tak pokręconych, pokaleczonych, bez nóg, bez rąk, że opisać nie umiem. Tu spotkałem też Japończyka, był po operacji jelit, niewielka część mu została. Otrzymywał inne jedzenie, takie, żeby nie wytwarzało gazów. Był aresztowany za szpiegostwo, miał około 50 lat. Mówił dobrze po rosyjsku. Był cały wytatuowany. Od szyi do pięt, na plecach miał wytatuowanego węża, mówił, że to za ostatnią wpadkę. Twierdził, że jeśli wróci do domu – był tego pewny – to wyzdrowieje i będzie miał całe jelita. Wierzył w to.

Ludzi wywiezionych z krajów na zachód od Moskwy, gdzie tylko noga bolszewicka przeszła w czasie wojny, było bardzo dużo. Najwięcej chyba Polaków i Ukraińców. Najgorsze stosunki Polaków były też z nimi. Z innymi, jak Litwini, Łotysze, Estończycy, Rumuni, Czesi, to można było żyć a nawet zaprzyjaźnić się. W ogóle Polacy byli najgorzej traktowani przez władze obozowe. Nie mieli prawa otrzymywać paczek i najważniejsze – nie mieli już nigdy wrócić do domu, do Polski, choć mieli wyroki terminowe. Ulżyło trochę w roku 1948-49, gdy z Zachodu docierały pocieszające wiadomości, a zrobiło się dużo lepiej, gdy umarł Stalin.

W roku 1950 wywieziono mnie z Syberii do Kazachstanu. Obwód Karaganda. W niedalekiej od siebie odległości były dwa obozy – nr 4 i nr 5. zbudowane w ziemi. Tu spotkałem bardzo dużo Polaków z całej Polski, z różnych organizacji i z różnych powodów przywiezionych na katorgę tylko dlatego, że mówili po polsku i byli prawdziwymi żołnierzami i patriotami swojej ojczyzny Polski. Wrogowie tak z jednej strony, jak i z drugiej nie mogli przeżyć tego, że Polska jest wolna a ludzie nie są niewolnikami. Wpajano w swoich państwach swoim narodom nienawiść, zazdrość i zdradę przeciw Polsce. A wodzowie (pomimo, że politycznie byli śmiertelnymi wrogami) podali sobie łapy, wyciągnięte jak szpony, żeby tymi krogulcami wymordować w najokrutniejszy sposób Polaków. Naród sprawiedliwy, mężny, pracowity, spokojny, nie chciwy, nie czyhający na cudze bogactwa. Nie udało się naszym katom wykreślić Polski z mapy, pomimo, że jeszcze do tej pory stalinowskie hordy niszczą najlepszych synów Ojczyzny. Rosnie już nowe pokolenie Polaków, u których odezwała się już polska krew i chęć prawdziwej wolności i sprawiedliwości.

W kazachstańskich obozach kilka tygodni nas ganiano do pracy, ale nieco lepsze było jedzenie. Polacy zbierali się małymi grupkami i starali się poznać i zaprzyjaźnić. Wszyscy byli swojakami, lgnęli jeden do drugiego. Śpiewano dużo piosenek. W niedziele i święta zbierano się w większe grupy i śpiewano pobożne piosenki. Byli z nami też księża, Polacy i Litwini. Z Litwy dostawali paczki, w których były nieraz opłatki świąteczne i do komunii. Porobiono brygady pracy, pomieszano znowu różne narodowości w jednej brygadzie i pognano do pracy. Przeważnie do budujących się kopalni węgla kamiennego i ogromnych fabryk do przerobu tego węgla. Pokłady węgla były już na czterdziestu metrach głębokości. Ja, mechanik i spawacz, przydzielony zostałem do brygady mechanicznej pracującej przy budowie ogromnej fabryki przerobu węgla kamiennego. W brygadzie była większa ilość Ukraińców. Do Polaków byli nieprzychylni. Zacząłem pracować w charakterze spawacza. Otrzymywałem lepsze



odżywienie, do tego codziennie naparstek oleju. Nie podobało się to Ukraińcom, wygryźli mnie z tej pracy, musiałem z niej podejść, bałem się ich. Skierowano mnie do pracy przy przeprowadzaniu wodnych instalacji. Ciężka to była praca, najgorzej w zimie przy kopaniu kanałów. Zachorowałem na płuca. W obozie tym pracowali lekarze z wolnej ręki. Wożono mnie na prześwietlenie płuc do Karagandy. Po miesiącu byłem zdrow.

Przeniesiono mnie do polskiej brygady pracującej w kopalni węgla. Najpierw byłem murarzem, następnie elektrykiem na dole oraz operatorem pomp wodnych i ostatnia praca to operator sprężarek w maszynowni na górze. W brygadzie żyliśmy jak bracia. Uważani byliśmy za najlepszą brygadę w kopalni i wyróżniani w kuchni. Pomagaliśmy nawet polskim brygadam, które pracowały w gorszych warunkach i za słabe odżywianie. W naszej brygadzie pracowaliśmy na trzy zmiany po 8 godzin. Obsługiwaliśmy całą mechanizację kopalni. Dużo było w kopalni wypadków. W naszej brygadzie nie. Majster nasz był z wolnej stopy, dobry fachowiec i solidny człowiek, brygadzysta – Polak rodem z Wołkowyska, nazwiska nie pamiętam, sądzony jak wszyscy, wyrok z artykułu 58 i 10 lat przymusowej pracy. Cała budowa kopalni była w rękach polskich specjalistów (mechanik, spawacz, elektryk, operator itd.). Był też jeden Ukraińiec, solidny chłop, zmontował nam radio, mieliśmy wiadomości, ale po paru miesiącach zabrano je nam a elektryk posiedział w karcerze.

W końcu 1953 roku we wrześniu czy październiku była ostatnia moja praca w ZSRR. Zawołano mnie do komendanta obozu. Otrzymuję wiadomość, że pojedę do Polski. Mam zdać stare ubranie i pobrać nowe. Mam czekać na samochód w jego gabinecie. Nie wchodzić do baraków. Pozwolił tylko wziąć z baraku kuferek wojskowy. Przy tym miałem okazję pożegnać się ze swoimi ludźmi z brygady, którzy byli w tym czasie w baraku. Z całego obozu wzięto tylko cztery osoby. Z Polaków tylko ja jeden. Po drodze zbierano z innych obozów. Nim nabierano cały ciężarowy samochód to przeszedł tydzień. Zawieziono nas do zbiorczego obozu (miejsowości nie pamiętam, było to około 400 km na północ od Moskwy). W nim już było dużo ludzi różnych narodowości ale tylko z zachodu Europy. Wszyscy rozmieszczeni w innych barakach i oddzielni drutem kolczastym. Przejścia były, ale tylko małą bramką. Tak samo kobiety, tylko że do nich były zamknięte bramki na zamek. Siedzieliśmy w tym obozie około trzech miesięcy. Ciągłe dowożono zwolnionych z różnych stron ZSRR. Naprzykrzyło się wszystkim beczynnie siedzieć i czekać na niewiadome jutro. Różne dochodziły wiadomości i niepewności, były nawet takie, że Polska nie chce nas przyjąć. W okresie pobytu w tym obozie dwa razy wybuchały wojny pomiędzy Czechosłowakami i Polakami. Wyglądało to bardzo groźnie. Wartownicy strzegący obozu zaczęli strzelać z broni maszynowej, tylko że nie do ludzi a dla rozpędzenia walczących. Zawsze na drugi dzień po takiej wojnie przychodziła delegacja z jednej i drugiej strony podpisywać rozejm.

Z początkiem stycznia 1954 roku oznajmiono wszystkim, że odjeżdżamy do domu. Kazano zostawić albo wymienić wszystkie wartościowe rzeczy i ruble gdyż na granicy wszystko zostanie zabrane przez straż graniczną. Podstawiono za kilka dni wagony towarowe przygotowane do przewozu ludzi, nawet deski do spania były wysłane słomą. Nie było na zewnątrz wagonów wartowników z bronią. Dano tylko jednego żołnierza w stopniu oficerskim do środka wagonu

do utrzymania porządku i obsługi ludzi. Załadowano wszystkich z obozu i nie zamykano od zewnątrz wagonów.

Przyjechaliśmy do granicy polsko-radzieckiej. Przyjęli nas żołnierze polscy. Po sprawdzeniu dokumentów pojedynczo, pieszo przekroczyliśmy granicę, gdzie czekały na nas autobusy. Dano nam na drogę po paczce prowiantu i ruszyliśmy już po polskich drogach. Za nami jechał jednak autobus wojskowy z uzbrojonymi żołnierzami. Przywieziono nas do więzienia w Tomaszowie Lubelskim. Tam po sprawdzaniu dokumentów i tożsamości otrzymałem Świadcstwo Zwolnienia Więźnia i z tym dokumentem w końcu stycznia 1954 roku wróciłem do domu.



---

## KRONIKA

### • REPRESJE NAUCZYCIELSKIEJ RODZINY ŻEREBECKICH

Obok oficerów, policjantów, osadników wojskowych, księży, ziemiaństwa, nauczyciele byli tą grupą, którą wkraczający do Polski we wrześniu 1939 r. bolszewicy starali się zniszczyć, tak by pozbawiony siły przywódczej naród polski o tak silnych tradycjach historycznych, niepodległościowych, wybitnym indywidualizmie oraz przeciwmaterialistycznej postawie w wierzeniach religijnych i poglądach na świat, łatwo poddał się indoktrynacji sowieckiej i nie organizował ruchu oporu. Przykład losów nauczycielskiej rodziny Żerebeckich nie należy do osobnionych, jest odbiciem dramatycznych losów narodu polskiego.

\*

**Czesław Antoni Żerebecki** – ur. 25.05.1897 r. w Sieniawie, pow. Jarosław, s. Jana i Florentyny z d. Łańcucka. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Tarnopolu. W 1919 r., będąc w Wojsku Polskim, został ranny pod Lwowem. Po przebytej operacji lewej ręki, jako inwalida wojenny z 35% utratą zdrowia, wyjechał na Wołyń. 16.09.1919 r. został mianowany przez Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich na nauczyciela 4-oddziałowej Szkoły Polskiej w Małej Głuszy, pow. kowelski, woj. wołyńskie. 1.08.1920 r. w związku z przesuwającą się linią frontu, władze powiatu kowelskiego zostały ewakuowane do Łęczycy, a nauczyciele czasowo odwołani z pełnienia obowiązków.

Późną jesienią, po zakończeniu działań wojennych, Czesława Żerebeckiego skierowano do szkoły w Chobotach, jako nauczyciela kierującego, a od 1921 r. mianowano go na nauczyciela szkoły z językiem wykładowym małopolskim do Radoszyna. 1.09.1923 r. został przeniesiony na własną prośbę do 7-klasowej Szkoły Powszechnej w Hołobach, gm. Hołoby, pow. kowelski. 1.09.1929 r. w drodze konkursu otrzymał stanowisko nauczyciela 7-klasowej Publicznej Szkoły Powszechnej nr 2 w Łucku. W tym samym czasie przyznano mu roczny płatny urlop, dzięki czemu ukończył Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski w Warszawie z zakresu przedmiotów humanistycznych. Dnia 23.09.1930 r. został zaprzysiężony na stałego nauczyciela. Od 31.08.1930 r. był nauczycielem 7-klasowej Szkoły Powszechnej w Torczyniu, pow. łucki, woj. wołyńskie, równocześnie pełnił funkcję zastępcy kierownika. Uczył przede wszystkim w starszych klasach języka polskiego, historii i śpiewu. Prowadził chór szkolny i bibliotekę

uczniowską. Działał społecznie (Kasa Stefczyka, Samoobrona Narodu, Oświata dla Dorosłych). Był odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Aresztowany w październiku 1939 r. przez NKWD podczas prowadzenia zajęć w szkole. Osadzony w więzieniu w Łucku, a po kilkunastu miesiącach ciężko chory, wyniesiony z celi na noszach, został deportowany w okolice Swierdłowska na Uralu. Jako inwalida z niesprawną ręką, pracował tam w laboratorium (wydobywał bliżej nieokreśloną substancję z igieł sosny). „Amnestionowany” po zawarciu umowy znanej pod nazwą Sikorski-Majski z dnia 30 lipca 1941 r., wyruszył do Kazachstanu w poszukiwaniu wywiezionej tam żony Ireny (również nauczycielki z Torczyna). Pomógł mu w tym starszy brat Zdzisław Żerebecki, dyrektor Gimnazjum A. Mickiewicza i J. Słowackiego w Wilnie, który również został aresztowany przez NKWD w 1940 r. i deportowany w okolice Archangielska, a w 1941 r. po „amnestii” powołany przez Ambasadę Polską w Moskwie na delegata tejże Ambasady z siedzibą w Buzułuku na terenie obwodu orenburskiego

Dzięki niemu, Czesław wraz z żoną Ireną opuścili Związek Sowiecki wraz z Armią Polską pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Irena uczyła dzieci polskie m.in. w szkole polskiej w Valivade (Indie), zaś Czesław został wcielony do wojska z którym przemierzył cały szlak bojowy na Zachodzie, aż do rozwiązania Armii Polskiej w Anglii. Tam pozostał osiedlając się w Melton Mawbray dokąd z Nowej Zelandii przyjechała jego żona. W Melton małżonkowie przebywali do końca swoich dni. Czesław Żerebecki zmarł 28.11.1963 r. Ciało Czesława i prochy Ireny spoczywają we wspólnej mogile na cmentarzu w Melton

\*

Oto jak Czesław Żerebecki zapisał się w pamięci siostrzenicy **Ireny Kuksy-Zmijewskiej z d. Korszowska**:

Czesław Żerebecki, brat mojej mamy Witosławy Korszowskiej był człowiekiem pełnym dobroci, tolerancji i wyrozumiałości. Lubiany był przez szkolne dzieci, a dla mnie stanowił wzór doskonałości. Uwielbiałam swojego wujka za Jego piękny śpiew, za dobroć, uczciwość i czułość jaką zawsze mi okazywał. Ludzie prości często mówili, że pan Żerebecki powinien zostać księdzem, bo pięknie śpiewa i przemawia. Istotnie miał dar wymowy, bardzo często przemawiał na wszelkiego rodzaju uroczystościach państwowych i nie tylko. Był dobrym Polakiem – patriotą, za co też został aresztowany przeżywając gehennę sowiecką.

W 1975 r. kiedy zaistniała możliwość jeżdżenia na Zachód, byłam przez tydzień gościem wujenki Ireny w Melton Mawbray. Mojego wujaszka Czesława odwiedziłam już tylko na cmentarzu. Ze ściśniętym sercem i łzami w oczach patrzyłam na Jego mogiłę żalując bardzo, że nie dane mi było zobaczyć Go żywego. Tyle mielibyśmy sobie do opowiedzenia. Powspominalibyśmy dawne torczyńskie czasy – lata mego dzieciństwa. Mój wujek nie tylko nauczył mnie pisać i czytać po polsku, w pieśni nauczył mnie myśleć oraz czuć po polsku. Zawsze będzie mi Go brak.

A tak wspominają swego nauczyciela Czesława Żerebeckiego, jego były uczennice (fragmenty listów).

**Halina Mierzejewska z d. Czarnecka:**

Z wyróżniających się nauczycieli, serdecznie i ciepło wspominam pana Czesława Żerebeckiego, którego losy zetknęły mnie później w dramatycznych okolicznościach. Mianowicie byłam zesłana nota bene z żoną pana Czesława do Lebiaży nad Irtyszem w Kazachstanie. Po amnestii w 1941 r. „łagierników” wypuszczano z więzień, a ci szukali swoich rodzin wywiezionych. Pewnego dnia, witając nad brzegiem rzeki statek kursujący po Irtyszu, spotkałam wysiadającego zeń pana Czesława – człowieka widmo, opuchniętego z głodu, ubranego w łachmany rojące się od insektów, w butach z opony przywiązanej sznurkiem do stopy, ale ciągle w nim widziałam pogodnego, schludnego i zadbanego pana z mojej szkoły w Torczynie.

**Zofia Grynowiecka z d. Pawłowska:**

Bardzo mile wspominam szkołę i ulubionego nauczyciela, pana Czesława Żerebeckiego. To był naprawdę wspaniały nauczyciel. Na każdą lekcję historii przynosił reprodukcje dzieł historycznych Matejki, Grottgera, Kossaka ... – i historia w Jego wykonaniu była najciekawszym przedmiotem. Uwielbiałam też lekcje śpiewu. Pan Czesław przyjął mnie do chóru, nie mówiąc o piątce ze śpiewu. Prowadząc bibliotekę, sprawdzał czy uczeń przeczytał pożyczoną książkę, nim dał następną.

**Irena Justyna z d. Bąkówna:**

Pan Czesław Żerebecki był uwielbiany przez nas wszystkich. Przemiliły to był człowiek, uosobienie dobroci. Taka zawsze cisza była na Jego lekcjach, tak je cudownie prowadził, że godzina zleciała niewidomo kiedy. Cudownie śpiewał. Śpiewał również na chórze w kościele. Wszystkie podkochiwałyśmy się w panu Czesławie. Panią Irenę – żonę pana Czesława też pamiętam. Była przystojna, elegancka – uczyła gimnastyki.

**Mirosława Myślińska z d. Kwiatkowska:**

Języka polskiego uczył pan Żerebecki, który miał niemały kłopot w nauczaniu dzieci poprawnej polszczyzny, ponieważ do szkoły uczęszczały dzieci różnych narodowości, które w domach rodzinnych mówiły „po swojemu”, ale pan Czesław doskonale sobie z tym radził i nauczył ich jak należy. Dzieci lubiły lekcje języka polskiego i pana Żerebeckiego. Żona pana Czesława była również dobrym pedagogiem, ale skąpa w stawianiu dobrych ocen.

**Irena Tchórzewska z d. Hilerówka:**

Najbardziej pamiętam z Torczyna kierownika szkoły pana P. Korszowskiego i wspominam Go ze szczególną wdzięcznością, za pomoc w dostaniu się do gimnazjum, a następnie państwa Irenę i Czesława Żerebeckich. Ona prowadziła gimnastykę dla dziewcząt. On uczył historii, języka polskiego i śpiewu. Był człowiekiem bardzo miłym i sympatycznym.

\*

**Irena (Jadwiga) Żerebecka** (z d. Kozerska) – ur. w 1906 r. w majątku Żmerinka na Podolu. Do Polski przedostała się w latach 20-tych XX w. wraz z matką i rodzeństwem przez tzw. „zieloną granicę” nielegalnie. Pracę nauczycielską rozpoczęła 1.09.1925 r. w Moskalówce koło Krzemieńca na Wołyniu.

Od 1.11.1925 r. do rozpoczęcia II wojny światowej w 1939 r. była nauczycielką 7-klasowej Szkoły Powszechnej w Torczynie, pow. łucki, woj. wołyńskie. Nauczała w młodszych i starszych klasach gimnastyki. Prowadziła w szkole żeńską drużynę harcerską oraz kółko amatorsko-literackie. W 1933 r. została mianowana na stałego nauczyciela, po zdaniu egzaminu przed Komisją Klasyfikacyjną. Ukończyła też Kurs Opiekunek Gromad Zuchowych i Kurs Wychowania Fizycznego. Po aresztowaniu męża Czesława ona również została deportowana 20.04.1940 r. do Kazachstanu, obw. pawłodarski, rej. lebiażeński. „Amnestionowana” po zawarciu umowy znanej pod nazwą: Sikorski-Majski w 1941 r. Wraz z Armią Polską pod dowództwem gen. Władysława Andersa ewakuowana do Iranu (Persja), gdzie była nauczycielką w szkole powszechnej w Isfahanie. W początkowej fazie istnienia Zakładu nr 1 w Isfahanie pełniła funkcję kierownika do spraw administracyjnych i szkolnych. Członek zarządu Zrzeszenia Nauczycieli Polaków w Isfahanie, które powstało jesienią 1943 r. Następnie ewakuowana do Indii, gdzie była nauczycielką w szkole powszechnej w polskim osiedlu stałym dla uchodźców w Valivade-Kolhapur. W 1944 r. przybyła do Nowej Zelandii, gdzie w obozie dla dzieci polskich w Pahiatua pełniła funkcję kierowniczkę w szkole żeńskiej. Później przybyła do Anglii do męża, który osiadł w Malton Mawbray. Zmarła 13.11.1992 r. Spoczywa wraz z mężem na cmentarzu w Melton Mawbray.

**Zdzisław Żerebecki** – ur. 1.01.1896 r. w Sieniawie, pow. Jarosław, woj. łwowskie. Studiował na UJK. W 1927 r. złożył egzamin pedagogiczny. W 1931 r. został odznaczony Medalem Niepodległości za pracę w dziele odzyskania niepodległości. Do 1933 r. był nauczycielem matematyki w Tarnopolu, a od 1933 r. do wybuchu II wojny światowej dyrektorem Gimnazjum i Liceum im. A. Mickiewicza i J. Słowackiego w Wilnie. Członek komitetu redakcyjnego „Głosu Polskiego” – tygodnika narodowego dla Podola i m.in. współwłaściciel spółki wydawniczej pisma (w 1931 r.). Członek Wojewódzkiego Komitetu Zbiórki na Fundusz Walki o Szkołę Narodową dla Polaków Zagranicą (w 1934 r.). W roku szkolnym 1939/1940 nauczyciel gimnazjalny. Jesienią 1940 r. aresztowany przez służby NKWD, przebywał w więzieniu w Wilnie do czerwca 1941 r., skąd został wywieziony do ZSRS. W listopadzie 1941 r. zwolniony i powołany przez Ambasadę Rzeczypospolitej Polski w Moskwie do objęcia funkcji delegata Ambasady z siedzibą w Buzułuku. Od stycznia 1942 r. delegat Ambasady RP w Kujbyszewie na obszarze obwodów czkałowskiego i aktiubińskiego oraz Baszkirskiej ASRS. Sprawował opiekę społeczną nad polską ludnością cywilną, rozdelał dary nadsyłane z Anglii i USA, kierował transporty Polaków podążających do tworzącej się Armii Polskiej pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Ponownie aresztowany w 1942 r. pod zarzutem współpracy z prof. J. Czapskim, poszukującym zaginionych oficerów polskich oraz wydawania polskich dokumentów obywatelom sowieckim, głównie Żydom, Ukraińcom i Białorusinom. Zwolniony z więzienia dzięki interwencji alianckich ambasad z decyzją opuszczenia granic ZSRS. Od stycznia 1943 r. podjął prace w szkolnictwie polskim na emigracji. Był organizatorem szkół i kursów w Teheranie, Ahwazie, Malir, Valivade koło Kolhapur. Jako jeden z nielicznych pedagogów

znających język angielski prowadził bezpłatne kursy tego języka dla nauczycieli. Opracowywał na podstawie angielskich informacji prasowych i radiowych, cotygodniowe komunikaty dotyczące działań na froncie ze szczególnym uwzględnieniem polskich sił walczących. Od 1.09.1943 r. do maja 1947 r. w Osiedlu Polskim w Valivade pełnił funkcję inspektora i kierownika szkolnictwa z ramienia Delegatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, równocześnie uczył ukochanego przedmiotu-matematyki. W 1947 r. wzywany przez żonę i córki, przybył do Gliwic, gdzie podjął pracę jako nauczyciel matematyki w gimnazjum i liceum. Pracował tam do ostatnich chwil swego życia. Zmarł 9.01.1968 r.<sup>1</sup>

Agnieszka Grędzik-Radziak

---

<sup>1</sup> Źródła: Relacja Ireny Kuczy-Zmijewskiej z dnia 11.09.2003 r., Świebodzin. Zbiory autorki. Dokumenty i fotografie z archiwum rodzinnego Ireny Kuczy-Zmijewskiej z Sopotu. Relacja Krystyny Dowejko z dnia 21.05.2003 r., Gliwice. Zbiory autorki. A. Grędzik-Radziak, *Nauczyciele z ziem północno-wschodnich II Rzeczypospolitej ofiary zbrodni sowieckich w latach 1939-1941, deportowani, więzieni, zamordowani, rozstrzelani*, Kielce 2006, część I, s. 85-86. A. Grędzik-Radziak, *Polscy nauczyciele z ziem południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej ofiary zbrodni sowieckich w latach 1939-1941 deportowani, więzieni, zamordowani, rozstrzelani*, Kielce 2008 (w druku). C. E. Blicharski, *Tarnopolanie na starym ojców szlaku*, Biskupice 1994, s. 180. C. E. Blicharski, *W półwiekową rocznicę...1939-1989. Tarnopolanie w II wojnie światowej*, Biskupice 1989, s. 108. (mps). C. E. Blicharski, *Miscellanea Tarnopolskie*, Biskupice 1995, t. II, s. 126, 385. D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999, s. 290, 302. J. Wróbel, *Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942-1950*, Łódź 2003, s. 126. Zob. także, *Osiedle polskie w Valivade*, <http://www.historia.szczecin.pl/infopage.php?id=475>.





---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- ***Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół. Część 2. Zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów. Biblioteka „Wołania z Wołynia”, t. 50, Wyd. Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg, 2006, ss. 326, ilustracje.***

Pięćdziesiąty tom Biblioteki „Wołanie z Wołynia” został ozdobiony na okładce fotografią ks. Władysława Bukowińskiego (1904-1974) oraz napisem: *Spotkałem człowieka*. Na stronie przedtytułowej zamieszczono dedykację: „Kapłanom pracującym w Polsce, na Ukrainie i w Azji Środkowej – na terenach heroicznej posługi Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego”. Główne elementy zapisu karty tytułowej to: *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół. Część 2. Zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów*. Ponadto, poza informacją o oficynie wydawniczej, znajdujemy dane o miejscu druku: Biały Dunajec (to oczywiście, na Podhalu) oraz Ostróg (na Wołyniu). Informacje zawiera także końcowy blok pt. *Ośrodek „Wołanie z Wołynia”* z zestawem 57 tomów swej Biblioteki z lat 1997-2007. W zestawie tym znajdujemy m.in. książki: Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, 2001, tom 22; *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, 2001, tom 23, cz. I prezentowanej książki; Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFM Cam., *Zapiski z Kazachstanu*, 2006, tom 52. Z treści, zwłaszcza tomu 50 Biblioteki wynika, że od 2006 r. – na wniosek Kościoła Rzymskokatolickiego w Kazachstanie – w Krakowie ks. kardynał Stanisław Dziwisz podpisał dokumenty rozpoczęcia procesu kanonizacyjnego ks. Bukowińskiego. Działa także Stowarzyszenie Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego „Ocalenie”, gromadzące pamiątki po zasłużonym księdzu-misjonarzu. To dzięki członkom tego Stowarzyszenia, głównie redaktorowi i wydawcy książki, mamy niepowtarzalny w swojej treści tom dokumentów.

Zgromadzony materiał ks. Witold Józef Kowalów umieścił w sześciu częściach: I. Dokumenty źródłowe (tu m.in. życiorys, informacje genealogiczne rodziny Bukowińskich, obrazek prymicyjny, wyrok sądu skazujący na trzy lata więzienia w 1959 r.), II. Relacje i wspomnienia (różnych osób, z wielu miejsc, w dużym stopniu z Łucka, gdzie pełnił swą posługę kapłańską w latach 1936-1945), III. Artykuły prasowe i kazania (wiele przedruków z prasy w różnych krajach, w tym także wystąpienia Redaktora książki), IV. Obecność Kościoła

Chrystusowego na ziemiach Kazachstanu. Z prac sympozjum w Karagandzie 1-3 grudnia 2004 roku (referaty, ilustracje), V. Dokumenty (głównie sprawy związane z procesami kanonizacyjnymi), VI. Inne prace (m.in. listy duszpasterzy, szkice o katechizacji w Kazachstanie, okolicznościowy tekst Józefy Hennelowej). Całość zamyka spis ilustracji. Języki, jak zwykle w tomach Biblioteki: polski, ukraiński i rosyjski. W dużym stopniu są tu przedruki z prasy, zwykle w językach oryginału i tłumaczeniu na język polski.

Wielki tom o ogromnej wartości poznawczej nie tylko o życiu i działalności duchownego, ale także o warunkach funkcjonowania Kościoła Rzymskokatolickiego w Związku Sowieckim i jego działalności misyjnej na terenie Azji Środkowej za czasów Sowietów i później.

Dla autora tej notatki, który miał szczęście osobiście poznać ks. Bukowińskiego w Łucku, teksty z książki *Spotkałem człowieka* przywołują wiele wspomnień, wcześniej głęboko ukrytych. Niedzielne msze odbywały się „dla młodzieży” zawsze o 9. Ksiądz Bukowiński zbierał najmłodszych w jednym miejscu, ucząc ich zachowywania się w czasie eucharystii, śpiewu itp. Wysoki, serdeczny, zawsze pogodny – wzbudzał zaufanie, jak dobry ojciec. Katecheta w szkole (lata 1937-1939) nie był sympatyczny. Tym bardziej młodzi doceniali ks. Bukowińskiego. Później przysła wojna i On osobiście wielu przygotowywał do pierwszej komunii świętej. Szybko zrozumieliśmy, że zarówno On, jak i my traktowani jesteśmy przez przybyłych ze Wschodu, jako wrogowie. Katechizacja odbywała się jednak jawnie w głównej nawie kościoła, choć oczywiście mieliśmy nieograniczony wstęp także do zakrystii, gdzie ks. Bukowiński pokazywał nam różne sprzęty. Był w bliskich kontaktach w rodzicami i to nie tylko chodząc „po kolędzie”. Po latach dowiedziałem się od Mamy, że starał się – i zalecał innym – pamiętać jak najmniej nazwisk, by w razie przesłuchań w NKWD nie dawać pretekstów do aresztowań innych. Również po latach uswiadomiłem sobie że wspierał wszelkimi sposobami Żydów z getta w czasie okupacji niemieckiej. W kościele wypisywano metryki. Ks. Bukowiński organizował pomoc zarówno dla Żydów, jak i więzionych w Łucku jeńców radzieckich, morzonych głodem. Domyślam się, że moja Mama, która okresowo pracowała w szpitalu dla jeńców sowieckich, mieszcącym się na terenie getta, musiała być z Nim w kontakcie, bo często przynosiła na ten teren różne rzeczy, których nie mieliśmy w domu. Dzieci nie były dopuszczane do tych tajemnic, choć jedna dziewczynka Żydówka przez pewien czas przechowywana była u nas w domu i mieliśmy świadomość, że jest to akcja ratunkowa. To były świadome działania starszych i uczestniczyli w nich nasi księża.

Relacje na ten temat w książce są prawdziwe, choć wiele z nich opiera się na zapisie pamięciowym i to przeważnie z lat dziecięcych. Nie wszyscy, rzecz zrozumiała, jak np. Alicja H. Moskalowa z d. Suska – autorka jednego z tekstów – byli w bliskich kontaktach z Księdzem przed wojną i w czasie okupacji niemieckiej. Zawsze jednak widywaliśmy Go każdej niedzieli w katedrze, czasem na cmentarzach, zwłaszcza gdy rzezie band ukraińskich nasiliły się w 1943 r.

Mieliśmy wszyscy świadomość, że jest – nawet jako ksiądz – człowiekiem niezwykłym. Po latach, gdy w drugim obiegu ukazały się Jego *Wspomnienia z Kazachstanu*, tę niewielką broszurę traktowaliśmy jako relikwię. Napisana szalenie powściągliwie (np. całkowity brak informacji o mordzie sowieckim w więzieniu w Łucku w czerwcu 1941 r., gdy jako jeden z nielicznych wyszedł z tego żywy), dawała obraz męczeństwa w łagrach oraz w czasie spełniania – nie-

legalnej zresztą - posługi kapłańskiej w Kazachstanie. Dopiero jednak dwa tomy książki *Spotkałem człowieka* uświadamiają czym był ten niestrudzony kapłan, nie tylko w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej w Łucku, ale także w więzieniach i łagrach i – może przede wszystkim w Kazachstanie.

Dla autorów wspomnień oraz opracowań historycznych umieszczonych w książce, jedno nie ulegało wątpliwości: ks. Władysław Bukowiński był za życia człowiekiem świętym. Takiego też zdania był również Jan Paweł II, który szczególnie interesował się Jego posługą w Kazachstanie. Wielu dawało temu wyraz za życia niestrudzonego duszpasterza. Szczególnie interesujący jest pod tym względem fragment wspomnienia S. Klary Staszczak OSB. Poznała ks. Bukowińskiego w Łucku, już w okresie międzywojennym. Przywołała wspomnienia, także zapamiętane, jakże charakterystyczne z lat późniejszych. Jedno z nich, zacytowane także w tekście wstępnym ks. Kowalowa, jest zapisem powstałym na uroczystym obiedzie w Murafie na Podolu, gdzie ks. Bukowiński gościł u ks. Antoniego Chomiczkiego. Wśród zabierających głos był ks. grekokatolicki Eliaż Głowacki. Oto treść jego słów: „[...] w tym piekle zła, niesprawiedliwości, krzywdy, bólu i cierpienia szukałem człowieka – wzoru dla siebie. Tym wzorem człowieka i kapłana był dla mnie przez 9 lat w łagrach, i pozostanie na zawsze tutaj obecny Ksiądz Władysław Bukowiński. Wysoki, wychudły, w lichej odzieży, lecz zawsze pogodny i uśmiechnięty. Widziałem go powracającego z pracy z kłosem drzewa na ramieniu, chociaż nie wszyscy nieśli drzewo. Chciałem jak najprędzej nawiązać kontakt osobisty, lecz to sprawa nielatwa, zawsze był otoczony współwziętniami, o coś pytał, odpowiadał na pytania, tłumaczył, pocieszał, nieraz powiedział żartobliwe słówko. Dla nas kapłanów urządzał rekolekcje, dla świeckich mówił nauki w języku rosyjskim, ukraińskim i niemieckim. Ile światła, pociechy i siły wlewały w nasze serca Jego słowa, dzięki którym przetrwaliśmy. Nie tylko słowem głosił miłość, ale czynem praktykował na co dzień. Pomagał innym nosić drzewo, dzielił się skromną porcją chleba, oddawał innym cieplejszą bieliznę, nie patrząc na narodowość lub pochodzenie. Kiedy bliżej Go poznałem starałem się Go naśladować. Kontakty z Nim podtrzymywały mnie na duchu, zrozumiałem wartość cierpienia, dzięki czemu nie załamałem się – owszem wzrosła we mnie wiara i nadzieja lepszego jutra” (s. 74).

Jest to tekst dotyczący sytuacji łagiernej. Ks. Bukowiński takim właśnie był także w Łucku i to zarówno w okresie międzywojennym, jak i w czasie wojny. Nie zawsze mógł nieść pomoc materialną. Zdołał jednak zorganizować pomoc dla głodujących w mieście i głodnych jeńców radzieckich oraz Żydów. Otaczał opieką tych wszystkich, którzy w czasie ukraińskich akcji mordowania uciekali ze wsi do miasta i byli w nim bezdomni. Wśród uciekinierów były także rodziny polsko-ukraińskie i ukraińskie.

Ks. Witold Józef Kowalów, zapewne nie poznał ks. Bukowińskiego w czasie jego krótkich pobytów w Polsce. Jego zabiegi na rzecz dokumentacji dokonania niestrudzonego pasterza w Krakowskiem, na Wołyniu, w miejscach zesłań (także na Syberii), a przede wszystkim w Karagandzie, są godne pochwały. Proces kanonizacyjny, w którym uczestniczy jako członek Komisji Historycznej dzięki pracy i zgromadzonych wokół niego osób, ma solidne podstawy merytoryczne. W dużym stopniu uruchamia znaczne kręgi społeczne różnych krajów, gdzie Kościół rzymskokatolicki działa nadal w niełatwych warunkach. Chwała mu za przygotowanie tej książki. Czekamy na następne, w tym postulowaną przez niektórych autorów – biografię niestrudzonego kapłana.

Zbigniew J. Wójcik

- **Andrzej Witos, *Wszystko, co niesło życie. Wspomnienia*. Opracował Czesław Brzoza, Wojnicz 1998, ss. 290, 2 nlb., po s. 232 aneks: dokumenty i fotografie ze zbioru Tadeusza Witosa, do s. 244.**

Recenzowanie książki po dziesięciu latach od jej wydania, z pozoru wydaje się zajęciem zbędnym. W tym jednak przypadku jest okolicznością ważną, bowiem to tom wspomnień. A więc uznane w historiografii źródło, do tego w rzeczowym i naukowym opracowaniu (co poświadcza 347 przypisów, ss. 245-277) warte jest bliższej prezentacji, także ze względu na osobę autora – brata Wincenego Witosa (1874-1945), a to nazwisko nie wymaga rekomendacji. Ale nie tylko.

Andrzej Witos ur. w 1878 r. sięgnął po pióro w 87 roku życia, choć zamierzał, jak podaje, spisać przeżycia „szczególnie z okresu rosyjskiego”, zaraz po powrocie do Polski w 1944 r. Nawet „...sporo stron już zdążyłem zapisać”, ale uznał, że jest zagrożony, kiedy musiał zrezygnować z mandatu poselskiego 21 października 1950 r., to wspomnienia ukryte, uległy zniszczeniu... Nowy tekst powstał po latach, kiedy pamięć autora nieco osłabła, ale tę okoliczność podający do druku traktował z należyłą uwagą odnotowaną w przypisach opracowanych starannie i jak przystało na zasadę rzeczowego dowartościowania pamiętnika, nie tylko o informację biograficzną o wzmiankowanych postaciach w narracji wspomnień, ale przy tej okazji objaśniał ewidentne pomyłki autora w chronologii zdarzeń i inne. Do tej kwestii jeszcze powrócimy. Wpierw charakterystyka zawartości tomu.

Jest to wręcz klasyczny przykład wciągnięcia człowieka – jednostki, pomiędzy użyjmy przerośniętych, wręcz młyńskie kamienie wydarzeń dziejowych, gdzie przeplatają się fakty o pierwszorzędym, nie tylko narodowym, ale międzynarodowym wymiarze i znaczeniu. Owa jednostka mimowiednie i bezwolnie musi w nich uczestniczyć i postrzega nie tylko swój osobisty los, ale zdarzenia w szerszym kontekście – losu wspólnoty narodowej do której należy i ma wysoce wykształcone w sferze wolitywnej poczucie z nią więzi. Stąd w narracji spotykamy wielokrotnie określanie swojego i najbliższych z rodziny położenia, i odniesienia ogólniejsze, do znajomych z sąsiedztwa, albo poznanych w różnych okolicznościach Rodaków, by na tym tle niczym kanwą narodowego losu opisywać codzienność, ale też postrzegać przyszłość.

Czy tę konwencję udało się autorowi zachować w opowieści wspomnieniowej? Ogólnie tak, choć miejscami ta bardzo subtelna granica pomiędzy opisem i rzeczywistym kształtem wydarzeń (faktów jednostkowych), a wiedzą o nich w czasie tworzenia tekstu, gdy nie wszystko zachowało się „ułożone” w pamięci czasu przeszłego dokonanego, ta granica zdaje się być przekroczona na stronę skądinąd już znaną w oficjalnym kształcie podręcznikowej historii. Przejdźmy do bliższego omówienia treści.

W krótkim *Wstępie* (s. 5-8), Czesław Brzoza dał nie tylko bliższą charakterystykę *Wspomnień* i postaci autora, ale przede wszystkim objaśnił elementy warsztatu wydawcy, co należy podkreślić z uznaniem, bowiem „przy dokonywaniu tych zabiegów, szczególnie zwracano uwagę, aby nie uległ zmianie sens wypowiedzi autora, aby nie naruszyć jego specyficznego stylu narracji.” (s. 7) i

na tym można poprzestać, ponieważ dalej mamy autorskie jednostronicowe *Kilka słów wyjaśnienia*.

Czytamy tu: „Po co piszę ? Wiem, że ani styl, ani forma przekazywania przeze mnie wspomnień nie są nadzwyczajne, czy też arcyciekawe. Chodziło mi jedynie o to, by opisać wydarzenia których byłem świadkiem. Wiadomo powszechnie, że wydarzenia historyczne tamtych, i nie tylko tamtych czasów, różnie są przedstawiane, zależnie od potrzeb pewnych grup czy partii politycznych będących u steru rządu. [...] Pisząc zatem nie mam żadnych ubocznych celów poza podaniem i opisaniem wydarzeń, których sam byłem świadkiem, bądź których przebieg był nie w całej rozciągłości znany.”

W tych wyznaniach autora odnajdujemy motywację przygotowania recenzji, bowiem jedenaście problemowych sekwencji *Wspomnień* dzielących narrację, obejmuje czas historyczny od schyłku XIX wieku w kręgu rodzinnym Witosów i Wierzchosławic, po lata 60-te wieku XX, samotnego już życia z rentą „dla zasłużonych” uzyskaną we wrześniu 1956 roku i rehabilitacją po Październiku wraz z zaproszeniem na zebranie Powiatowego Komitetu ZSL w Łodzi.

Wspomniane *Wierzchosławice*, (s.10-32) otwierają opowieść o gnieździe rodu na przysiółku Dwudniaki, jednej z sześciu części Wierzchosławic, a jest to o tyle ważne, że ukazuje stosunki przysłowiowej nędzy (*vide*: Stanisław Szczepanowski: *Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego*, Lwów 1888), ale zarazem mit Galicji, jako Arkadii w dobie autonomii i matecznika ideologii ruchu ludowego, w którym wzrasta i dojrzewa jego przywódca Wincenty Witos. Ten proces formowania świadomości politycznej w tle czytelnictwa „Wieńca”, „Pszczółki”, „Przyjaciela Ludu” i „Dzwonu”, pośród zmagania o zapewnienie skromnego bytu rodzinie i poszukiwaniu zarobku także na emigracji, został wysoce obiektywnie i rzeczowo zrelacjonowany. Można tu jeszcze użyć określenia o przemianach w życiu gospodarczo-społecznym, bowiem reforma prawa wyborczego poczynając od samorządu wsi, jej samoorganizacja odnotowana w prostych określeniach, „założyliśmy Kasę Stefczyka”, „założyliśmy Kółko Rolnicze”, gdzie prezesem był brat, „ja sekretarzem Kółka”, aż wreszcie, „wypracowane fundusze pozwoliły nam już w pierwszym roku zakupić trzy siewniki zbożowe konne, trzy komplety bron żelaznych, brony łąkowe oraz wagę wozową. Wybudowaliśmy też szopę na te maszyny i narzędzia rolnicze, w następnym zaś roku przystąpiliśmy do budowy pomieszczeń dla własnego sklepu, magazynu i świetlicy”, (s. 21). Potem, w 1912 r. powstał Dom Ludowy „nazwano go imieniem Wincentego Witosa, gdyż z jego inicjatywy został zbudowany”, a następnie założono spółkę przemysłowo-rolniczą, która uruchomiła młyn motorowy. Wszystko to już powstawało równoległe z działalnością koła Polskiego Stronnictwa Ludowego i początkiem, od 1907 r. poselskiej kariery Wincentego Witosa, który został wybrany po nagłej śmierci księcia Eustachego Sanguszki.

W tej części tekstu spotykamy po raz pierwszy skrót rzeczowy, bowiem wojnę światową we wsi i swoje losy opisał autor dosłownie w sześciu wierszach na s. 24, ale formowaniu bytu Niepodległej przeznaczył całą ostatnią część rozdziału aż do s. 32.

Następne rozdziały *Jasionów*, (s. 33-52) i *Krasne*, (do s. 89), należą w naszym odczuciu do szczególnie ważnych, bowiem dotyczą powstawania osad i kolonii tworzonych przez chłopów szczególnie z woj. krakowskiego i kieleckie-

go. Towarzystwo Agrarno-Osadnicze we Lwowie zajmowało się parcelacją majątków na obszarze woj. lwowskiego i autor należał do pionierów w tych przedsięwzięciach. Sprzedał na wiosnę 1920 r. rodzinne gospodarstwo w Wierzchosławicach i kupił 15 mórg ziemi ornej i 5 mórg łąki w Jasionowie w pow. brodzkim, przy szosie Brody–Złoczów o 14 km od miasta powiatowego. Tutejszy folwark Feliksa Gniewosza przeznaczony został do parcelacji z zastrzeżeniem, że ziemie mogą nabywać tylko Polacy. „Warunek ten stawiał nie ze względów politycznych, lecz z tej prostej przyczyny, że głównymi złodziejami w czasie wojny byli chłopci ukraińscy, co bardzo go do nich zraziło.” (s. 35). Majątek ze stadem rasowych krów, hodowlą koni, 100 ha sadem i nowoczesnymi uprawami zbóż, został ograbiony i zniszczony. Osadnicy nabywali ziemię i rozpoczynali uprawiać, a dopiero potem budowali zagrody.

W takich okolicznościach powstała kolonia w Jasionowie, gdzie zaczęli gospodarować, i tu wymienia nazwiska i zawody: inwalida wojenny, murarz, stolarz-budowlany, kowal, cieśla i dwóch rolników, zaś za Jasionowem na tzw. Górcie trzynastu gospodarzy, a w stronę Podhorzec dalszych pięciu. Założyli już Kółko Rolnicze, Koło PSL i wtedy nastąpiła inwazja „bolszewicy przyjechali ogromną chmarą. Była to konnica Budionnego”.

Można w tym miejscu pominąć już dalszą relację o ich pobycie i „gospodarowaniu”, aż autor stwierdza: „Odejście wojsk bolszewickich przyszło jakoś niespodziewanie [...] to nasuwało wiele domysłów, o jakichś nadzwyczajnych wydarzeniach korzystnych dla Polaków, ale zawsze były to tylko domysły, (s. 39). Ważną i udokumentowaną okolicznością jest pomoc rządu w przyznaniu długoletnich kredytów i osobiste zaangażowanie Wincentego Witosa, bowiem „byli to przeważnie małorolni chłopci, a często tylko pracownicy rolni i służba folwarczna, którzy za uciulane grosze i sprzedaną ziemię własną zakupili gospodarstwa z parcelacji majątków obszarniczych”(s. 41).

Jesienne wybory w 1922 r. do sejmu, stały się dla autora, który został posłem z okręgu nr 55 i listy PSL (obok trzech innych) początkiem rzecz można, politycznego wątku w życiorysie. W tym okręgu mandaty uzyskało trzech przedstawicieli Związku Jedności Narodowej oraz dwóch z listy Komitetu Zjednoczonych Stronnictw Narodowo-Żydowskich. Zwraca to uwagę na brak w reprezentacji Ukraińców – Rusinów, bowiem głównie tego określenia używa autor, którzy masowo i solidarnie zbojkotowali wybory, za wyjątkiem jednego ugrupowania, Agrarnej Ukraińskiej Chłopskiej Partii („Chliboroby”), która uzyskała trzy mandaty w całej Małopolsce Wschodniej, zaś nacjonałiści ukraińscy zabili trzech innych kandydatów i sterroryzowali ludność.

Autor postrzega nie tylko przejawy współzycia i współpracy osadników i Rusinów nie tylko w Jasionowie, ale także stosunek władz powiatowych w Brodach do ludności ukraińskiej i na tym tle początki terrorystycznych działań Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, by stwierdzić: „nie należało się łudzić, że ruch ten nie będzie rósł, i wiadomo, że starcie prędzej czy później musi nastąpić”. Jakby na potwierdzenie tej myśli podaje przykład popa Boluty z Jasionowa który, „nie zapomniał o tym, że jest Rusinem i jako taki ma obowiązek upominać się o prawa Rusinów. Jego synowie kształcili się w szkole polskiej w Brodach. Takie postępowanie nie bardzo podobało się wszystkim parafianom, szczególnie ekstremistom ruskim, którzy w późniejszym okresie, nie mogąc mu

tego przebaczyć, zamordowali go. Zresztą w okresie słynnych mordów ukraińskich też ekstremistów nie błogosławił. (s.49).

Kolejna część narracji ma tytuł *Lwów* (s. 50-52) i jest to krótka relacja o wyjeździe z Jasionowa i objęcie nowego gospodarstwa na peryferiach Lwowa „w rejonie Pasiek Halickich, 3 km od Rogatki Łyczakowskiej”. Pominąć można barwny opis pionierskiego trudu ożywienia zrujnowanego majątku Majerówka inż. arch. Cybulskiego, ale wspomnieć warto, że trzech synów: Stanisław w Uniwersytecie Jana Kazimierza, Julian w gimnazjum i Tadeusz w szkole powszechnej kontynuowało naukę, a tylko Franciszek z rodzicami zajmował się rolnictwem.

W 1929 r. autor kupuje w Krasnem, węzle kolejowym na liniach Lwów–Tarnopol i Lwów–Brody–Zdołbunów, z parcelacji włości hr. Gnoińskiej-Russockiej, 60 morgów ziemi ornej i 10 morgów lasu, a opis tego gospodarstwa wyprzedza informacja o akcji rozsprzedaży majątku, na której „skorzystali zarówno Polacy jak i Ukraińcy, z tym że więcej było Polaków. Część służby folwarcznej otrzymała działki rolne. Na Mogile Kolonii (nazwa pochodziła od 2 ogromnych mogił z czasów wojny) osiedlili się sami Polacy, w sumie 10 rodzin. Kuktorz odległy o 6 km, miał stację kolejową, kościół i majątek Wodzcich. Wspólnie z należąca do niego kolonią polską Maruszką miał ponad 50 % ludności polskiej.”

„Bezbrudy – duża wioska, której ludność poza kilkoma rodzinami polskimi stanowili Ukraińcy.[...] Ostrów – duża wieś, podobnie jak Uciszków, Stronibaby, Firlejówka, Skniłów, Rusiłów i Bałuczyn, o ogromnej przewadze ludności ukraińskiej. Bortków i osada Olszanka to wsie czysto polskie” (s. 58).

Ta swoista „topografia narodowościowa” dopełniona jest wartościowymi informacjami o codziennym życiu ludności, ale z wyraźnym akcentowaniem wątku społeczno-politycznego, w którym ze znajomością rzeczy autor opisuje działalność „Proświty” i dodaje: „Tu właśnie wzrastał coraz bardziej nacjonalizm Ukraińców, na razie wyrażający się w pieśni i innym działaniu kulturalnym i społecznym. Tu lęły się pomysły walki terrorystycznej i zbrojnej”. Z Krasnego pochodził Iwan Tyktor wydawca pism we Lwowie, jak „Nowy Czas”, zaś we wsi pracowały „Masłosojuz” oraz sklep we własnym budynku.

„Polacy, aczkolwiek mniej liczni stanowili dość zwartą grupę” – stwierdza w następnym zdaniu, by z większą dokładnością opisać życie kulturalne skupione w domu TSL, gdzie obok świetlicy i biblioteki (2 tys. tomów), pracowały chór i zespół teatralny, a wymieniony repertuar tego ostatniego, pozwala ocenić nie tylko umiejętności aktorów-amatorów, ale i ambicje artystyczne. Dalej charakteryzuje pracę szkoły, działalność „Strzelca” i orientacji politycznych, od prorządowych BBWR i OŻN, po PPS i SL, ale „nie miały większego znaczenia”, podsumowuje te spostrzeżenia, by następnie krótko wspomnieć Żydów, „trzecią grupę ludności”, którzy zajmowali się handlem i „występowali solidarnie”.

Obszerny fragment tej części *Wspomnień* stanowi relacja o życiu społecznym środowiska Małopolski Wschodniej, w powiązaniu z sytuacją kraju w latach 30-tych, gdzie powołanie gmin zbiorowych w 1934 r., organizacja kół osadników, bowiem rząd ograniczył pomoc kredytową, wspierając tylko osadników b. wojskowych, „a więc ludzi z nim związanych” zauważa, gdy równocześnie osadnicy podjęli budowę szkół w Różowoli i Maruszcze, meliorację łąk i



pastwisk w Uciszkowie i Batuczynie oraz budowę 2 km drogi z gromady Stornibaby do Krasnego.

Począwszy od s. 67 relacjonuje, już nie o incydentach, ale „coraz częściej zdarzały się napady, morderstwa polityczne i rabunki”, a nacjonalizm ukraiński „zaczynał przybierać formy walki z polskością coraz to śmielsze i ostrzejsze. Sławne piątki OUN coraz częściej mordowały Polaków, paliły sterty zboża i obejścia osadników”. Wymienia liczne fakty antypolskiej działalności i w tym tle. „Celem wyświecenia wydarzeń oraz uzyskania pomocy dla organizacji polskich (zarówno rolniczych jak i kulturalno-oświatowych), a także większej swobody dla administracji w postępowaniu w kwestii narodowościowej, udała się do Warszawy delegacja w składzie gen. Paszkiewicz [dca 12 DP w Tarnopolu], dr Ostrowski – prezydent m. Lwowa, Wróbel – senator sanacyjny, Żyborski – poseł sanacyjny, Alojzy Kołodziej – osadnik z Podhajec i ja”. Gen. Gustaw Paszkiewicz został oddzielnie przyjęty przez marszałka E. Rydza-Śmigłego, zaś pozostali delegaci kolejno przedstawiali stan spraw premierowi gen. Felicjanowi Sławoj-Składkowskiemu, przy czym nie obyło się bez kontrowersji w ocenie sytuacji, czego wyrazem zdaje się być konkluzja autora „żadnych rezultatów interwencji delegacji w późniejszym postępowaniu władz, nie dało się zauważyć.” (s. 72-74).

Zamykając omówienie tej części *Wspomnień*, bowiem na następnych kartach mamy relację o wojnie wrześniowej 39 roku, trzeba zauważyć, że obraz życia społecznego w kręgu osadników jest jednym z nielicznych w chłopskim pamiętnikarstwie, do tego nacechowany obiektywizmem i rzetelnością faktograficzną, którą podający do druku wydatnie wzbogacił rzeczową informacją w przypisach. Z tej opowieści wyłania się geneza wyniszczającej akcji Ukraińców wobec Polaków w województwach kresowych, gdy nastąpiły okupacje, sowiecka i niemiecka w latach 1939-1944.

Na razie były to antypolskie demonstracje wobec ludności i ostrzeliwanie z zasadzki żołnierzy, a wszystko pośród wielokrotnych bombardowań stacji w Krasnem, zablokowanej przez kilkanaście transportów ewakuacyjnych, nad którymi pastwiła się Luftwaffe. „Kiedy jeszcze broniła się Warszawa, a także Wybrzeże i na Polesiu grupa gen. Kleberga, poprzez nasze granice wschodnie wkroczyła Armia Radziecka, której celem w pierwszej wersji była pomoc, a w drugiej oswobodzenie zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi od ucisku polskich panów, a faktycznie było to wbicie noża w plecy i czwarty rozbiór Polski. Zaplanowano go w tajnym układzie Ribbentrop–Mołotow. [...] A więc teza Lenina o podporządkowaniu sobie Polski obowiązywała nadal.” (s. 79-80).

Powołujemy ten fragment, by wskazać na specyfikę tej narracji, w której autor łączy, jak wspomnieliśmy, fakty jednostkowe z wiedzą o nich w czasie spisywania *Wspomnień*. Ale tej konwencji nie podporządkował całej dalszej części opowieści, w której relacjonuje o dalszych wydarzeniach i okolicznościach wkraczania oddziałów „wyzwalających braci z zachodniej Ukrainy spod „iga” [jarzma] faszyzmu. [...] Sami żołnierze opowiadali ciekawostki o dobrobycie w Kraju Rad, o stosunkach społecznych, o potędze militarnej. To co opowiadali nie bardzo zgadzało się z tym jak byli ubrani, z wyposażeniem i tym co jedli, a już zupełnie z tym, co z innych źródeł było nam wiadome.” (s. 82.)

W powstającej nowej rzeczywistości, autor informuje, że „ze strony miejscowych Ukraińców nie spotkała mnie żadna przykrość”, choć dalej nieco pisze, że w dniu przybycia wojsk radzieckich został ostrzelany „przez miejscowych Ukraińców” i ocenia ten incydent jako nieporozumienie. Ten stosunek zdaje się nie uległ zmianie, mimo że „na początku stycznia 1940 r. władza radziecka dała znać o sobie. W tym dniu aresztowano kilkunastu Ukraińców z Krasnego. [...] Niektórzy z zatrzymanych po kilku dniach wrócili, innych więcej nie widziano” (s. 86-87), i autor był ostrzegany o niebezpieczeństwie przez Ukraińca Diducha „pewnie będzie wywózka, gdyż na stacji stoi transport wagonów, obecnie przygotowywanych do podróży, w których drutuje się okna i wstawia piecyki żelazne. Szlomko – jeden z Żydów miejscowych, będący członkiem „selrady” zawiadomił: „Niech Pan uważa, bo tej nocy coś się stanie”, lecz co, nie powiedział. Mimo tych ostrzeżeń nie bardzo wierzyłem, żebyśmy mogli być wywiezieni.” (s. 88).

A jednak. Spotykamy dalej wręcz rytualny opis wkroczenia do domu dwóch milicjantów ukraińskich i funkcjonariusza NKWD, sprawdzanie gotowego spisu mieszkańców „i na zakończenie rozkazał: „Sobierajties”. Zaraz załadowanie do sań, „coś niecoś z odzieży i żywności i pod eskortą ruszyliśmy do miejscowej szkoły, gdzie organizatorzy deportacji urządzili punkt zborny. [...] Po południu przewożono nas do przygotowanych wagonów.” (s. 89).

Dalsza część *Wspomnień* ma tytuł *Jakszardeń* (do s.109), a rozpoczyna się od opisu wagonu, w którym „zebraliśmy się ( a raczej nas zebrano) w następującym składzie: ja z żoną i synami Tadeuszem i Julianem, Ludwik Chmielowski z żoną synem Waclawem i córką Izą, Józef Chmielowski z żoną, synem Adamem i córką Haliną, Józef Superniak z żoną, Piotr Wylegała, Józef Olech z dość okazałą liczbą członków rodziny (razem chyba 8 osób), Andrzej Nuckowski z żoną i dwojgiem dzieci oraz Barbara Tłuczek z dzieckiem i bratem. Razem w wagonie zmieścili się 34 osoby. [...] Wszyscy byli wzburzeni. [...] Opowiadaniom nie było końca. Każdy dokładnie opisywał wszystko co działo się w momencie zabrania, a także w czasie przewożenia na stację Wszystkich obecnie nurtowała jedna myśl, a mianowicie, gdzie oni nas powiozą [...] W Krasnem na stacji przestaliśmy przez popołudnie 10 lutego, noc 10 na 11 lutego i cały dzień 11 lutego i dopiero w nocy opuściliśmy stację kolejową w kierunku wschodnim.” (s. 90-91).

Do granicznych Podwołoczysk-Wołoczysk wymienia kolejne węzły kolejowe, zaś potem już tylko obserwuje przez zadrutowane okienko rosyjski krajobraz, aż do postoju w Briańsku. „Dwunastego dnia podróży dojechalśmy do miasta Gorki, skąd przez Kirow (dawniej Wiatka) do Maruszy i tu nasza podróż kolejną się zakończyła. Tu wylądowano nas i samochodami przewieziono do miejscowego Domu Kultury, w którym przeczekaliśmy do rana. Rano, takimi samymi samochodami, rozpoczęliśmy podróż w kierunku stolicy Autonomicznej Republiki Komi, Syktywkaru. Zima była ostra. Cieżarówki nie kryte. [...] W ciągu całej liczącej około 100 km jazdy mijaliśmy zaledwie kilka wiosek [...] Wzdłuż drogi ciągnęły się niekończące lasy. [...] W Noszulu odpoczywaliśmy przez dwa dni w prywatnych domach miejscowych kolchoźników. Odpoczęliśmy, ogrzaliśmy się. [...] Pod wieczór drugiego dnia załadowaliśmy się na sanki i ruszyliśmy w dalszą podróż. Młodzi szli za sankami pieszo. Mokry śnieg i zadymka trwały przez całą podróż. [...] Jazda w tych warunkach trwała przez całą noc, tak że o świcie dobrnęliśmy do trzeciego posiołka, gdzie nas oczekiwali wcześniej przybyli towarzysze niedoli, a wśród nich syn Julian. Ledwie zdążyliśmy coś przekąsić i ogrzać

się, a już część rodzin spośród przybyłych, łącznie z naszą udała się w dalszą drogę. Znowu korytem rzeki Łuzy udaliśmy się do oddalonego o 6 km „uczastka” Jakszardeń, naszego nowego i dłuższego miejsca postoju.” (s. 93).

Przeznaczaliśmy nieco więcej miejsca na relację o drodze na zesłanie, bowiem ten opis biegle charakteryzuje okoliczności pierwszej deportacji tysięcy Polaków z ziem Rzeczypospolitej wcielonych do ZSRR i oddaje dramat tej ludności. Następuje nie tylko topograficzny opis участка „nad Łuzą dopływem Sysoły, która z kolei wpadała do Dwiny, a ta do morza”, ale jego usytuowanie w tej części systemu łagru. Jakszardeń był oddalony o 6 km od „Bazy” zaopatrzonej zaludnionej Polakami różnymi posesjami w chleb i inne produkty żywnościowe. Tu także była poczta i piekarnia w której pracowali Polacy. O 3 km za Starą Bazą był posesja nr 6 z kołchozem i biurem „Lesopunktu”, które prowadziło ewidencje wyrębu, obliczanie wynagrodzenia, które kasjer wypłacał w posesjach. W stronę Noszula był posesja nr 3 „w którym zatrzymała się część przesiedlonych z Mogiły, a mianowicie: Jastrzębscy, Olechowicze, Nuckowscy i Tłuczki. Tu był kołchoz, poczta, posterunek milicji oraz „bolnica” – szpitalik, którą prowadził przesiedleńca z Łotwy, Szpajs. [...] Jakszardeń powstał po rewolucji październikowej w wyniku zsyłki własnych obywateli podejrzanych o nieprawomyślność w stosunku do idei i samych bolszewików. [...] Zabudowania Jakszardzenia składały się z szeregu baraków położonych na wysokim brzegu Łuzy jakieś 10 m od jej wody, na rozległej polanie. W skład tych zabudowań wchodziły 2 baraki mieszkalne, które zajmowali przesiedleńcy, barak „urzędowy”, w którym mieściło się biuro, sklepik oraz mieszkanie sklepikarza Mikołaja i milicjanta Szachonina, barak mieszkalny zajmowany przez „majstra lasu” Bacharewa, baraczek „bani”, barak stajnia dla koni pracujących przy zwózce drzewa z lasu w okresie zimy i częściowo wiosny oraz jeden zniszczony barak mieszkalny, służący w początkowej fazie specprzesiedleńcom (zanim Piotr Wylęgała, były wojskowy, nie zbudował latryny typu szwejkowego) za ogólną ubicację. [...] Po przyjeździe rozlokowaliśmy się w baraku tuż nad rzeką. Pomieszczeń posiadał pięć. W środkowej sali (przejściowej) zamieszkali oprócz mojej rodziny Ludwik Chmielowski z rodziną, Józef Chmielowski z rodziną, Józef Szporniak z żoną i samotny Wylęgała. W sali bocznej lewej: Stanisław Długosz z żoną i dziećmi (siedmioro), Jan Pytka z żoną i dwiema córkami, Józef Pytka, syn Jana z żoną i dzieckiem, Wojciech Turbiarz z żoną, jego ojciec z synem i Franciszek Pikus z żoną i trojgiem dzieci. W drugiej takiej samej sali po prawej stronie zamieszkały rodziny: Nowaków, Domagałów i Chruścielów. W dwóch oddzielnych bocznych salkach po obu stronach korytarza, do których wejście było przez naszą salę mieszkali: Michał Sobkiewicz z żoną i trojgiem dzieci, Nazimek z żoną i dwojgiem dzieci, Józef Misiewicz z żoną i dwojgiem dzieci i NN z żoną i córką. W drugim zaś baraku zamieszkały rodziny Krzywaków, Szmigielskich, Golonków, Korelów, Sowów i Gąsiorków. Razem w Jakszardzeniu zebrało się około 100 specprzesiedleńców, zmęczonych podróżą, właściwie nie rozumiejących, jak to popełnili przestępstwa, za które spotkała ich tak niesłuszna kara. [...] Nie będę przytaczał tych „filozoficznych”, jak i prostych chłopskich twierdzeń i kombinacji. W końcu wszyscy dochodziliśmy do wniosku, że wywiezienie wcale nie wiąże się z jakimś przestępstwem z naszej strony. Wystarczyło, że byliśmy Polakami.” (s. 93-96).

Już od następnej stronicy mamy bardzo szczegółowy opis pracy w lesie, począwszy od 1 marca 1940 r., w brygadach zorganizowanych po 3 do 6, albo i więcej osób. Początkowo tylko mężczyźni, a z czasem kobiety i starszych dzieci,

kiedy zapasy żywności, odzieży (powszechnie wymienianej na produkty żywnościowe) i przywiezionych pieniędzy kończyły się, zaś wprowadzenie ścisłego racjonowania chleba dla pracujących i członków rodziny, ostatecznie wymusiło pracę wszystkich do niej zdolnych. W lesie, w zależności od wyjątkowo asortymentu drzewa, można było zarobić ok. 2 do 3 rubli na dniówkę, przy czym 1 kg chleba kosztował ponad 1 rubla, a kg ziemniaków 40 kopiejek, a można było kupić 2-3 kg co kilka dni. Dary lasu zbierane latem, jagody i grzyby oraz zioła, suszone i marynowane, smażone, poprawiały nieco zaopatrzenie, bowiem głód był coraz bardziej dokuczliwy przy ciężkiej pracy. Społeczność zesłańców osiągnęła w samoorganizacji wyjątkowy poziom współżycia i wzajemnej pomocy, co pozwoliło trwać, ze zbiorową modlitwą, w tych warunkach z nadzieją na powrót do stron rodzinnych, w co zesłańcy niezachwianie wierzyli. Ale... 23 grudnia 1940 r., kiedy przygotowywano się do pierwszych Świąt Bożego Narodzenia, na lesouczstek zajeżdżało kilka sań i funkcjonariuszy NKWD. Aresztowali 20 mężczyzn.

Wszystkich wywieziono do Syktywkaru i objęto śledztwem o kontrewolucyjny spisek w zorganizowanej grupie pod przewodnictwem autora. Śledztwo z użyciem przemocy fizycznej, głodzeniem i wyrafinowanymi metodami łamania psychiki więzionych, trwało do 17 lipca 1941 r. Sąd Najwyższy ASRR Komi o północy tego dnia rozpoczął rozprawę w czasie której wszystkich oskarżono z art. 58, ale w zależności od przypisanej funkcji (lub roli) w „grupie przestępczej”, poszczególnym jej członkom „przydzielano” paragrafy 10, 11, 14, które określały wymiar kary od 5, 10 lat aż do kary śmierci włącznie. Dziesięciu skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie, a dwunastu na kary 10 lat więzienia. Wszystkich pozbawiono „praw obywatelskich” na minimum 5 lat.

Opis śledztwa, procesu oraz zupełnego zwrotu sytuacji po podpisaniu układu Majski – Sikorski 30 lipca 1941 r., kiedy skazani pisali prośby o kasację wyroków, a dowiedzieli się jak autor 12 września: „jesteście wolni”, zajmuje w tekście s. 110-129 i jest jedyną w swoim rodzaju relacją o policyjnych procedurach NKWD w stosunku do Polaków. Mechanizm konstruowania wymyślanego spisku, obsada w nim „stanowisk” i uformowanie wewnętrznej struktury, wreszcie przypisanie poszczególnym oskarżonym określonej roli, gdyby nie nazwiska współoskarżonych z autorem, można by uznać za fikcję literacką na pograniczu fantazji. A była to okrutna sowiecka prawda o systemie totalitarnym.

Kontrastuje to ze znajomością nie tylko osobowości autora, jego społecznej i politycznej działalności przed wojną, ale nawet uchwał zjazdów PSL i SL z tego okresu, o czym przekonał się „z rozmów” z wysokimi funkcjonariuszami NKWD w Syktywkarze.

Począwszy od s.129 mamy we *Wspomnieniach* szczególnego znaczenia wątek – świadectwo tworzenia przez władze sowieckie modelu stosunków między państwowych, w pierw w wspomniany układ Majski – Sikorski, a następnie dekret Prezydium Rady Najwyższej o tzw. amnestii dla Polaków 12 sierpnia 1941 r. i umowę wojskową o formowaniu Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Stąd tytuł tej części narracji *Pracownik polskiej ambasady*, (do s. 146), bowiem autorowi powierzono (ambasador prof. St. Kot związany z ruchem ludowym), organizację pomocy dla zesłańców na terenie ASRR Komi.

„Ludzi stęsknionych za krajem, za Polską, w której odrodzenie wierzyli bez reszty, opanowała potrzeba porzucenia zniechęconego posiadłości, norm,

lasu, policyjnego systemu i do podjęcia podróży na południe, czy w ogóle gdzieś, gdzie życie byłoby znośniejsze i gdzie mogliby czekać na powrót do kraju. Młodzi nie obarczeni rodzinami, a także starsi, byli wojskowi, jechali do wojska. Słowem rozpoczął się ogromny ruch ludzi. Polacy byli bardzo rozproszeni, więc podejmowane przez nich podróże trwały dwa, trzy, a czasem i więcej tygodni.” (s. 131).

O tej sytuacji i początku swojej pracy relacjonuje następująco w innym miejscu: „Do Kirowa przyjechałem wieczorem. [...] Tu spotkałem pierwszych znajomych z posiołka. Były to rodziny Olechów i Nuckowskich. Jechali, nie znając ani trasy, ani celu podróży. Nie mieli ani grosza na opłacenie biletu kolejowego, ani na zakupienie żywności. Ponieważ już z Kujbyszewa [tu w połowie listopada 1941 r. przeniesiono Ambasadę RP z Moskwy, obj. M.W.] wiozłem nieco rubli na pierwsze zapomogi dla potrzebujących, z miejsca zacząłem wykonywać swoje obowiązki, wydając napotkanym zapomogi za pokwitowaniem. Cała noc spędziłem w izbie dla matek z dziećmi, nie śpiąc, lecz prowadząc rozmowy z Polakami. [...] Tam też spotkałem Kazimierza Graba wraz z rodziną i zaangażowałem go do pracy w delegaturze ambasady, którą planowałem wkrótce założyć.” (s.135).

Czytając ten tekst odnosi się wrażenie, że autor z niezwykłą energią, odwagą i umiejętnością organizacyjną starał się ustalić miejsca pobytu zesłanych Polaków. Podróżował po bezkresie rosyjskiej Północy, napotkanym w posiołkach wyjaśniał sytuację, udzielał pomocy materialnej, a nade wszystko organizował swoistą strukturę powołując mężów zaufania (w wyborach !), jako swoich łączników i utworzył biuro Delegatury w Objaczewie. W budynku „Lestran-schozu” nie tylko uzyskał lokal na biuro, ale ewidencję Polaków zatrudnionych przy wycięciu lasu i w tartakach: „dokonałiśmy [na tej podstawie, obj. M.W] w rejonie Pryłuskim, Sysolskim, a później Leckim spisu całej wywiezionej ludności polskiej, [...] Ludzie żyli zaszyci w lasach, daleko od ośrodków zaopatrzenia, które i tak nie były w stanie z powodu braków dać właściwego zaopatrzenia zatrudnionym przy ciężkiej i wyczerpującej pracy w lesie, bez skutecznej pomocy lekarskiej, w lichym ubraniu i wśród ciągłej propagandy i zakłamania. Aż dziwne było, jak w tych warunkach ludzie mogli zdrowo i cało przetrwać zimą. [...] Było komu pomagać, gdyż w osiemnastu posiołkach i uczastkach wegetowało około 700 polskich rodzin.” (s.137).

Warto zwrócić uwagę na fakt, że autor obok tak relacjonowanej pracy „w terenie”, podjął rozmowy z prezydentem republiki Turyszewem, pierwszym sekretarzem partii Taranienką i „znajomym” ze śledztwa szefem NKWD Żylinem, by uzyskać pomoc w realizowaniu swoich zadań. Niewiele to dało, ale wspomnieć trzeba.

Przełom lat 1941/42 był okresem intensywnej organizacji opieki, co ilustrują dane przytoczone na s.138-143, a to udzielenie zapomóg na kwotę 154 418 rubli, zorganizowanie kursów oświatowych, gdzie objęto nauką 626 dzieci, utworzenie przedszkola, domu dziecka, a na wiosnę 1942 r. uruchomienie szkół w 12 miejscowościach, a zaraz potem władze zaczęły likwidację działalności Delegatury. „W marcu 1943 r. [...] władze ZSRR unieważniły nam obywatelstwo polskie i przymusowo uszczęśliwiły obywatelstwem Związku Radzieckiego. Kto nie zgodził się „dobrowolnie” siedział w więzieniu i tak długo tam przebywał, aż docho-

dził do wniosku, że nie ma innego wyjścia niż podpisanie deklaracji. Właśnie pod groźbą więzienia, nie widząc innego, rozsądnego wyjścia, zdeklarowałem się jako obywatel „radziecki”. Ciężko było nam zrzec się obywatelstwa, z którym wiązaliśmy całą naszą nadzieję powrotu do Polski, ale jak to poprzednio stwierdziłem wyboru nie było.” (s.144). I zaraz potem opisuje okoliczności ujawnienia zbrodni w Katyniu, by stwierdzić: „Zerwanie stosunków przeżywaliśmy jako osobisty i narodowy cios, zagradzający nam przede wszystkim drogę powrotu do kraju i pogarszający naszą sytuację jako przesiedleńców”.

Kończy te sekwencje *Wspomnień* informacją: „w czasie mojej nieobecności miejscowe władze w Objaczewie zamknęły delegaturę. Biuro zostało splądrowane, dokumenty dotyczące rozdziału odzieży i artykułów spożywczych a także innych spraw zostały rozrzucone, pieniądze będące w kasie i pozostałe na koncie bieżącym w sumie 50 tys. rubli zostały przekazane komendantowi miejscowego NKWD Kotowowi, a magazyn zamknięty. Ludwik Chmielowski, który był ze mną w Maruszy, został od razu po powrocie aresztowany [...] znowu „siadł” w Syktywkarze w tej samej celi tegoż więzienia, w której miał przyjemność siedzieć poprzednio. To samo spotkało Józka Chmielowskiego. [...] Z biura zabrałem niektóre dokumenty, między innymi książkę kasową delegatury. Do magazynu nie mieliśmy dostępu. [...] Nikt nie starał się choćby o zachowanie pozorów, gdyż niczego nie przejęto od nas protokolarnie, a po prostu zastosowano sposób ludowy, czyli grabież.” (s. 146).

Autor podjął pracę jako stolarz przy wykańczaniu domu związkowego w Objaczewie. Zamieszkał w Kulikach o 3 km dalej, gdzie sprzątaczką z komendantury NKWD przekazała mu wezwanie. Żona na pożegnanie powiedziała: „nie bój się, bo nie przyszedł nikt z karabinem”. O 11 w nocy Kotow wręczył telegram: „Witos Andrzej. Proszę wziąć udział w posiedzeniu Związku Polskich Patriotów. Proszę zaraz przyjechać do Moskwy – Wielkie Komsomolskie Osiedle nr 8. Wanda Wasilewska.” (s.147).

Odtąd rozpoczyna się kolejna część *Wspomnień* zatytułowana *We władzach ZPP*, s. 147-170, część będąca świadectwem nie tylko genezy tej orientacji politycznej, ale przede wszystkim wysoce szczegółowej i zdaje się podobnie kompetentnej relacji o działalności osobiście Józefa Stalina i władz radzieckich w tworzeniu, już nie tyle modelu stosunków polsko-radzieckich, co budowy przygranicznego imperium ZSRR w kraju nad Wisłą. Andrzej Witos w tym całym politycznym przedsięwzięciu, na swój sposób ubezwłasnowolniony, bo wiem nie można odmówić tej Postaci uczciwości w postępowaniu, rzetelności, chłopskiego polskiego patriotyzmu, zdaje się kierować rozsądkiem i wyborami „mniejszego zła”. Ale nie tylko. Wielokrotnie wypowiada się bez pochlebstw wobec rozmaitej maści funkcjonariuszy ZPP, ba, nawet podejmuje dialog z udziałem Stalina, Mołotowa i innych (s. 157-158, 164-166, 173-176) przedkładając swoje racje rzeczowo i konsekwentnie.

Nazwisko Witos w tych okolicznościach, zarówno w Sielcach nad Oką, gdzie formowało się wojsko, jak również w grze dyplomatycznej Sowietów wobec władz państwowych Rzeczypospolitej na wojennym wychodźstwie, a nade wszystko pośród polskiej rzeszy zesłańczej, to nazwisko miało określone znaczenie i wymowę. Podobnie jego funkcja: Generalnego Inspektora Opieki Społecznej ZPP (s. 151) zdaje się potwierdzać nasze spostrzeżenia.

Ale ważniejszą w tym jest jego osobista działalność, bowiem wyjechał 17 lipca 1943 r. do północnych obsłasti, Archangielskiej i pozostałych w Republice Komi z zadaniem organizowania Kół ZPP i odzyskania zagarniętych magazynów po Delegaturach Ambasady RP. Podróż ta była początkiem przywracania nadziei pozostającym wciąż na Północy Polakom i trwała do 10 listopada 1943 r. (s. 154). Koła ZPP umożliwiały samoorganizację społeczności polskiej w opiece nad dziećmi i pomocy materialnej oraz tworzyły relacje w stosunkach między miejscowymi władzami, co nie było bez znaczenia dla ogólnego położenia Polaków.

Pośród kilku wątków o charakterze ogólnym, warto nadmienić: „Podczas odwiedzin 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki po raz pierwszy dowiedziałem się od żołnierzy i oficerów pochodzących z Wołynia i Podola o napadach na Polaków i mordowaniu całych rodzin, paleniu osad i rabunkach dokonywanych przez Ukraińców w trakcie okupacji tych terenów przez Niemców. W samym tylko Krasnem zostali zamordowani, Andruszewski – emerytowany kierownik szkoły, wychowawca kilku pokoleń ukraińskich i polskich, Władysław Rak [...] Paweł Siutkowski, Kuba Gagas, Urban i Kwiatkowski. Niektórzy zostali zamordowani w sposób bestialski [...] inni po prostu zastrzeleni. Wymienia akcję w Hucie Pieniackiej 28 lutego 1944 r., napady Ukraińców na Gołogóry 30 marca, gdy zginęło 18 osób, a 2 zostały poranione, na Krasne 5 kwietnia, tu podobnie okrutnie zabito 18 osób, 5 zostało rannych i podsumowuje: „Można by tu wyliczyć bardzo wiele wsi i osad, w których od kul, noży i różnych tortur zginęło wielu Bogu ducha winnych ludzi.” (s. 169-170).

Ostatnie trzy części *Wspomnień*, s. 171-232 obejmują okres od czerwca 1944 r. do początku lat 60-tych. Jest to interesująca część tomu, zwłaszcza partia narracji dotycząca PKWN, s. 171-195, bowiem nie tylko ukazuje w bezpośredniej relacji świadka – uczestnika, proces formowania „władzy ludowej” jako modelu ustrojowego, w którym adaptacja historycznych źródeł państwowości Polaków do sowieckich odzworowań i doświadczeń, dokonywana jest w bezwzględnej walce z rzeczywistymi przeciwnikami, jak też nominalnymi w propagandzie wrogami. Ale nie tylko. To także świadectwo instrumentalnego traktowania „przerobionego” doraźnie na wybitnego działacza autora i wykorzystywanie magii nazwiska. Nie brak na kartach tej części *Wspomnień* śladów dylematów i rozterek autora, który jako człowiek doświadczony (w wieku już 66 lat) dostrzegał kierunek przemian, zaś bezprecedensowe oskarżenie, przez samego B. Bieruta, o popieranie reakcji 4 października 1944 r. na posiedzeniu PKWN i usunięcie z kierownictwa resortu rolnictwa oraz zastępstwa przewodniczącego PKWN, było już wyraźnym i demonstracyjnym określeniem „socjalistycznej linii postępowania”, jak pisze na s. 194.

W naszym odczuciu początek rozdziału *Na bocznym torze* (s. 196-201) jest wyjątkowym świadectwem próby pozyskania (31 marca – 5 kwietnia 1945 r.) sędziwego i ciężko już chorego Wincentego Witosa dla „sprawy” władzy ludowej, w którym rola sowieckich doradców (mocodawców) jest wyjątkowo udokumentowana.

Warto w tym miejscu powołać jeszcze jeden fakt: „Z opowiadania mojego syna Stanisława wiem, że Wincenty, mając wiadomości o moim pobycie i działalności w ZSRR, w ramach tak zwanego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, wyraził taką opinię: „Jeśli Jędrzejko będzie mądry, to może wiele

dobrego dla Polski zrobić” Może zrobić ? Na przykładzie brata, a szczególnie jego przymusowej podróży do Brześcia [to nawiązanie do wspomnianej co dopiero próby pozyskania W. Witosa] widać, ile znaczyła w tym ustroju jednostka i rzeczywiście nie była w stanie nic zrobić. Oczywiście zarówno brat, jak i liczni Polacy „wyzwoleni” przez wojska polsko-radzieckie nie mieli o tym w tym czasie pojęcia. Z czasem przekonali się o tym osobiście, a na razie cieszyli się i łudzili.” (s. 201-202).

Co dodać ? Jest to puenta którą sam autor podsumował swoje *Wspomnienia*.

W aneksie z dokumentami i fotografiami ze zbioru Tadeusza Witosa, po s. 235 mamy fotografie zarówno rodzinne, jak też dokumentalne – społeczne: barak w Jeszkardeni, grupa tamtejszych robotników leśnych z podpisanymi nazwiskami, fotokopie: wyroku Sądu Najwyższego Komi ASSR, pismo Oddziału Delegatury Ambasady RP w Objaczewie (26.12.1941) do Rady Komisarzy Ludowych Komi ASSR w sprawach bytowych robotników leśnych – obywateli polskich, fotokopia aktu rehabilitacji Andrzeja Witosa (1992), wycinki prasowe jego nekrologów

*Mieczysław Wieliczko*

- ***Kresy w oczach oficerów KOP. Wstęp i opracowanie Jan Widacki, Katowice 2005, Wyd. „Unia”, ss. 267 + 1 nlb., il., mapy w tekście.***

Zasłużona skądinąd oficyna „Unia” w Katowicach uprzyścipleniła to szczególnie świadectwo pośród piśmiennictwa dotyczącego kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Szczególne, z dwóch przynajmniej powodów, które trzeba na wstępie wspomnieć. Jest to przedruk z 1935 r. oficjalnego dokumentu: „Stosunki społeczno-oświatowe w 18 gminach na pograniczu Litwy, Łotwy i ZSRR w ciągu ostatnich 5 lat. Opracowali instruktorzy oświaty KOP”. Dla potrzeb własnych wydał na prawach rękopisu Oddział Wychowania Żołnierza Dowództwa KOP.

Patrząc z naszej recenzyjnej perspektywy, mamy przed sobą wysoce obiektywny obraz tej części ziem pogranicznych Rzeczypospolitej, które najwcześniej dotknęła bezpośrednia i bezpowrotna zagłada. Wszak na te ziemie spadła w godzinach porannych 17 września 1939 r. sowiecka agresja. Tu dokonane zostały pierwsze zbrodnie wojenne i stąd 10 lutego 1940 r. odjechały eszelony wojsk konwojowych NKWD, uwożąc wyselekcjonowane grupy mieszkańców, co raz na zawsze zniszczyło ukształtowaną przez dziesięciolecia ich wspólnotę losu kulturowego, w całym szerokim znaczeniu tego pojęcia. Oznaczało to zarazem początek zagłady kresowej polskości.

Drugi aspekt tego szczególnego świadectwa stanowi edytorska praca J. Widackiego i od tego fragmentu dzieła trzeba rozpocząć jego bliższe omówienie. Skłania ku temu przyjęta metoda, która jest na swój sposób oryginalna, bowiem na ogół przy wydawnictwach źródłowych, a tak trzeba kwalifikować omawiany tom, podający rzecz do druku opatrują teksty objaśnieniami, jak przypisy o rozmaitej konstrukcji i zawartości treści, bądź obszerniejsze wstępy, glosy i podsumowania. W omawianym przypadku, po s.35 do 267 nie ma żadnych „wtrętów” wydawniczych za wyjątkiem dodanego na wstępnej stronie (34) wycinka mapy ziem wschodnich, z numerowym zaznaczeniem i strzałką



do miejscowości nad granicą i jej nazwy, której kolejny tekst dotyczy. Czyli od nr 1 i Gminy Berezki na pograniczu litewskim, do nr 18 i Gminy Białobożnica-Kalinowszczyzna na pograniczu rumuńskim. Dodać trzeba, że każdy tekst poprzedza wycinek mapy, o różnej skali (i czytelności) z zaznaczeniem opisywanej gminy, mapy, które pobrano z mapy administracyjnej RP oprac. Inż. R. Cebertowicza w Wydawnictwie GUS z 1929 r. I to jest w tej części tomu cała ingerencja Wydawcy. Ale... Po s. 5-28 mamy *Wstęp*, który został podzielony na siedem problemowych sekwencji i warto im przeznaczyć trochę uwagi, bowiem zawarta została w tej części tomu oryginalna myśl metodyczna i profesjonalna wypowiedź Wydawcy. A więc na s. 5-8 mamy *Granice wschodnie II Rzeczypospolitej* nie tylko zwięźle omówione w narracji opatrzonej przypisami, ale obok tego daje Wydawca *Piśmiennictwo*, gdzie grupuje dobrany wybór historiografii, nie stroniąc od publikacji źródłowych.

Dalej podejmuje *Problem ochrony granicy wschodniej. Powstanie Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP)* (s. 8-13) i podobnie obok przypisów wymienia zebrane *Piśmiennictwo*, by przejść do *Organizacji Korpusu Ochrony Pogranicza* (s. 13-16), zachowując w narracji wspomniany model metodologiczny. Wpłata do narracji, w przypadku kolejnej sekwencji, *Działalność Korpusu Ochrony Pogranicza*, (s.17-19) obszerne fragmenty źródeł, zarówno z kwerend własnych, jak też publikacji dokumentów, co czyni ten wykład wyjątkowo poznawczy treścią potrzebną do lektury pozostałej części tomu. Taki też charakter ma kolejna sekwencja problemowa *Działalność oświatowa i społeczna KOP* (s. 19-25), podobnie rozwinięta w opisie, przy czym szczególnie ważną jego część stanowi początek dotyczący społecznej i charytatywnej działalności KOP na rzecz miejscowej ludności, bowiem dalej omawia pracę oświatową i wychowawczą w szeregach Korpusu.

Ostatnie dwie sekwencje *Wstępu* zdają się wypełniać metodologiczny wymóg instrukcji wydawniczej dotyczącej źródeł historycznych, bowiem omówione tu zostały elementy hermeneutyki „powielonego maszynopisu liczącego 312 stron”, którą to analizę wzbogacił Wydawca o statystyczne zestawienie dotyczące powiatów w których znajdują się opisywane gminy, a to 6 z woj. wileńskiego, 5 nowogródzkiego, 4 z wołyńskiego, zaś pozostałe z poleskiego, tarnopolskiego i białostockiego. Uzupełniają ten opis informacje o autorach opracowania – oficerach oświatowych, w służbie odnotowanych jako „instruktor oświatowy batalionu”, którzy sporządzali te teksty po trosze sprawozdawcze ze swojej pracy, oraz bliższej charakterystyki socjo-historycznej różnych elementów sytuacji w poszczególnych gminach. Opis życia i charakterystyka mieszkańców pod względem gospodarczo-społecznym i kulturowym, przynosi zbiór informacji, które dzięki staranności autorów – oficerów i służbowemu charakterowi ich opracowań, są niepowtarzalnym i nie spotykanym w innych materiałach ostatnim obrazem wschodniego pogranicza Rzeczypospolitej. Można z przekonaniem stwierdzić, że jest to obraz w dużym zakresie reprezentatywny dla całego tego pogranicza.

W zakończeniu *Wstępu* podjęto próbę bliższej charakterystyki biograficznej autorów publikowanego opracowania i warto podnieść ustalenie Wydawcy: „Nie ma ich – na szczęście – na listach pomordowanych w ZSRR jeńców polskich”, który także udokumentował wrześnieowe przydziały niektórych w jednostkach liniowych, bowiem część formacji KOP, w ramach „mobilizacji kartkowej” lub dyslokacji w marcu 1939 r. przydzielono do formowanych wtedy

kadrowych elementów Armii i ich późniejszych uzupełnień, np. Armii „Karpaty” w lipcu – wrześniu 1939 r. Zamyka *Wstęp* wkładka z fotografiami, a to oficerskiej odznaki KOP „Za służbę graniczną”, kolejnych dowódców, gen. dyw. Henryka Minkiewicza (1924-1929), gen. bryg. Stanisława Tessaro (1929-1933) i gen. bryg. Jana Kruszewskiego (1933-1939) oraz pięć fotografii dokumentalnych z życia KOP.

Sumując uwagi o pracy wydawców – autorskiej Jana Widackiego i redaktorskiej Jerzego Skwary, podnieść trzeba ich wysoki profesjonalizm, który czyni lekturę wyjątkowo użyteczną i poznawczą, a dopełnia tego kolejny *Wstęp* (s.35-37) Leona Ordyńca, kierownika Referatu Oświaty w Dowództwie KOP, będący wprowadzeniem do publikacji skryptu z 1935 r., do którego prace wykonali oficerowie w I kwartale tego roku jako zamierzoną przez dowódcę KOP formę dokształcania zawodowego. Wszak ta publikacja miała być lekturą dla innych oficerów – instruktorów oświaty w batalionach KOP. Ale nie tylko. Opracowania w zamierzeniu rozkazodawców miały być „trwałą zdobyczą o pewnej wartości dla każdego, kto się zagadnieniami społeczno-oświatowymi Pogranicza zajmuje”, a także sprawozdaniem z rocznego studium „terenu i sytuacji”.

Mamy więc do czynienia z wyborem najpewniej prac najlepszych redagowanych w drobnym zakresie do publikacji, jak poprawianie stylu, czy skreślanie powtórzeń zaś prace „podają wiele danych i to z różnych dziedzin. Od szczegółów z zakresu geologii, archeologii, czy etnografii, poprzez historię i geografę w wielu jej działach, aż po rolnictwo, ekonomię, socjografię, itd., aż po obszerne własne uogólnienia.”, podał w ich charakterystyce L. Odyniec, dodając w końcu „na kursie repetycyjnym” planowanym we wrześniu 1935 r. „będą powyższe prace wielokrotnie omówione”.

Można sformułować końcową opinię, że publikowane prace stanowią nie dający się przecenić zbiór informacji o kilku dziesiątkach wsi i miasteczek kresowych, bowiem opisy gmin ich dotyczyły. Przejdźmy do bliższej charakterystyki tej części książki. Indywidualny charakter opracowań poszczególnych oficerów – instruktorów spowodował, że tylko kilka wątków w tych tekstach jest powtarzalnych, a zarazem porównywalnych. Są to dane dotyczące położenia z elementami topografii, zwięzłe informacje o przeszłości uzyskane bądź z oryginalnych dokumentów i opracowań, bądź z wywiadów z mieszkańcami. Dalej, charakterystyka gospodarki z bliższym rozeznaniem co do typowych zajęć poszczególnych grup ludności (lub narodowościowych), często z dobrze użytą statystyką. Dominuje w opisach niejednokrotnie bardzo precyzyjna analiza stosunków ludnościowych obejmujących przynależność narodowościową, wyznaniową, stan zorganizowania społecznego, wykształcenia i stosunku do oświaty pozaszkolnej, akcji społeczno-oświatowej, dane o analfabetyzmie, etc. Na tym tle charakterystyka postaw i pracy duchowieństwa (wszystkich wyznań), nauczycieli, organizatorów i działaczy w stowarzyszeniach, kasach spółdzielczych (i innych formach spółdzielczości), pracowników administracji państwowej i samorządowej.

Na podobnym tle charakterystyka działalności KOP, która ujęta jest w formie „tez i wniosków”, „wniosków na przyszłość”, niejednokrotnie obszernych, albo charakterystyki współpracy rozmaitych, nawet do dwudziestu (sic!) organizacji z KOP i jego akcją społeczno-oświatową. Tu pojawia się egzempli-

fikacja faktów warta uwagi jako pewien przejaw polityki narodowościowej państwa. Znajduje to także odzwierciedlenie w perspektywnych ujęciach wniosków i próbach określenia roli KOP w pracy społeczno-oświatowej.

Kończąc te sprawozdawcze uwagi trzeba stwierdzić, że omawiana książka w znaczący sposób dopełnia stanu wiedzy o Korpusie Ochrony Pogranicza, do tego na tle obszaru jego służby i działalności, obszaru wnikliwie opisanego, choć to tylko 18 gmin nad granicą, ale i tak powstał obraz Kresów Wschodnich, jedyny w swoich niepowtarzalnych barwach.

*Mieczysław Wieliczko*

- **„Wrocławskie Studia Wschodnie” nr 11, 2007, s. 263.**

Gdy mówi się o związkach polsko-syberyjskich, to coraz częściej problematyka ta w sensie bibliograficznym kojarzy się z działalnością Ośrodka Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego i jego organu wydawniczego jakim są „Wrocławskie Studia Wschodnie”. Podobnie jak poprzednie tomy, tak i najnowszy prezentowany tom 11 za rok 2007 zawiera działy: Artykuły, Miscellanea, Recenzje i Kronikę. Z tematyki syberyjskiej prezentowanej w tomie wymienić należy rozważania M. Chrostka dotyczące obrazu wędrówki na Sybir w literaturze i wspomnieniach dziewiętnastowiecznych zesłańców, artykuł S. Muliny o udziale zesłańców z okresu powstania styczniowego w rolniczym zagospodarowywaniu Syberii oraz tekst R. Oplakańskiej, historyczki z Abakanu przedstawiający problem służby państwowej Polaków na Syberii w XIX wieku. Syberyjskiej tematyki dotyczy także artykuł H. Dudarczew i W. Łatyszewa z Sachalinu omawiający mało znaną kolekcję botaniczną B. Piłsudskiego. Są też w tomie inne sybirskie tematy, przeto jego lekturę polecić należy tym Czytelnikom, których interesuje polsko-syberyjski wątek związany z wieloaspektową obecnością Polaków za Uralem powiązaną z ich wkładem w badania naukowe na Syberii, działalnością gospodarczą i cywilizacyjną.

*Bronisław Przesmycki.*

- **Anna Kubajak, *Sybir i Syberia w dziejach narodu polskiego*, Wyd. Kubajak, Krzeszowice 2008, s. 200, ilustracje, bibliografia.**

W 2007 r. oficyna wydawnicza „Kubajak” w Krzeszowicach ogłosiła książkę Antoniego Kuczyńskiego *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zestania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków*. Niespełna rok później otrzymaliśmy książkę Anny Kubajak *Sybir i Syberia w dziejach narodu polskiego*. Dostrzegamy w tych dwóch dziełach podobieństwo, nie tylko dotyczące regionu geograficznego. Książka A. Kuczyńskiego jest monografią oraz antologią historyczną. Praca A. Kubajak stanowi rodzaj albumu z doskonałym doбором ilustracji (w dużym stopniu Autorki), ale także z tekstami (wypisami) innych autorów. Z pewnością dzieła te – wzajemnie uzupełniając się – w walnym stopniu przyczynią się do ukazania złożonych związków polsko-syberyjskich.

Autorka Syberię poznała z opowieści rodzinnych oraz krótkiego wypadu turystycznego za Ural. Śladów Sybiru (tu jako miejsca zesłań) szukała także w Polsce, przede wszystkim w pobliskiej Krzeszowicom Czernej, gdzie posługę duszpasterską pełnił o. Rafał Kalinowski, święty i patron rzymskokatolickiej Syberii. Wzbogaciła swą wiedzę na ten temat współpracując z Antonim Kuczyńskim, wydając jego książkę o polskiej diasporze na Syberii. Decydując się na podjęcie pracy nad książką, mając odpowiednie możliwości wydawnicze, wybrała drogę własną: maksymalnego ukazania tego, czym byli Polacy na Syberii oraz wpływu doświadczeń zauralskich (zesłańczych, literackich, cywilizacyjnych, naukowych) na polską kulturę: literaturę, malarstwo, rzeźbę itp. Wybierając albumową wersję opracowania zadbała, by podane informacje były dobrze udokumentowane (stąd szczegółowe dane o źródłach zapożyczonych ilustracji oraz bibliografia). Jest to niewątpliwie wzór optymalny, choć w prezentacji wielu kwestii uproszczony. Stąd dwa wyrazy tytułowe: Sybir – raczej określenie martyrologiczne, Syberia – geograficzne.

We *Wprowadzeniu* Autorka prezentuje swój pogląd na kwestie terminologiczne, akcentując to podtytułem *Dlaczego Sybir i Syberia?* Myśl swą rozwija w dwóch częściach pt. *Sybir jako doświadczenie wygnańcze* oraz *Syberia. Kraina za Uralem*. Pierwsze ozdabia fotografią B. Grzywacza z łągru w Workucie (nb. w Europie), drugie własnym zdjęciem krajobrazu w Buriacji w okolicy Ułan-Ude (tędy przechodziły tysiące zesłańców). Zamyka swe wywody stwierdzeniem, że np. dla Benedykta Dybowskiego Sybir był także Syberią.

Treść ujęto w czterech rozdziałach: 1 – *Nasza pamięć historyczna*, 2 – *Zesłania w sztuce*, 3 – *Sybir*, 4 – *Syberia*. W pewnym sensie każdy z tych rozdziałów jest ujęciem nowatorskim. Nikt bowiem dotychczas nie zestawiał w jednej książce tylu informacji o zachowanych głównie w Polsce pomnikach golgoty na Syberii. Rzecz ujęta została szerzej, bo dotyczy organizacji, pomników i innych symboli polskiego Sybiru. Są tu ilustracje z Cytadeli Warszawskiej, monumenty z różnych miast (Białystok, Warszawa, Wrocław, ale także Cmentarz Irkucki oraz Katyń, Piwowaricha). Są także dane o organizacjach polonijnych w Rosji oraz nowych pomnikach (w tym m.in. Jana Czernskiego w miejscowości Czernkij nad Kołymą), przekazy o Kościele katolickim na Syberii, patronach Syberii (św. Rafał Kalinowski oraz prawosławny św. Innocenty Kulczycki). Rozdział ten kończy szkic pt. *Wpływ kultury polskiej w Rosji*. Wszystko to jest świetnie ilustrowane, w tym także akwarelkami z korespondencji Kalinowskiego do rodziny.

Drugi rozdział pt. *Zesłania w sztuce. Malarstwo, literatura* jest bodaj pierwszym ujęciem tego typu, choć istnieje bardzo dobra książka Zofii Trojanowiczowej *Sybir romantyków* (1992) oraz album prac Aleksandra Sochaczewskiego. Ukazano reprodukcje fotograficzne obrazów Artura Grottgera, Aleksandra Sochaczewskiego, Jacka Malczewskiego, jak również przedruki utworów literackich (m.in. Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Kamila Norwida, ale także sybiraków, np. Gustawą Ehrenberga). Uderza doskonały dobór prac Jacka Malczewskiego (nie tylko *Śmierć Elenai*). Prezentacja prac Sochaczewskiego (jak choćby *Pożegnanie Europy*) zdaje się świadczyć, iż artysta wzbogacał swe obrazy dramatyzmem (np. *Śmierć na taczce*). Na obrazach tych często są także skute kajdanami kobiety, co z pewnością nie było zjawiskiem typowym. Mimo tych uwag – sztuka przecież kieruje

się własnymi sposobami wyrazu – otrzymaliśmy bardzo dużo materiału o tym, co przeżywali zesłańcy na Syberii i jak oceniano ich martyrologię w kraju i na emigracji.

Rozdział *Sybir. Kolonia karna* rozpoczyna się częścią *Sybir. Zesłania, system kar*. Notka wprowadzająca przedstawia historię problemu. Dalej znajdujemy ilustracje, ale wzbogacono je fragmentami relacji pamiętnikarskich (Karola Lubicza Chojeckiego, Rufina Piotrowskiego, Szymona Tokarzewskiego i wielu innych). Znalazły się tu informacje o powstaniu nadbajkalskim 1866 r., prześladowaniach Kościoła i polskości, Kościele katolickim na Syberii (m.in. o dawnych i współczesnych kapłanach) oraz o XX-wiecznej golgocie na Wschodzie. To ostatnie zamyka zdjęcie junaczek z ochronki wojskowej w Karkin-Batasz w Turkmenii, szczęśliwie już na terenie Iranu. Ilustracje w tej części są skromniejsze, tekst – bardzo nasycony faktami.

Końcowy rozdział nosi tytuł *Syberia*. Poświęcony został zarówno zesłańcom (lekarzom, nauczycielom), jak również urzędnikom i przemysłowcom, którzy dobrowolnie wybrali obszary za Uralem na miejsce swej pracy. Są to dane o Agatonie Gillerze (zesłańcu, autorze podstawowych kompendiów geograficznych), jak i Alfonsie Koziół-Poklewskim (przemysłowcu i dobroczyńcy zesłańców). Są fotografie uczonych, zwłaszcza naszych badaczy Syberii (Czerski, Dybowski, Wiktor Godlewski, Edward Piekarski, Bronisław Piłsudski, Aleksander Czekanowski i inni). Piszący te słowa, autor monografii o Czerskim, po raz pierwszy zobaczył zdjęcie pomnika przyrodnika w miejscowości Kołymskoje, gdzie jest tabliczka w języku polskim z 1963 r. z napisem: „I. D. Czerski – od wdzięcznych potomków”. Zdjęcie to, podobnie jak i pomnika naszego rodaka w miejscowości Czerskij, wykonał Wojciech Lipiński. Rozdział ten zamykają części: *Irkuck – stolica polskich zesłańców* (przeplatają się teksty i zdjęcia z przeszłości oraz współczesne), o *Emigracji zarobkowej* oraz rodzaj zakończenia *Pożegnanie zesłańców z tłumaczeniem fragmentu artykułu z 1883 r. na odjazd do Europy tych, którzy wśród Sybiraków pozostawili najlepsze wspomnienia*.

Autorka tę część zakończyła taką uwagą pt. *Syberia – kraina piękna i bogata*: „Krajobraz Syberii charakteryzuje się osobliwym urokiem. Jego pięknem zachwycali się nawet zesłańcy. Zachwyty wzbudzały ogromne, pierwotne przestrzenie. Stepy ciągnące się prawie bez końca, dziewicze lasy, ogromne rzeki.

Niektórzy z naszych rodaków dawali temu wyraz malując wspaniałe krajobrazy czy pisząc wiersze. Inni korzystali z jej bogactw. Zdarzali się wśród nich właściciele kopalń złota, węgla, czy całe rzesze polskich rolników uprawiających syberyjską ziemię”.

Tekst ten zilustrowano fotografiami, wśród których jaskrawo czerwona lilia syberyjska przypomina naszą lilię złotogłów. Piękna książka. Z pewnością przyczyni się do kształtowania pełniejszego obrazu tego wszystkiego, co w Polsce określamy dwoma wyrazami: Sybir, Syberia. Szczerze zachęcam Oddziały Związku Sybiraków do upowszechnienia tej książki w swoich środowiskach oraz ofiarowanie jej szkołom, w których współpracują dbając o to by Sybir i Syberia, nie kojarzyły się tylko z martyrologią ale i z kulturowym oraz cywilizacyjnym dziełem Polaków za Uralem.

Zbigniew J. Wójcik

- **Antoni Lenkiewicz, *General Władysław Anders (1892-1970)*, Wydawnictwo Biuro Tłumaczeń, Wrocław 2008, s. 120, ilustracje.**

Rok temu ukazał się monotematyczny zeszyt „Zesłańca” (nr 32, 2007) poświęcony pamięci generała Władysława Andersa. Napisano w nim wówczas w nocy „Od redakcji”, że w ten sposób włącza się ona do obchodów Roku Generała Władysława Andersa (2007) ogłoszonego Uchwałą Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 20 grudnia 2006 roku. Dla społeczności sybirackiej zrzeszonej w Związku Sybiraków postać to szczególnie droga i bliska bowiem wyprował on z imperium zła i „wiódł zwycięskim szlakiem do Ojczyzny przez Monte Cassino i Bolonię, Żołnierzy, który <ojcował> do końca swoich dni na Wychodźstwie.” Dodajmy zarazem, że wraz z Armią Polską, którą wyprowadził on z „domu niewoli” opuściło syberyjskie pasiołki około 45 tysięcy ludności cywilnej, w tym wiele dzieci. Wśród czytelników „Zesłańca” są tacy, którzy dzięki gen. W. Andersowi żyją obecnie w Polsce, natomiast wielu Jego żołnierzy oraz zesłańców, którzy opuścili wówczas ZSRR, w tym dzieci, los rozrzucił szeroko po świecie – Afryka, Australia, Kanada, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone i niektóre kraje Europy Zachodniej.

Właśnie do obchodów Roku Generała W. Andersa nawiązuje książka A. Lenkiewicza. Jej aktualność nie podlega dyskusji i zdaniem autora ma ona ułatwić popularyzację tej postaci w młodszych pokoleniach. „We współczesnej Polsce istnieje wiele szkół, klubów, stowarzyszeń i hufców harcerskich noszących imię generała Andersa i także do nich adresowana jest ta publikacja” - czytamy we wstępie. Książka składa się z 8 rozdziałów w których przedstawiono sytuację Polski przed uzyskaniem niepodległości w 1918 roku, czas międzywojnia, kampanię wrześniową 1939 roku i pobyt generała w sowieckich więzieniach, wreszcie dzieje Armii Polskiej w ZSRR, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Klarowną wiedzę autora książki kończą wielorakie refleksje związane z prezentowaną w niej postacią, w które wpisuje się depesza kondolencyjna papieża Jana Pawła II, reakcja Polonii Amerykańskiej na wieść o śmierci generała, wspomnienia byłych jego żołnierzy, okolicznościowa poezja itp.

W sumie książka to wartościowa i warta przeczytania. Rekomendujemy ją naszym czytelnikom, przekonani, że znajdą w niej wiele interesujących wątków. W imieniu redakcji „Zesłańca” zamawiam więc u A. Lenkiewicza nową książkę, która podobnie jak ta dostarczy nam nowych wrażeń i może jeszcze pełniejszej wiedzy o polskich bohaterach i dziejach Rzeczypospolitej. Zainteresowanych lekturą, tej ze wszech miar interesującej książki, informujemy, że można ją nabyć za zaliczeniem pocztowym pod adresem wydawcy: **Biuro Tłumaczeń, 50-550 Wrocław, ul. Wieczysta 77/33, tel./fax 48/71 336-7-44; e-mail: gazetapolska@poczta.onet.pl**

*Bronisław Przesmycki*

- **Teresa Domaszewska, *Zrównane z ziemią. Dzieciństwo w Serednem i we Lwowie*, Wydawnictwo „Unia”, Katowice 2007, s. 110, ilustracje.**

Miłośnicy sag rodzinnych otrzymali kolejną publikację, która mieści się w kręgu kresowych opowieści. W prezentowanej tu książce znaleźć można to wszystko, co jakże często podobne jest do dziejów ziemiańskich rodzin z Kre-

sów Wschodnich II Rzeczypospolitej. W naszych trudnych warunkach historycznych czasów tzw. Polski Ludowej na ten temat nie wiele pisano. Tym cenniejszy jest zatem wszelki zapis rodzinny z tego zakresu i właśnie do kanonu tych lektur wpisuje się książka Teresy Domaszewskiej. I to jest chyba najważniejsze stanowisko wobec trudu autorki. Otwiera historię rodziny Domaszewskich wstęp Jerzego Wegierskiego a przedstawione w nim rodzinne koligacje tworzą prolog do dziejów tej kresowej rodziny. Bardzo często, powołując się na dokumenty, informacje i różne inne przekazy, omawia on w nim dzieje związane z dworem w Serednem i jego mieszkańcami, wśród których była autorka książki. Rzec można, że charakter i atmosfera opisów zapamiętanych i przedstawionych przez autorkę, stanowi dodatkowy urok książki.

Konstrukcja książki, jej podział na poszczególne okresy i rodzinne powiązania autorki, pozwalają prześledzić losy T. Domaszewskiej z niesłabnącym zainteresowaniem. Zadziwia skrupulatność w podawaniu faktów i nazwisk, a umieszczone w szerokim tle ówczesnych stosunków społecznych i różnych politycznych wydarzeń przyciągają one uwagę czytelnika tworząc niepowtarzalną atmosferę lat które odeszły. Czytelnik otrzymał więc poprzez jej lekturę książki nie tylko wiedzę o losach rodziny autorki ale także szczyptę sentymentalnej strawy lat minionych. I tak oprócz rodzinnych losów przedstawia autorka różne etapy swego życia. Nieraz tętni w książce historia, wali się rodzinny spokój, powstają nowe sytuacje, jak np. wojna w 1939 roku i życie autorki pod dwiema okupacjami – sowieckiej i niemieckiej. Jakby mimochodem wylaniają się ze wspomnień losy i doświadczenia rodzinne autorki. W sumie powstała opowieść prawdziwa i przy tym napisana żywym językiem, dlatego książkę tę czyta się z wielkim zainteresowaniem. I to chyba najważniejsza wartość tej rodzinnej sagi. Chciałbym też, by była ona wzorem i zachętą dla innych kresowych rodzin by zechciały opisać swe dzieje. Czas płynie, ludzie odchodzą a lektury te pozostają i tworzą ważne źródło do naszych dziejów na Kresach.

*Bronisław Przesmycki*





**MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI  
KOLEKCJA SYBIRACKA**

02-240 Warszawa  
Al. Solidarności 62

W ramach zorganizowanej w 1993 roku **Kolekcji Sybirackiej** Muzeum Niepodległości w Warszawie gromadzi świadectwa z sowieckich więzień, obozów i miejsc pobytu deportowanych Polaków, pochodzące z lat 1936-1956. Są to:

- dokumenty osobiste
- wyroby osób represjonowanych
- przedmioty codziennego użytku
- fotografie
- dzieła sztuki
- realia, archiwalia i druki ulotne związane z upamiętnianiem wschodnich losów Polaków
- wspomnienia.

Nabytki Kolekcji były dwukrotnie prezentowane na wystawach czasowych, natomiast od 2005 roku najciekawsze pamiątki można oglądać na stałej ekspozycji "Sybiracy 1940-1956" zorganizowanej w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Obiekty pozyskane w latach 1994 - 2002 zostały opisane w katalogu „Kolekcja Sybiracka”, który obejmuje 1224 pozycje. Obecnie opracowywana jest druga część tego wydawnictwa.

Kolekcja pamiątek sybirackich, dzięki darom osób prywatnych i instytucji, jest systematycznie uzupełniana. Dalsza pomoc ze strony Państwa stworzy większe możliwości zgromadzenia wszechstronnej dokumentacji dotyczącej losów Polaków represjonowanych na Wschodzie.

Wszystkich, którzy mogą wesprzeć nasze działania związane z gromadzeniem pamiątek, prosimy o osobisty, listowny lub telefoniczny kontakt z głównym inwentaryzatorem Muzeum Niepodległości Mirosławą Pałaszewską lub opiekunem Kolekcji Sybirackiej dr Anną Milewską-Młynik (tel. 022 26 90 91/2 w. 54).

*Dyrektor Muzeum Niepodległości  
dr Andrzej Stawarz*